

AGNIESZKA JEŻ

*Taka miłość
się zdarza*

*Dom
Pod Trzema Lipami*



**Wartościowa, mądra i niezwykle
życiowa historia.**

Magdalena Witkiewicz

FILIA

AGNIESZKA JEŻ

*Taka miłość
się zdarza*

*Dom
Pod Tuzema Lipami*

FILIA

Prolog



*Masz siedemdziesiąt zasług na minutę.
Każdy twój skurcz
Jest jak zepchnięcie łodzi
Na pełne morze
W podróż dookoła świata^[1].*

Serce. Mięsień, najważniejszy element układu krążenia. Strona prawa i lewa, podzielone na kolejne dwie części, co w sumie daje cztery elementy: dwa przedsionki, dwie komory. Krew wpada żyłami do przedsionka, ten się kurczy i tłoczy ją do komory; z komory, także po skurczu, krew pędzi do tętnic. Prawa część serca odbiera krew bez tlenu i wysyła ją do płuc. Lewa część przyjmuje krew bogatą w tlen, by dostarczyć go do każdej komórki ciała. Skomplikowany proces, który trwa mniej więcej sekundę. Potem kilka milisekund na odpoczynek i cykl się powtarza. I tak przez cały czas, od początków w łonie matki do śmierci, serce ciężko pracuje, stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk, rytmicznie się kurcząc i rozluźniając, byśmy mogli żyć.

Bywa jednak, że coś w sercu zaszwankuje, na przykład zrobi się dziura w przegrodzie i krew będzie przepływała z lewej strony na prawą lub z prawej na lewą. Zmiesza się, choć nie powinna. Słychać wtedy szmery, serce zaczyna bić szybciej i pojawiają się duszności.

* * *

Serce, czyli głębia duszy, siedlisko uczuć. Pudełko różnej wielkości – u jednych większe, u innych mniejsze; sfatygowane lub oszczędnie używane. Wpadają tam rozmaite emocje, które serce najpierw samodzielnie, a potem współpracując z rozumem, ocenia i wkłada do odpowiednich przegródek.

Serce działa w miarę sprawnie, jeśli emocje pojawiają się pojedynczo i są podobnego rodzaju. Kiedy jest ich za dużo, a do tego sprzecznych, pudełko zaczyna się trząść. Serce dostaje ataku paniki i zrywa kontakt z rozumem. Wtedy może się wydarzyć wszystko, absolutnie wszystko.

Łódź, niczym drobna łupina orzecha, została porwana przez spienione fale. Dla tego sztormu zabrakło skali.

[1] *Do serca w niedzielę*, Wisława Szymborska.

Rozdział pierwszy



„Stoi oparty o ścianę hangaru, lekko uśmiechnięty. Ciemne błyszczące oczy, rozwiana jasna czupryna”.

Mama opisująca to zdjęcie znajdowała się trzysta kilometrów od domu Pod Trzema Lipami. Fotografię wykonano pół wieku temu, ponad dwa tysiące kilometrów od Krakowa.

A mimo to widziałam go, jakby był na wyciągnięcie ręki, tuż obok. Wcale się nie zestarzał, choć przecież miał już ponad dziewięćdziesiąt lat. Jak to możliwe?

Zdolności ludzkiego umysłu są niebywałe. Na co dzień nie zdajemy sobie z tego sprawy; uświadamiamy to sobie dopiero wtedy, gdy dzieje się coś niezwykłego, na przykład kiedy spadną na nas zupełnie nieoczekiwane emocje o wielkiej sile rażenia.

Staszek Morlaczonek żyje.

Ukochany prababci Emilii, wielka, tylko przez chwilę spełniona miłość, która pozostawiła ją w smutku na wiele lat. Miłość nagle i nieodwołalnie przerwana; ją pozbawiła życia w małżeństwie, babcię Elżbietę ojca, mamę – dziadka, a mnie utrzymywała w przekonaniu, że jesteśmy samotne z powodu niezbadanych wyroków losu, który się na Majewskie po prostu wziął.

Wszystkiego bym się spodziewała, tylko nie tego, że Staszek Morlaczonek po tylu latach powstanie z grobu i wróci tu, na Wiślną, gdzie wszystko się zaczęło: połączenie serc, ciał i genów, dzięki którym i ja znalazłam się na tym świecie.

– Kochanie, co się stało? – Jasna grzywka pochyliła się nade mną, błyszczące brązowe oczy wpatrywały się we mnie z czułą troską. Dobry człowiek i taki

przystojny facet, już samo to było niezwykle. – Klara, powiedz coś, proszę. Nie było mnie tylko chwilę, wracam i widzę cię w takim stanie... Wszystko dobrze?

Skąd on zna moje imię? I jak to: chwilę? Dla prawie umarłych kilkadziesiąt lat to może i chwila, ale w naszym świecie żywych to jednak prawie wieczność. I dlaczego on ma głos mojego Staszka? Nie, stop, jakiego mojego?! Podłego, zdradliwego chłopaka, w którym się zakochałam, którego dziecko noszę pod sercem i który mnie tak oszukał! Właściwie to już prędzej bym uwierzyła, że wybranek prababci Emilii jednak nie umarł, niż w to, że moja miłość tak szybko i tak dramatycznie legnie w gruzach. Jestem jednak durną naiwniaczką. I to znowu! Cierpiałam podwójnie – wystrychnięta na dudka, w dodatku na własne życzenie. Ofiara losu. Cholerne Mojry nie odpuszczają!

Podniosłam się z dywanu, wciąż jeszcze oszołomiona. Usiadłam na krześle, próbując zebrać myśli. Czułam się jak podczas zabawy w ciuciubabkę – w środku koła, z zawiązanymi oczami, a emocje, jak dzieci w przedszkolnej zabawie, kręcą mną to w prawo, to w lewo. Próbuję je złapać i rozpoznać, ale tylko coraz mocniej wiruje mi w głowie.

Byłam zaskoczona, niezwykle poruszona wiadomością o Staszku Morlaczonku. Wściekła na Staszka Skarłata, rozżalona, zdradzona, oszukana. Przerażona i niepewna przyszłości. Co to będzie? Co będzie z moim życiem? I z tym drugim, dopiero co zaczętym.

– Masz, napij się, poczujesz się lepiej. – Staszek podał mi szklanekę wody.

Sięgnęłam po nią trzęsącą się ręką. Wzięłam kilka łyków. Świat się ustabilizował, obraz wrócił do pionu, kolory już się nie rozlewały w barwne plamy.

Usiadł naprzeciwko mnie. W jego spojrzeniu było szczere złoto: troska, czułość, miłość. Och, Boże! Dałam się omamić tym oczom, które miały być zwierciadłem krystalicznie czystej duszy, gdy tymczasem... Ogarnął mnie gniew tak wielki, że z trudem wydobyłam z siebie głos, tak mną telepało.

– Poczuję się lepiej, kiedy stąd wyjdiesz.

Staszek wpatrywał się we mnie osłupiałym wzrokiem.

– Klara, ale co się stało? Ja nic nie rozumiem.

– Nie rozumiesz? Dobre sobie! Z ciebie to jednak kawał sku... – wysyczałam, połykając końcówkę. Kiedy rzucał mnie Paweł, zachowałam się po angielsku, teraz nie chciałam się hamować, mimo wszystko przekleństwo uwięzło mi w gardle. Chyba dopiero za trzecim razem będę potrafiła urządzić siarczystą awanturę. – Może ta karteczka choć trochę ci rozjaśni w głowie. – Sięgnęłam do

kieszoni i wyciągnęłam z niej biały kwadracik papieru. Rozłożyłam go i przesunęłam po stole w jego kierunku.

Staszek popatrzył na starannie wypisane słowa i nic nie powiedział. A zresztą co by miał powiedzieć? Jak można się usprawiedliwiać, kiedy ma się dowód własnych oszustw przed oczami?... No jasne, można się zaprzeć, kłamać w żywe oczy, „to nie tak, jak myślisz”... Dobrze, że choć tego nam oszczędził, to już by było kompletne dno.

– Klara, to nie tak, jak myślisz...

Cholera jasna! Kolejny zwyczajny dupek! Czy żeby się nie rozczarować facetem, trzeba go szybko i nie z jego winy stracić, a potem całe życie snuć legendę o tym, jaki był wspaniały? Czy tylko krótkie i dramatem przerwane miłości mogą być nieskalane?

– Posłuchaj. – Głos miałam twardy i stanowczy. – Cóż, to już drugi raz, gdy mężczyzna mnie zdradzał, więc nabywałam praktyki. – Zakończymy to szybko i bez jeszcze większych upokorzeń. Wystarczy mi to, co już wiem. Nie potrzebuję dodatkowych atrakcji. – Staralam się nie denerwować, początek ciąży jest bardzo ważny dla przyszłego zdrowia dziecka. O ciąży mu teraz nie powiem, jeszcze by mi doradził, żebym się pozbyła problemu. A może nie jestem pierwsza, może gdzieś po świecie już biegają małe klony Staszka „Oszusta” Skarłata? Podobno lubi dzieci, taki wrażliwy, jak to Jadzia stwierdziła (ją też udało mu się wziąć na lep tych cudownych oczu!). A gdyby nic mu nie powiedzieć? Nie zasługuje na to, żeby być ojcem! Jaki byłby z niego wzór? Albo nie, na odwrót – skoro dziecko jest jego, to niech się poczuje. Nie, osobiście to nie, nie ma moralnych predyspozycji, ale niech przynajmniej płaci.

– Ty nic nie rozumiesz... – zaczął kolejny raz, ale stanowczo mu przerwałam:

– „Stasiu najukochańszy, czekam na Ciebie i tęsknię. Twoja M.”. Może to nie wszystko, może jest jeszcze jakaś inna czekająca i tęskniąca, ale mnie to całkowicie wystarcza, więcej brudów nie musi mnie oblepić. Wszyscy jesteście tacy sami. Niech zgadnę – dwadzieścia lat i pewnie taka wpatrzona w ciebie, co? Powinam cię po prostu wywalić na korytarz i przekręcić zamek w drzwiach, ale ja jestem honorowa i uczciwa. Co znaczą te wyrazy, to sobie potem sprawdzisz w słowniku. Zatrudniłam cię, wykonałeś swoją pracę bez zarzutów, więc musimy się rozliczyć. W końcu biznes to biznes, nie? – Gdyby nienawiść mogła zabijać, Staszek Skarłat leżałby już martwy na świeżo przez siebie odnowionym parkiecie. – Za kwaterunek ci nie potrączę, za usługi cateringowe też nie. Teraz bądź uprzejmy się spakować i wynieść. Potem podlicz koszty materiałów

i robocizny i zostaw u pana Tomka informację, tą samą drogą ci zapłacę. Swoją drogą to kolejny naiwny – „ręczę za jego uczciwość!”, „dobry chłopak, tylko ma w życiu pod górkę”! Tak o tobie mówił. Jego też wkręcasz, co?

Staszek wstał i bezradnie na mnie spojrział. Przez krótką chwilę omal dałam się nabrać na tę sierocą minę! Nie wiem, jak on to robi, ale jest w nim coś, co każe ludziom myśleć, że to porządny facet. Czułabym się jeszcze gorzej, gdybym tylko ja się okazała całkowicie pozbawiona intuicji, jednak zwodnicze sztuczki Stanisława Skarłata działały na wszystkich dokoła.

– Klara. – Gestem wyciągniętej dłoni poprosił, żebym mu pozwoliła coś powiedzieć. Wyglądał stanowczo, a przecież nie będę się z nim szarpać. Jeśli bez tego nie wyjdzie, to byłam gotowa na taki zgniły kompromis. Strzeli sobie tę gadkę, ja się na ten czas mentalnie wyłączę, żeby nie musieć wysłuchiwać jego kręctw, a potem zatrzasnę za nim drzwi. Potem jeszcze czeka go pozew o alimenty, tego mu jednak nie odpuszczę. – Nie miałem okazji... To znaczy próbowałem, ale zawsze jakoś tak...

Ble, ble, ble, bla, bla, bla – gadał, a ja przestałam słuchać i słyszeć. Co za rozczarowanie! Jeszcze chwila i się rozpłaczę, co będzie wisienką na torcie upokorzenia. Dlaczego ja mam takiego pecha w życiu? Co jest ze mną nie tak? Może ja po prostu przyciągam takich facetów, czują we mnie słabeuszkę, naiwną romantyczkę i dawaj, korzystają, a potem zostawiają. „Niech on sobie już stąd pójdzie”, myślałam obsesyjnie, zaciskając dłonie w pięści.

– ...siostrą.

Co?! To jedno słowo, zupełnie niepasujące do sytuacji, wyrwało mnie z bolesnego odrętwienia. Wbrew postanowieniu, że już nigdy więcej się do niego nie odezwę, zapytałam:

– Jaką siostrą?

– Moją siostrą – odparł zdziwiony Staszek. – Ta „M.” z karteczki to Matylda, moja siostra.

Rozdział drugi



Głupia pomyłka? Nieporozumienie? Czyli to wszystko po prostu sobie wymyśliłam? Zdradę, oszustwo, kręctwo?... Chyba że jednak jest jeszcze gorzej, niż przypuszczam, i Staszek Skarłat jest całkowicie pozbawiony godności – przyłapany na oszustwie będzie brnął w nie dalej i dalej, wymyślając niestworzone historie. Zabrzmiało to dość przekonująco, ale pewnie dlatego, że miał doświadczenie Don Juana.

– Siostra? Nigdy nie mówiłaś, że masz siostrę. Zapomniałaś? – zapytałam kpiąco, podnosząc się i kierując w stronę drzwi. Tak, chciałabym, żeby znalazło się jakieś wytłumaczenie, ale to jednak było jak z harlequina. Aż tak naiwna nie jestem. – Idź już, zanim zrobisz z tych kilku wspólnych tygodni zupełną farsę. – Nagle poczułam, że nadchodzi potężna fala uzalania się nad sobą, która zaraz zmiecie gniew. Będę stać na środku pokoju i chlupać, a on będzie na to patrzył.

Staszek podszedł do mnie i chwycił mnie za rękę. Próbowałam się wyrwać, ale jego dłonie mocno się zacisnęły na moich.

– Klaruniu, kochana – wyszeptał. I przytulił mnie tak, jak może tylko ktoś, kto wie, że od tego zależy jego całe przyszłe życie: żarliwie, szczerze, wkładając w to całe serce.

Może naprawdę byłam ostatnią naiwną, regularnie porzucaną narzeczoną – raz przed ślubem, drugi raz przed zaręczynami – ale... tak bardzo chciałam mu uwierzyć. Może jednak ta – na pozór oczywista – sytuacja może mieć nieoczywiste wyjaśnienie?... Niczego bardziej nie chciałam. Wszystko bym w tej chwili oddała za to, żeby tak właśnie było.

– Matylda to moja młodsza siostra. Ma jedenaście lat, mieszka w Witowie, teraz z ciotką. Strasznie za mną tęskni. Za mamą też tęskni. Ojca się boi. Wiele w życiu przeszła, już od samego początku miała pod górkę...

„Miała pod górkę” – Skarłatowie jak widać też mają swoje fatum. I, jeśli wierzyć jego słowom, prawdziwe, nie urojone, jak w moim przypadku. Może on naprawdę mnie nie oszukał?...

– Dzieli nas pokolenie, Tylka mogłaby być moją córką. Późne dziecko, tak się mówi. Był taki moment, że wydawało się, że ojciec wyjdzie na prostą. Zaszył się, nie pił, wrócił do pracy. Ja byłem sceptyczny, mama pewnie tak bardzo pragnęła normalnego, dobrego życia, że dała wiarę jego zapewnieniom. Nie pierwszy raz, ale trudno się uczyć na błędach, gdy wiara przysłania rzeczywistość. No i się okazało, że będę miał rodzeństwo. Ojcu starczyło motywacji mniej więcej do połowy ciąży, potem poszedł w tan. Matka się załamała, Tylka urodziła się dwa miesiące przed terminem. Wyglądała jak nieduży bochenek chleba. Słaba, krucha, tylko te oczka jak węgiełki... – powiedział to na jednym wydechu, jakby chciał to jak najszybciej z siebie wyrzucić.

„Oczka jak węgiełki”. „Jak twoje”, pomyślałam, zdjęta nagłą czułością. „I po co było to ukrywać?...” chciałam zapytać, ale nie zdążyłam, bo Staszek dodał:

– I to te oczka zaniepokoiły lekarzy. – Zawiesił głos, smutno się uśmiechając.

– Ale dlaczego? – Spojrzeniem dałam mu do zrozumienia, że nie rozumiem.

Staszek wziął głębszy wdech.

– Matylda jest dzieckiem z zespołem Downa.

O. Tyle pomyślałam. O. Po prostu tyle. Młodsza siostra. Zespół Downa. To było jednocześnie: nierealne, nieoczekiwane. I, czy ja wiem: niepokojące?...

– Lekarka w szpitalu powiedziała, że mała da radę, że widać w niej wolę walki, potrzebuje tylko czasu i czułości – mówił dalej Staszek. – To wszystko stało się tak nagle... Nie dość, że był lęk, czy Tylka przeżyje, to jeszcze ta diagnoza. Zresztą na samym początku to nie było takie oczywiste, bo Matylda wyglądała po prostu... inaczej, oryginalnie. Miała oczy jak migdały, jakby się w niej odezwały geny jakichś odległych przodków. Nie z Tatr, tylko z Ałtaju.

„No tak, kiedyś zespół Downa nazywano mongolizmem, właśnie z powodu odmiennie wyglądających oczu, jak u osób rasy mongolskiej”, przemknęło mi przez głowę. W ogóle kiedyś myślano o zespole Downa, że... Tak, to brzmiało niepokojąco.

– To znaczy dla nas tak to wyglądało, bo przecież się nie spodziewaliśmy, nie

mamy też odpowiedniej wiedzy medycznej. Lekarze to oczywiście zauważyli. Potem były różne badania i ostatecznie u Matyldy stwierdzono mozaikową postać zespołu Downa, czyli że ten dodatkowy chromosom występuje tylko w części komórek i dlatego nie od razu się zorientowaliśmy, że Matylda jest inna. Zresztą pewnie wiesz, na czym to polega.

Wiedziałam, oczywiście, że wiedziałam. Zespół Downa – diagnoza, której podejrzenie u każdej ciężarnej kobiety wywołuje przyspieszone bicie serca. U mnie też, właśnie w tym momencie. Najpierw ta okropna myśl, że Staszek mnie zdradził, potem wyjaśnienie, że chodzi o siostrę, a nie o kochankę, ale żeby nie było tak prosto, to okazuje się, że siostra ma zespół Downa, a teraz jeszcze nagły lęk, czy moje, czy nasze dziecko jest zdrowe. Nie, nie pomyślałam „czy jest zdrowe”, nie ma się co oszukiwać. Pomyślałam: „czy nie jest upośledzone”. A Staszek mówi: „inna”. Znowu zrobiło mi się duszno. W głowie miałam taki mętlik, że nie wiedziałam, którą myśl najpierw łapać, którą emocję oswajać.

– Zbladłaś – zaniepokoił się Staszek. – Chodźmy do stołu. – Odsunął mi krzesło.

Znowu usiedliśmy. W ciągu ostatnich kilkunastu minut spadły na mnie emocje, które nawet rozłożone na cały rok i tak dostarczyłyby silnych wrażeń.

– Mama nie miała wybranego imienia. – Staszek wrócił do opowieści. – Ta lekarka powiedziała, że do małej świetnie by pasowało Matylda, bo to imię znaczy „ta, która mężnie walczy”. No i została Matyldą. A imię okazało się prorocze – dodał z lekkim uśmiechem.

– Słuchaj, ja... – próbowałam coś powiedzieć, ale wciąż nie umiałam zebrać myśli. Staszek delikatnie pogłaskał mnie po dłoni.

– Tylko rosła, rozwijała się i mimo wielu obaw było naprawdę dobrze. To znaczy tak dobrze, jak mogło być w tej sytuacji. Większość osób uważa, że zespół Downa to koniec świata, choroba, no, że takie dziecko nie jest normalne.

I tu mnie miał. Nie czułam się na siłach zaprzeczyć, przecież sama tak przed chwilą pomyślałam. Właściwie wciąż tak myślałam. Trochę tak myślałam. Może koniec świata to nie, za mocno powiedziane, ale... Przecież właśnie dlatego robiło się badania prenatalne, szukało tych specyficznych cech, żeby sprawdzić... I ewentualnie... Znowu wróciła obawa o tę lub tego, którą lub którego niedawno powołaliśmy do życia. I o samą Matyldę też. Dziecko do zaopiekowania to już lekki szok. A takie „inne” dziecko...

Staszek albo nie zauważył mojego zmieszania, albo nie chciał go zauważyć. Wprostował się i mówił dalej:

– Już się wydawało, że wyszliśmy na prostą, kiedy się okazało, że mama ma raka. Matyśka miała wtedy trzy latka i była główną motywacją mamy do życia po operacjach, w czasie chemioterapii i radioterapii. W szpitalu mówili, że inni ludzie z taką diagnozą mają przed sobą góra pięć lat. Mama przeżyła dwa razy dłużej. Mężnie walczyła, dla siebie, dla Tylki, dla mnie. To ona powinna się nazywać Matylda, taki był z niej zawodnik. – Zadrzał mu głos. – W końcu jednak się okazało, że tej walki nie wygra, a Matylda i ja patrzyliśmy, jak dzień po dniu z mamy uchodzi życie.

Wyobraziłam sobie tę scenę. Jak ja bym zniosła tyle nieszczęść? Co czuła pani Skarłatowa, która wiedziała, że umrze i osieroci swoje dzieci, w tym jedno niepełnoletnie i niesamodzielne, a ich ojciec to skończony alkoholik i nie mogą na niego liczyć, raczej będzie dla nich balastem? Moje dziecko było wielkości fasoli, niewiele większe od tej kreski na teście, a już zalały mnie macierzyńskie hormony żalu i smutku.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?! Dlaczego to ukrywałaś? Przecież mieliśmy być ze sobą szczerzy, sam mówiłaś, że szczerść w związku to absolutna podstawa! – Emocje w końcu wy dostały się na powierzchnię. Tego jednego wciąż nie potrafiłam zrozumieć. Przecież to tak ważna informacja, jak można było ją przemilczeć? Co chciał zrobić z tą siostrą? Schować ją na strychu? Czego jeszcze nie wiem o Staszku? Czym mnie zaskoczy? Tak, wszyscy jesteśmy ulepieni z tajemnic.

– Chciałem ci powiedzieć, naprawdę. Nie tak od razu, poznawaliśmy się powoli, ty też odkrywałaś kolejne karty pojedynczo... Zresztą tak szczerze – czy to by cię zachęciło do bycia ze mną?

Nic nie odpowiedziałam, co przecież samo w sobie było odpowiedzią. Myślałam, że ta rozmowa ujawni jakieś – brzydkie – rzeczy o Staszku, a tymczasem i ja poznawałam siebie. Z nieoczekiwanej strony.

Staszek pokiwał głową.

– Aż przyszedł taki moment, że już miałem absolutną pewność, że chcę z tobą spędzić życie, że ta nasza miłość to nie krótkotrwały zryw serca, tylko piękne i prawdziwe uczucie na długo. I wydawało mi się, że ty czujesz podobnie.

– Tak było. Znaczący tak jest – potwierdziłam szybko. – Więc co cię wtedy wstrzymało? – zapytałam już bardziej ugodowo.

– Ty – odparł Staszek spokojnie.

– Ja?! Jak ja mogłam cię powstrzymać, skoro nie miałam pojęcia, że chcesz mi coś takiego powiedzieć? – Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

- Pamiętasz, jak przypadkiem znalazłem ten bukiet róż w spizarni?
- Pamiętam... – Poczulałam wyrzut sumienia. Czym jednak był ukryty bukiet wobec faktu posiadania rodzeństwa? – Ale co to ma wspólnego z twoją siostrą? No przepraszam cię, kaliber jest zupełnie inny.
- Bo chciałem ci wtedy wyjaśnić, dlaczego mnie nie stać na takie prezenty. Opowiedzieć o tym, że nie tylko straciłem matkę, ojca właściwie także nie mam, za to mam długi do spłacenia i młodszą siostrę do utrzymania. Siostrę, która wymaga więcej uwagi, miłości, czasu. I kiedy już się zebrałem, że się tym z tobą podzielić, usłyszałem: „We dwoje życie ma inny smak”. To „dwoje” mnie przyhamowało. Nagle się przestraszyłem – nie dość, że biedny, to jeszcze obciążony siostrą z zespołem Downa, którą musi się zająć. Jaki za mnie kandydat na faceta dla dziewczyny z Warszawy, z dobrą pracą, mieszkaniem, mającej bogatego adoratora i dostatnią przyszłość bez problemów przed sobą? – Popatrzył na mnie ze smutkiem w oczach.
- Rany, przecież zupełnie co innego miałam na myśli! Że razem będzie nam lepiej, że się cieszę, że na siebie trafiliśmy! Jak mogłabym ci dać do zrozumienia, że nie zaakceptuję twojej siostry, skoro nawet nie wiedziałam o jej istnieniu?
- Przyznaję, stchórzyłem. Nie byłem dobrze przygotowany do takiej rozmowy. Więc następnym razem już sobie ułożyłem w głowie opowieść. I...
- I?...
- Szliśmy wtedy nad Wisłą, bulwarami. Powiedziałaś, że bardzo się cieszysz, że jesteśmy razem. Że najpierw myślałaś, że jesteśmy jak dwie połówki, jak to przeczytałaś w pamiętniku prababci, która tak pisała o sobie i swoim Staszku, ale potem przyznałaś rację pani Jadwidze, która mówi, że ludzie muszą być „skończonymi” całościami, jednościami i dopiero wtedy mogą stworzyć satysfakcjonujący związek. I jeszcze powiedziałaś, że ty jesteś taką skończoną całością. I że ja też jestem na tym etapie życia. A ja zaprzeczyłem, przypomniałem ci, że przecież jestem uwikłany w wydarzenia, na które nie miałem wpływu, a których efekty nie zniknęły i nie znikną. Miałem na myśli nie tylko dramatyczną historię rodzinną, która już się wydarzyła, lecz także właśnie Matyldę.
- I to był świetny moment na taką najszczerzą rozmowę. Miejsce, czas, spokój, atmosfera zaufania, wszystko temu sprzyjało...
- A pamiętasz, co mi odpowiedziałaś?
- Nie... Chyba coś pokrzepiającego? – Nagle straciłam rezon. Czy coś

głupiego wtedy palnęłam?

– Powiedziałaś, że przeszłość nas kształtuje, ale nie może nam zabierać teraźniejszości i przyszłości, jakoś tak. I, to już zapamiętałem co do słowa: „Pamiętaj – teraz jesteśmy my. Ja i ty – najważniejsi. Wszystko inne to tylko dodatki”.

– Jezu, Staszek, przecież zupełnie co innego miałam na myśli!

Byłam wstrząśnięta tym, jak łatwo między ludzi może się wkraść niezrozumienie. Drobne niedopowiedzenie, niezadane pytanie i zamiast zbliżenia – oddalenie.

– Widzisz, ja byłem tak zdenerwowany, że od razu wziąłem to do siebie i kolejny raz stchórzyłem, odpuściłem. Przestraszyłem się, że zburzę twoje wyobrażenia o naszej przyszłości i cię stracę. – Staszek rozłożył ręce w geście bezradności.

– Naprawdę tak mnie oceniłeś? Że mogłabym cię zostawić dlatego, że masz siostrę, którą musisz się zająć? – zapytałam i w tym samym momencie poczułam zgrzyt. Nie było co udawać, to nie była wesoła i zachęcająca informacja. Nie potrafiłam, tak jak Staszek, myśleć, że Matylda jest inna, po prostu: inna. Mimo wszystko nie zrobiłabym z tego powodu afery, nie rozmyśliła się, nie odeszła. Nie, na pewno nie, byłam o tym teraz przekonana. „A czy gdybyś się dowiedziała na samym początku, przed ciążą, to czy to by coś zmieniło?”, zapytał niedobry głos w mojej głowie. Każdy ma taki głos, bo każdy ma taki zakątek myśli pomyślanych i niewypowiedzianych, ukrywanych nawet przed sobą. Kiedy się człowiek pilnuje i spina, to te myśli siedzą cicho, gdy się odważy, odkrywa, usamodzielnia i odzyskuje kontakt z własnymi uczuciami, to te myśli wybrzmiewają. I ta wybrzmiała. Nie była miła, ale nie pozwolę się jej rozgościć.

– Pewnie nie, choć chyba sama czujesz, że... – Nie dokończył. – Więc strach był silniejszy. Strach... – Staszek się zamyślił. – Widzisz, to kolejny temat. Niechlubna sprawa, choć z upływem lat jakoś to poukładałem w głowie. Ojciec alkoholik – trudno się kimś takim chwalić, prawda? Kiedy byłem młodszy, zdarzało mi się nawet myśleć, że on może przeze mnie pić. Albo przez matkę, co próbował mi wmówić. Czułem się za niego odpowiedzialny, próbowałem coś zrobić. Ale co może zrobić dzieciak? Albo nawet nastolatek czy młody chłopak. To nie dziecko ma się troszczyć o rodzica, tylko rodzic o dziecko. Teraz to dobrze wiem, z tym się uporałem. Już go nie śledzę, nie wypatruję, czy wraca i w jakim stanie, nie usprawiedliwiam. Żyje na własny rachunek i na własny

rachunek umrze. Zostało mi jednak poczucie gorszości. Kiedy dziecko nie dostaje bezwarunkowej miłości i opieki w dzieciństwie, trudniej mu w dorosłym życiu uwierzyć, że na nie zasługuje. Zawsze bardziej się stara. To we mnie siedzi mimo upływu lat i terapii, ta zaburzona wiara w siebie... Zresztą może nie tylko we mnie, bo spójrz, co ta mała karteczka wywołała w twoim sercu. Zwątpienie...

To nie było powiedziane tonem wyrzutu, tylko spokojnego stwierdzenia. I, mój Boże, Staszek miał rację! Przeczytałam i dopowiedziałam sobie wszystko. Rozum, napędzany wspomnieniami, lękami i wciąż jeszcze niską samooceną, wyprodukował bardzo prawdopodobną historię. Oboje zachowaliśmy się podobnie – daliśmy się zwieść własnym ponurym wyobrażeniom.

– Ale wreszcie uwierzyłem w siebie i w nas. I dzisiaj chciałem ci powiedzieć, dlaczego czasem bywam smutny. Dlaczego tak często jeżdżę do Witowa, co mnie tam ciągnie, choć powinienem chcieć uciec od tego miejsca jak najdalej. Po spektaklu, podczas kolacji, chciałem porozmawiać. Tym razem bez lęku, że mógłbym cię stracić. Gdybym tylko wiedział, że znajdziesz ten karteluszek... – Staszek pogładził mnie po policzku.

– Chciałam wyprać twoją koszulę – wyjaśniłam, bojąc się, że posądzi mnie o przeszukiwanie jego kieszeni. Miałam różne wady, ale do szpiegowania bym się nie posunęła. – Karteczka wypadła, a ja ją podniosłam i tak odruchowo, żeby sprawdzić, czy to nie śmieć...

– Matyllda mi wsunęła tę kartkę, żebym o niej pamiętał. Tak jakbym mógł zapomnieć... Stawiała te litery z dobre pół godziny, starannie, pieczołowicie.

– Potrafi pisać? – zdziwiłam się. Chyba jednak niewiele wiedziałam o zespole Downa.

– Potrafi. W tym odmienność jej nie przeszkadza. Zresztą, tak jak ci powiedziałem, to wariant mozaikowy zespołu Downa. Matyllda nawet chodzi do zwyczajnej szkoły, choć to akurat ma bardzo prozaiczne wyjaśnienie – do szkoły specjalnej nie miałby jej kto wozić, ciotka nawet prawa jazdy nie ma. Dyrektor się zgodził, nie do końca formalnie. I na razie to się udaje, jest bardzo pomocna pani pedagog, ale za chwilę trzeba będzie pomyśleć o innym rozwiązaniu.

– Cóż – postanowiłam już nie przemilczać niczego i niczego nie udawać – moja wiedza o zespole Downa jest dość powierzchowna. To znaczy znam medyczne uwarunkowania, wiem, na czym to polega na poziomie genów, ale jeśli chodzi o codzienność z taką osobą, to chyba mam dość stereotypowe wyobrażenia.

– Że to dramat? – W głosie Staszka nie było złości, powiedział to zwyczajnym tonem.

– Może nie aż tak – odpowiedziałam ostrożnie – ale że to poważna sprawa. Problem. Coś, czego nikt by nie chciał u siebie w rodzinie. – Zaczerwieniłam się, wypowiadając te słowa. – A ty to nazywasz: „odmienność”. Bardzo ładnie mówisz o tym i o Matyldzie.

– To moja siostra, kocham ją.

„To moja siostra, kocham ją”. Tyle – tylko tyle i aż tyle. Tak, miłość potrafi załatwić najtrudniejsze sprawy.

– Stasiu... – rozkleiłam się. To był naprawdę dobry chłopak.

– Teraz już będę wiedział, że jesteś niezwykle wrażliwa. – Objął mnie ramieniem. – Całe szczęście, że nic ci się nie stało. Mogłaś się uderzyć głową o stół, zranić. I to wszystko z powodu głupiego zwitka papieru. A co do Tylki...

– Matko! Z tego wszystkiego zapomniałam o czymś bardzo ważnym! – Gwałtownie się wyprostowałam, przerywając mu. – Zaraz porozmawiamy o Matyldzie, o wszystkim, co z nią związane, tylko najpierw muszę ci coś powiedzieć. Tak dla równowagi, bo ty też nie o wszystkim wiesz. Zdanie z karteczki to niejedyna informacja, która tak mną dzisiaj wstrząsnęła. Kiedy wszedłeś, rozmawiałam z mamą. I dowiedziałam się, że Staszek Morlaczonek żyje.

Oczywiście była również druga informacja, jeśli chodzi o doniosłość, to pewnie jeszcze ważniejsza, nie chciałam jednak, żeby Staszek powtórzył mój los i osunął się z wrażenia na ziemię, więc postanowiłam stopniować napięcie. Tak, Staszek Morlaczonek żyje gdzieś w Anglii. Przede mną zaś stał Staszek Skarłat, który wpatrywał się we mnie, jakby mnie widział pierwszy raz w życiu.

– Masz na myśli tego Staszka od twojej prababci? Tego, co zginął pod Dunkierką?

– Tego samego, z tą drobną różnicą, że jednak nie zginął.

– Ale jak to możliwe? Przecież przyszła wiadomość o jego śmierci. Oczywiście pomyłki nie można wykluczyć, ale toby musiał być wyjątkowo niefortunny przypadek. No i gdyby żył, to chyba dałby jakiś znak? Szukałby twojej prababci?...

Fakt, o tym nie pomyślałam. Zrobiło mi się zimno koło serca. Tak się ucieszyłam z jego nagłego zmartwychwstania, że zupełnie mi nie przyszło do głowy się zastanowić, dlaczego sobie odpuścił prababcię. Czyżby wcale nie był taki super?... Nie, nie, oby tylko nie to, kolejny raz bym nie chciała przeżywać

takich emocji.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam nagle zbита z tropu. – To rzeczywiście dziwne. Ale na pewno żyje. Jest jednym z Polaków opisywanych w tej książce, którą mama tłumaczy. Może trzeba będzie zetrzeć trochę złota z pomnika, który już zdążyłam mu wystawić? – Posmutniałam.

Staszek milczał. Odezwał się po dłuższej chwili.

– Niekoniecznie. Co innego mi teraz przyszło do głowy. Bo zobacz, kiedy Emilia napisała, że on nie żyje, to nie dowiedziała się tego osobiście, prawda?

– Prawda – przytaknęłam. – Ktoś jednak musiał ją o tym poinformować.

– A może to było tak, że ojciec, który nie przekazywał jej listów od Staszka, tym razem zmyślił taką informację? – Staszek spojrzał na mnie znacząco.

– Ale jak to zmyślił? Chcesz powiedzieć, że ją po prostu oszukał? W takiej sprawie? – Aż mi dech odebrało, gdy pomyślałam, że to jednak możliwe. I w tym przypadku było możliwe. Jan Majewski już udowodnił, że był draniem.

– Robił gorsze rzeczy. Oszustwo przy gwałcie to pestka.

Miał rację. Po tym człowieku można się było spodziewać wszystkiego. Pomysł mamy, by go wyeksmitować z grobu rodzinnego, nie był taki zupełnie chybiony.

– Ale nawet jeśli tak było, to wciąż nie rozumiem, dlaczego Staszek Morlaczonek nie szukał babci.

– Może szukał, tylko te listy ojciec też niszczył? Na razie zostają nam jedynie domysły. Ale rozumiem, że będzie okazja, żeby go zapytać? Odezwanie się do niego, prawda?

– Tak, na pewno! Nie zdążyłam tego z mamą ustalić. Skończyłam rozmowę, kiedy wszedłeś, bo poczułam, że robi mi się słabo. Wszystko mi się pomieszało: on, ty, karteczka i...

– Ale już dobrze, wszystko już dobrze. Tajemnica wyjaśniona, znowu jesteśmy razem. We dwoje ze wszystkim sobie poradzimy. – Zaakcentował „we dwoje” i niepewnie spojrzał na mnie.

– We troje... – Uśmiechnęłam się do niego.

– Cieszę się, że akceptujesz Tyśkę, choć jeszcze jej nie poznałaś. – Odwzajemnił uśmiech. – Więc co do mojej siostry, to...

– Akceptuję, choć właściwie nie ją miałam na myśli. Matyldę licząc, to los splótł cztery osoby. – Parłam do tego, żeby już wszystkie tajemnice ujrzały światło dzienne.

– Chyba zaczynam się gubić w tej arytmetyce. – Staszek bezradnie rozłożył ręce. – Twoja mama się sprowadza do Krakowa?...

– No skąd! – zaprzeczyłam gwałtownie. – Zresztą nie obawiaj się, ona nie ma nic wspólnego z klasyczną teściową! To antyteściowa. Żadnego mieszkania z dziećmi, żadnego niań..., no, niczego takiego po prostu. – Uspokołam go. – Poczekaj – dodałam.

Wstałam od stołu i podeszłam do toaletki. Wysunęłam szufladę i wyjęłam z niej zielone pudełeczko przewiązane białą wstążką. Czekają na wieczór, ale okoliczności całkowicie się zmieniły. Kiedyś bym wpadła w panikę, ponieważ każde odstępstwo od założonego planu wybijało mnie z rytmu i przerażało. Nie znosiłam tak zwanych nieprzewidzianych sytuacji. Sytuacje i życie należało przewidywać. No ale to było kiedyś... Teraz moje życie przypominało kolorowe układanki przewracające się w kalejdoskopie. Gdybym nie przeszła intensywnego treningu decyzyjno-emocjonalnego w ostatnich tygodniach, pewnie bym już zwariowała. Ale przeszłam, więc po prostu odwróciłam się w stronę Staszka i powoli do niego podeszłam.

– Bardzo się cieszę. – Pocałowałam go w policzek, a potem ujęłam jego dłoń i położyłam na niej ten pakuneczek.

Staszek patrzył pytająco. On też się ćwiczył w byciu zaskakiwanym.

– Co to jest? – zapytał powoli. – Oświadczasz mi się?

– Jestem zwolenniczką równouprawnienia, ale w załączniku wykluczeń jest kilka pozycji. Między innymi oświadczyny. Otwórz i już.

Staszek niepewnie rozsupłał kokardkę. Zdjął wieczko. Wyjął plastikowy patyczek. Wpatrywał się w niego. I wciąż nic nie mówił.

– Czy to znaczy?... – wydusił z siebie w końcu.

– Tak.

Popatrzyliśmy na siebie, a potem świat znowu zawirował. Wszystko się kręciło, kiedy Staszek mnie ścisnął i tulił. *A góry nade mną jak niebo, a niebo nade mną jak góry...*

Tym razem, choć przez chwilę, niebo było bezchmurne, a góra – czarodziejska.

Rozdział trzeci



Patrzyłam na zegarek i nie mogłam uwierzyć – dochodziła jedenasta. Rekord godny prawdziwego śpiocha. „Cóż, Majewska, jak zmieniasz życie, to po całości”, westchnęłam. I uśmiechnęłam się.

Wczorajszy dzień musiał mieć więcej niż dwadzieścia cztery godziny, tyle się wydarzyło. Kiedy już oboje ze Staszkiem trochę ochłonęliśmy – choć jeśli się zostało rodzicem nawet jeszcze nienarodzonego dziecka, to czy człowiek w ogóle może wrócić do stanu spokojnego ducha? Przecież już zawsze, do końca życia, będzie miał myśli zajęte: troską, radością, lękiem o swojego potomka – zadzwoniłam do mamy, żeby dłużej i w mniej chaotyczny sposób porozmawiać o tak cudownie odnalezionym pradziadku. W sprawie dokonał się pewien postęp. Wydawca, podekscytowany, że tłumaczka tropi ślady prowadzące do własnego drzewa genealogicznego w jego publikacji, ponownie potwierdził, że na zdjęciu jest Stanisław Morlaczek, urodzony w Polsce, w miejscowości Jabłonka, w 1922 roku. Żyje (obym miała gen długowieczności po nim!) i mieszka w Norfolk. Więcej wydawca nie wie, ale mógłby zapytać. Tu jednak mama zaprotestowała, całkiem przytomnie. Stwierdziła, że nie chce, by o tak ważnej sprawie, jak istnienie rodziny w Polsce, o której Mr Morlaczek przecież w ogóle nie ma pojęcia, dowiedział się od kogoś obcego. Od razu zawisło w powietrzu oczywiste pytanie – jak w takim razie poinformujemy Staszka z pamiętnika, że w Polsce ma trzy krewne: córkę, wnuczkę i prawnuczkę? Obiecałyśmy sobie z mamą, że prześpijemy się z tym pytaniem i w niedzielę coś postanowimy.

Rozmawialiśmy też o Matyldzie. Dowiedziałam się więcej, ale czy potrafiłam sobie to wyobrazić?... Ten temat wciąż napawał mnie lękiem. Jeśli chcę być ze Staszkiem – a chciałam, i to jak! – Matylda nie będzie tylko pod jego opieką, stanie się także częścią mojego życia. Nie podjęliśmy żadnej konkretnej decyzji, prócz jednej – muszę pojechać do Witowa i ją poznać.

A potem poszliśmy do teatru. Staszek wybrał Teatr Słowackiego – piękny budynek, w którym oglądanie przedstawień jest wyjątkowo przyjemne, choć kiedy zna się historię tego skrawka Krakowa... Teatr wybudowano na miejscu kościoła Świętego Ducha, skąd obecna nazwa placu. Wcześniej mieścił się tu zespół klasztorny duchaków, czyli Zakon Ducha Świętego, którego misją było pomaganie porzuconym dzieciom, ubogim i chorym. No i duchacy pomagali w tym miejscu od trzynastego wieku! Mieli szpital i szkołę parafialną. I tak to się toczyło, aż zakon uległ naturalnemu rozwiązaniu – duchaków ubywało, a kiedy ostatni z nich umarł, tereny przejęło miasto. Rada zdecydowała, by wyburzyć budynki klasztorne i na ich miejscu postawić teatr. Oprotestowało to wiele znamienitych osób, w tym Matejko, który – po przegranej – tak się uniósł godnością, że oddał tytuł honorowego obywatela i zapowiedział, że już więcej w Krakowie prac wystawiać nie będzie. Wyburzanie starych budynków zawsze mnie bolało, ale w tej historii bardziej dręczył mnie fakt, że gdzieś w ziemi, pod naszymi stopami, znajdują się groby z cmentarza podrzutków, którymi się duchacy zajmowali. Teraz są okna życia, wtedy była furta życia – tam zostawiano niechciane dzieci, a umieralność wśród nich była naprawdę duża. Tak, ciężka decyzja uwalnia w kobietach nowe pokłady czułości i wzruszeń. Nawet *Lalka*, którą oglądaliśmy tego wieczoru, wpędziła mnie w nostalgiczny nastrój – żałowałam oczywiście Wokulskiego. Poczciwego, odrzuconego Wokulskiego. W ogóle byłam w takim nastroju, że przytuliłabym do serca cały świat. Po spektaklu poszliśmy na zapowiedzianą kolację do małej greckiej knajpki niedaleko Rynku. Bardzo smaczne, proste jedzenie, a do tego to, czego tak często brak większym restauracjom – spokojna, kameralna atmosfera. Żadnej głośnej muzyki, ostrego światła, zbyt blisko ustawionych stolików i hałasów dochodzących z zewnątrz. Są takie restauracje, w których można tylko zjeść, bo na rozmowę nie ma szans. Tutaj – była. Rozmawialiśmy więc długo w noc. Przede wszystkim o naszym dziecku. Ponoć reakcja mężczyzny na wieść o (nieplanowanej) ciąży to papierek lakmusowy związku. W reakcjach chemicznych jest tak, że środowisko zasadowe zmienia kolor tego papierka na niebieski, a środowisko kwasowe – na czerwony. Reakcja Staszka

była intensywną czerwienią – tyle miłości i szczerzej radości z niej przebijało; jego prawy charakter i zasady zaś świeciły na niebiesko. Zadeklarował oświadczyzny, bardzo się ucieszył, że nie odmówię, gdy już padnie na kolana, trzymając za plecami pudełko z pierścionkiem. Nie nastąpiło to, co prawda, wczoraj, jak sobie wcześniej wyobrażałam, ale to chyba nawet lepiej – więcej emocji bym nie uniosła.

Poza tym znowu rozmawialiśmy o Staszku Morlaczonku i Matyldzie. Mój pradziadek był równie fantastyczny, co... odległy. To niezwykle, że żył i że pewnie niedługo się spotkamy, ale był niezależnym, samodzielny, no, może nie tak do końca, przecież osiągnął już sędziwy wiek, człowiekiem. No i być może miał swoich bliskich, którzy otaczali go opieką. Matylda zaś... Z Matyldą, czy z Tyską, bo tak najczęściej nazywał ją Staszek, nie potrafiłam sobie do końca poradzić. Z jednej strony czułam do tej dziewczynki sympatię, bo przecież to siostra mojego ukochanego Stasia, nieduże, osieroczone dziecko, ale z drugiej, czego sama przed sobą się wstydziłam, miałam jakiś opór. Bo kiedy mówiłam „we dwoje”, „tylko my”, odzywało się we mnie to samo pragnienie, które kieruje wszystkimi świeżo zakochanymi – żeby być razem, ukryć się przed innymi, nikogo nie dopuszczać do swojego tajemnego, małego świata. Byłam w ciąży, więc ten dwuosobowy świat zaraz się zaludni kolejnym człowiekiem, ale to jednak co innego. To krew z naszej krwi, nasze dziecko. Matylda zaś była bliska Staszкови, ale dla mnie – obca. I jeszcze ta „inność”. Okazało się, że jednak byłam ignorantką w sprawie zespołu, który charakteryzował się obecnością dodatkowego chromosomu 21. Zdążyłam trochę doczytać w fachowych publikacjach i na forach rodziców dzieci z zespołem Downa. To był odrębny świat – wcale nie straszny, jak się to powszechnie uważa, ale na pewno angażujący. O takie zaangażowanie łatwiej, gdy jest się rodzicem i kocha się swoje dziecko. Albo bratem i kocha się swoją siostrę. A czy mnie się uda pokochać lub choćby serdecznie zaakceptować Matyldę? Czy sobie poradzę? Czy my – jako nowa, niestandardowa rodzina – sobie poradzimy? Bardzo mi się kotłowało w głowie, w sercu i w duszy.

– Wstałaś już? – usłyszałam za plecami, gdy po prysznicu zaczęłam się krzątać w kuchni.

– „Już” to określenie trochę na wyrost. – Uśmiechnęłam się.

– Fakt. Mnie też się nie zdarza tak długo wylegiwać, nawet w niedziele. Zmiana goni zmianę. – Podeszedł do mnie i przytulił, kładąc rękę na moim brzuchu. Wypukłość w tym miejscu nie miała oczywiście nic wspólnego

z rosnącym we mnie życiem, ale ten symboliczny gest bardzo mnie wzruszył i uspokoił. Choć i trochę skrępował. Nie przepadałam za fałdką w tym miejscu.

Kwadrans później, wciąż jeszcze przed południem (ta myśl rozgrzeszyła mnie trochę z poczucia winy co do lenistwa), usiedliśmy do śniadania.

– Mam wrażenie, jakbym wczoraj przeżyła kilka lat – powiedziałam. – To znaczy, minione tygodnie to w ogóle jedno wielkie przyspieszenie, ale ostatnia doba przebija wszystko.

– Czuję się podobnie. Ale to strasznie dobre emocje, napędzające do działania. Trzeba po prostu przemeblować życie. – Staszek dziś był oazą spokoju. Och, jak dobrze, bo ten spokój udzielał się również mnie.

– W remontach oboje już mamy wprawę – stwierdziłam. – Pytanie, od czego zacząć. Gdy zjemy, to zadzwonię do mamy, tak jak jej obiecałam. Tyle tylko, że poranek nie przyniósł mi żadnego pomysłu w sprawie wizyty u pradziadka. Mama na pewno ma rację, że należy to załatwić delikatnie i osobiście, żeby go nie narazić na jeszcze większy stres. Bo zszokowany to i tak będzie – po tylu latach się dowiedzieć, że się ma dziecko? I wnuczkę, i prawnuczkę?

– Gdybym ja musiał tyle czekać na taką informację, tobym nie dożył. – Uśmiechnął się Staszek. – Pod tym względem to dobrze, że oni byli tacy młodzi, kiedy to się stało.

– Moją radość wciąż przykrywa cień niepokoju, dlaczego pradziadek nie szukał Emilii – westchnęłam. – Chociaż wydaje mi się, że rzeczywiście mogło tak być, że próbował się z nią skontaktować, ale Jan Majewski skutecznie te próby utrudniał, aż w końcu ostatecznie uciął sprawę, informując ich nawzajem o ich rzekomych śmierciach.

– Też bym tak obstawiał. – Pokiwał głową Staszek. – W każdym razie, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to niedługo będzie jasne, jak to naprawdę wyglądało.

– Jeżeli rzeczywiście kochał Emilię i po osiemdziesięciu latach się dowie, że mógł z nią szczęśliwie przeżyć życie, gdyby nie jej szurnięty i podły ojciec, to może go to doprowadzić do rozpacz. To chyba jeden z tych przypadków, że lepiej nie wiedzieć. – Nagle naszły mnie wątpliwości. Zafundujemy seniorowi Morlaczonkowi prawdziwy wstrząs.

– Jedyne sposoby, żeby to sprawdzić, to pojechać do niego. Zresztą... Nawet jeśli to była tak ogromna miłość, to pewnie i tak z czasem jakoś ułożył sobie życie.

– Myślisz, że miał żonę, dzieci? Że babcia ma przyrodnie rodzeństwo? W sumie też mi to przyszło do głowy.

– Obstawiam, że tak. Życie nie znosi próżni.

Życie nie znosi próżni... Paweł płynnie przeskoczył z jednego kwiatka na drugi. Mój niedoszły szef i niedoszły chłopak też się uwinął w trymiga. Za to prababcia pozostała wierna temu pierwszemu uniesieniu, a babcia potrzebowała kilkudziesięciu lat, żeby się otworzyć na nowy związek. Więc albo Majewskie były odstępstwem od reguły, albo mężczyźni rzeczywiście są z innej gliny ulepiani.

– Słuchaj, a twoja babcia to już wie? – Głos Staszka wyrwał mnie z zamyślenia.

– Jezu, pojęcia nie mam! O tym jakoś nie pomyślałam, a przecież z nas trzech to ona jest tu najważniejsza, bo to jej ojciec. Mama pewnie jej powiedziała. Chociaż... jeśli babcia do mnie nie zadzwoniła, to chyba jeszcze nie wie?

– Może jej mama też chce powiedzieć osobiście? – zasugerował Staszek.

Pokiwałam głową. Jeżeli tak było, to mama będzie się musiała wybrać do Krakowa.

Staszek chyba czytał mi w myślach.

– A może zaprosiłabyś mamę i babcię tutaj?

– Znaczą do nas? – zapytałam, uśmiechając się.

– Do nas. – Staszek się rozpromienił, ale po chwili dodał: – Oczywiście nie chciałbym być intruzem, to przecież będzie dość intymna chwila i pewnie będziecie wolały przeżyć ją tylko w swoim gronie, rodzinnie.

– Rodzinnie – potwierdziłam. – Czyli też z tobą. Obrączki brak, kredytu brak, żadnego przymusu, żeby być razem, prócz miłości. To chyba dobry początek nowej rodziny?

– Kocham cię – powiedział Staszek, jakby stwierdzał najbardziej oczywistą rzecz. Wśród różnych zapewnień porządkujących świat, nadających mu sens i łagodzących lęki o przyszłość, te dwa słowa nie mają sobie równych.

– Też cię kocham.

* * *

Po śniadaniu poszliśmy na spacer. Spokojną, niespieszną, niedzielną wędrowną. Żeby ominąć turystyczny gwar, wybrałam oddaloną od centrum trasę, w kierunku Błoni. Kiedy doszliśmy do parku Jordana, usiadłam na ławce, wyjęłam telefon z torebki i wybrałam numer do mamy. Staszek taktownie poszedł oglądać popiersia wielkich Polaków ustawione na skwerku.

– Dzień dobry, *my darling!* – Mama była w znakomitym nastroju. – Jak samopoczucie? Ochłonełaś już trochę?

– Trochę. – Mama wciąż znała tylko połowę ekscytujących wieści. O ciąży nie chciałam mówić przez telefon. Tak, to będzie bardzo emocjonujące spotkanie...

– Mamo, a powiedz mi, babcia wie o Staszku Morlaczonku?

– Nie, skąd, no coś ty! I absolutnie jej w ten sposób nie informuj, absolutnie! Ona jest taka krucha, wbrew pozorom. To znaczy na zewnątrz zawsze była poukładana, zorganizowana i odporna na różne przeciwności losu, ale w środku to wrażliwa dusza. Ostatnio sporo przeszła – i pamiętnik, i ta historia z Rózią. Nie, nie, załatwimy to *face to face*. To znaczy razem, bo też powinnaś przy tym być.

– Pomysł jest jeszcze bardziej grupowy. Chciałabym was zaprosić do nas. To znaczy do mnie i do Staszka, i wtedy porozmawiać o wszystkim. – Gdy mówiłam „wszystkim”, miałam przed oczami mamę i babcię, które się dowiadują, że w hierarchii krewnych nagle przesuwiają się o jedno pole do przodu – mama robi się też babcią, a babcia – prababcią. Zwłaszcza ta pierwsza sytuacja wydawała się ciekawa – Dorota wciąż mówiła o sobie i swoich znajomych równolatkach „dziewczyna, dziewczyny”, a tu, proszę, wnuczę na horyzoncie.

– Doskonale! Czyli poznamy też zięcia! Dużo wzruszeń. To chyba przywiozę jakiś koniaczek, gdyby trzeba było cucić mamę oszołomioną liczbą newsów.

„Kilka koniaczków przywieź”, pomyślałam.

– Myślę, że to trzeba szybko zorganizować. Aż mnie nosi. No i czuję się trochę nie fair wobec mamy, że my już wiemy, a ona nie.

– Ja mam permanentnie wolne. Babcia też, chociaż teraz kursuje do Olkusza, więc może się okazać, że już zrobiła jakieś plany na najbliższe dni. A ty?

– Teraz we środy mam takie cykliczne zlecenie tłumaczeń dla portalu ekonomicznego. Nudy, aż szczęka od ziewania boli, ale płacą przyjemnie, więc robię i nie marudzę. Od dziesiątej do dwudziestej muszę być on-line, czyli mogłabym przyjechać we czwartek.

– Dobra. To jeszcze zadzwonię do babci i się upewnię, że jej też pasuje. Jako pretekst podam skończenie remontu...

– O, to wszystko już zrobione? – zdziwiła się mama. – Myślałam, że z kuchnią jeszcze jesteście w lesie.

– No nie, drewno już wyjechało z lasu, do tartaku, a potem do stolarni tego kumpla Staszka. Ale wciąż tam jest, choć już w postaci szafek. Poproszę Stasia,

żeby przyspieszył prace.

– Super. Dwie pieczenie na jednym ogniu – ucieszyła się mama. – Patrz, jak mi się śmiesznie powiedziało, bo przecież jestem wegetarianką.

– Śmiesznie – zgodziłam się. Mama nawet podczas największych życiowych zawirowań zachowywała optymizm i poczucie humoru. – To się rozłączam i zaraz dam ci znać, co i jak.

Babcia odebrała szybko, zupełnie jakby czekała na połączenie.

– Klaruniu, kochanie, no co tam u ciebie słyhać?

Może nawet to ja byłam tak wyczekiwana, nie tylko pan Kazimierz?...

– Wszystko w porządku, babciu. Sprawy idą w słusznym kierunku, dużo dobrego się dzieje, a tak w ogóle to chciałabym się z tobą spotkać.

– No pewnie, że tak. To co, wpadniesz jutro? Ugotuję jakieś kluseczki.

Kluseczki zabrzmiały bardzo zachęcająco, ale zbyt dobrze się znałam – nie wytrzymałabym i bym pękła, wygadując się przed babcią i zdradzając wszystkie tajemnice.

– Nie, tym razem to ja zapraszam. To znaczy ja ze Staszkiem.

– O, ho, ho! Czy to jakaś grubsza sprawa? – W babci obudziło się zainteresowanie.

– Eeee, nic z tego, co myślisz. – Nagle się pogubiłam. Nie byłam jednak doświadczonym strategiem.

– A co myślę? – zapytała filuternie.

– No, o jakichś uroczystościach, formalnych sprawach, że zaręczyny czy coś. A tymczasem to tylko skończony remont. Kuchnia gotowa, więc niech przejdzie chrzest bojowy. Zapraszam was na obiad.

– Nas?... – Babcia nie zrozumiała.

– Ciebie i mamę.

– Dorotka też będzie? Nic mi nie mówiła.

– Bo nie zdążyła. Dosłownie przed chwilą skończyłyśmy rozmawiać. I tak od słowa do słowa... Bardzo była ciekawa efektu końcowego i w sumie to razem wymyśliłyśmy, że oblanie zakończenia remontu to superpomysł. No i poznacie Staszka.

– Oczywiście, chętnie. To na którą się umawiamy?

– Na piętnastą, babciu.

– Będę. Zapowiada się bardzo miłe popołudnie.

„Atrakcji na pewno nie zabraknie”, pomyślałam, żegnając się z babcią. Do mamy wysłałam SMS: „Czwartek, 15.00. Przywieź ten koniak”.

Gdy podniosłam głowę znad telefonu, zobaczyłam Staszka idącego w moim kierunku.

– Pomniki obejrzone? – zapytałam, gdy stanął przy ławce.

– Co do jednego. Bogata kolekcja. – Tu przerabiałam pierwsze lekcje historii, z babcią. Lubiła mnie zabierać do parku jordanowskiego, bo to ogromny, zielony teren, no i były place zabaw dla dzieci. Teraz widzę, że bardzo się zmieniły, są nowoczesne, fantastyczne, no po prostu raj, ale wtedy tamte były spełnieniem dziecięcych marzeń. Gdyby posłać współczesnego dzieciaka na metalowe skrzypiące huśtawki z siedziskiem z desek z drzazgami czy siermiężne drabinki, trzy na krzyż, toby z nudów umarł, a wcześniej pewnie zapytał, czy taki plac to ma odpowiednie atesty bezpieczeństwa. A wówczas – słońce, ciepło, beztroska, lody śmietankowe na patyku, oranżada w woreczkach. I jeszcze opowieści babci o Koperniku, Reytanie, Kochanowskim... No i o Jordanie. Cudowne wspomnienia. A za chwilę... – Zrobiło mi się jakoś tak nostalgicznie.

– A za chwilę co? – zapytał Staszek.

– Za chwilę to ja będę przemierzała te alejki z wózkiem. Trudno uwierzyć...

– Ale to łyzy szczęścia? – Staszek objął mnie ramieniem.

– No... – siąknęłam. – Zupełnie się nie poznaję. Cięża mnie strasznie rozkleja. Wzruszam się wszystkim. I trochę się wszystkiego boję. We czwartek chyba się kompletnie rozsypię... – westchnęłam.

– Najbliższy czwartek?

– No właśnie. – Momentalnie się otrząsnęłam. – Impreza będzie przebiegać pod hasłem skończony remont. Da radę?

– W tej sytuacji musi. Jestem umówiony z Marianem na jutro. Razem się uwiniemy i do wieczora kuchnia będzie zmontowana. Potem jeszcze prace wykończeniowe, listwy, uchwyty, to we wtorek. W środę sprzątamy i na czwartek jesteśmy gotowi – zapewnił mnie Staszek.

– Brzmi idealnie. Aż się boję zapeszać, ale może teraz nasze życie będzie się toczyć w bardziej przewidywalny sposób? – Spojrzałam na niego z nadzieją.

– Nawet najwyższa góra ma gdzieś swój szczyt. Gdy się go wreszcie osiągnie, to już z górki. – Staszek jeszcze mocniej przytulił mnie do siebie.

Zamknęłam oczy. Ciekawe, że o trudnej, wymagającej wysiłku sytuacji mówi się „pod górę”, a kiedy już mózół się skończy, to jest „z górki”. Zupełnie jakby ta góra była nieproporcjonalna – z jednej strony wysoka, stroma, niebezpieczna, a z drugiej – łagodny pagórek. „Z” brzmiało jednak zdecydowanie lepiej niż „pod”. No i miałam nadzieję, że wreszcie na dłużej przysiadziemy na tej

słonecznej poziomkowej polanie, której obraz często wracał do mnie we snach.

Rozdział czwarty



Marian okazał się przemiłym człowiekiem. I niezwykle słownym. O szóstej rano dzwonek domofonu wyrwał mnie z miłego pólśnu.

– Mleczarz?... – ziewnęłam, zdumiona.

– Raczej dostawa kuchni. – Staszek pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło. Kilka kropel z jego wilgotnych włosów kapnęło mi na szyję. W pokoju zapachniało ziołami.

– Pachniesz jak najlepsza reklama Herbapolu. – Chwyciłam go za rękę i pociągnęłam na łóżko.

Zachwiał się i ze śmiechem padł obok mnie.

– Zostałbym na dłużej – powiedział, wsuwając rękę pod kołdrę – ale Marian czeka na dole. Zaparkował przed samym wejściem, więc musimy jak najszybciej wynieść szafki z auta, bo zatarasował ruch, zajmując pół ulicy i pół chodnika. W poniedziałek rano ludzie spieszący się do pracy nie są szczególnie wyrozumiali.

– Jasne, pędź. Sądziłam, że twój kolega przyjedzie później.

– Dniówka to dniówka. W końcu dzień zaczyna się nie wtedy, gdy ożywają biurowce, tylko wtedy, gdy słońce wzejdzie.

Fakt. Doszłam do wniosku, że właściwie każda sprawa może być oceniana rozmaicie, w zależności od tego, z jakiej perspektywy na nią patrzymy. Mój rytm życia przez wiele lat był wyznaczany godzinami pracy apteki, generalnie jednak poranek przypadał na mniej więcej siódmą. Wcześniej miasto jeszcze było uśpione, więc i ja rozbudzałam się powoli. Mama odsypiała noce poświęcone

tłumaczeniom. „Szkoda dnia na ślęczenie przed komputerem, zwłaszcza gdy pogoda ładna. W końcu nie po to zostałam freelancerką, żeby wysiadywać przy biurku od dziewiętej do siedemnastej. Najpierw się rozruszam, podoświadczam, pożyję, a potem do pracy. Zresztą w drugiej połowie dnia łatwiej mi się skupić”. Babcia zaś budziła się już po piątej i twierdziła, że te spokojne wczesnoporanne godziny bardzo sobie ceni. „Jak rozpocznesz dzień, tak go spędzisz. Więc ja zaczynam niespiesznie, w spokoju”. Kiedyś zapytałam, czy to taka naturalna potrzeba organizmu, dopasowująca się do metryki, czy od zawsze inny cykl dobowy. Babcia odpowiedziała: „Pewnie tak, z wiekiem to się trochę zmienia. Choć powiem ci, że kiedyś nie lubiłam tych wczesnych pobudek. Wszystko przygotować, ze wszystkim zdążyć, a mała Dorotka nie zawsze była chętna do współpracy. No a ja się nie mogłam spóźnić, bo jakby to wyglądało, gdyby trzydzieścioro dzieci czekało na mnie jedną? Więc kiedy musiałam, to nie lubiłam. Teraz lubię, bo nie muszę”.

O tak, ta zależność doskonale do mnie przemawiała w ostatnim czasie. Nie mogłam się nadziwić, że kiedyś w ogóle się nie zastanawiałam nad tym, jakbym chciała przeżyć życie. To tak, jakby planując trasę, gdzie punktem początkowym jest koniec studiów, a docelowym – no cóż, w końcu to ostateczny cel każdego życia – śmierć, wybrać autostradę. Szybko, płynnie, po drodze przeciętne widoki, miejsca parkingowe rzadko i wszystkie takie same. Jedzie się komfortowo, krajobraz za oknem płynnie się przesuwa, niewiele się z tej podróży pamięta. A na koniec, już u celu, mówi się – no i szybko zleciało, w sumie nawet nie wiem jak.

Kiedy się zatrzymałam w tym swoim pędzie – nie z własnej woli, po prostu zostałam wysadzona z luksusowego auta Pawła, a on dodał gazu i odjechał – to, gdy już opadł pył, po raz pierwszy miałam okazję się zastanowić, co dalej. Póki się jedzie, to się jedzie. Dopiero jak się coś zepsuje i trzeba myśleć o naprawie, szukać pomocy i holu, to człowiekowi przychodzą różne alternatywne rozwiązania do głowy. „Błogosławione psucie”, pomyślałam.

Skończyłam się wycierać i wciągnęłam dżinsy na jeszcze wilgotne ciało. Wchodziły z lekkim oporem i chyba nie był to efekt naturalny, gdy materiał z trudem przeslizguje się po rozgrzanej, lepkiej skórze, tylko po prostu zrobiło się mnie ciut więcej. I nawet nie mogłam za to winić ciąży. Po prostu się okazało, że gdy jestem szczęśliwie zakochana, to więcej jem – ciemna strona miłości, choć smakowita.

Podeszłam do okna. Rzeczywiście, biała furgonetka z bordowym napisem

„Marianex – usługi stolarskie” skutecznie utrudniała ruch samochodowy i pieszy. Obaj panowie jednak się uwijali, przenosząc kolejne elementy kuchni z samochodu na wewnątrz podwórko. Gdy wróciłam do okna z kajzerką posmarowaną masłem, Marian zamykał tylne drzwi i po chwili odjechał. Za to w drzwiach pojawił się Staszek, lekko posapując pod ciężarem szafki.

- Poczekaj, pomogę ci. – Przełknęłam ostatni kęs bułki i podeszłam do niego.
- Nie powinnaś. W twoim stanie. – Postawił szafkę na podłodze i odetchnął.
- Bez przesady. Cięża to nie choroba. Kiedyś tak uważano i kazano kobietom tylko leżeć i jeść za dwoje, ale teraz mamy dwudziesty pierwszy wiek i wiemy, że cięża to stan fizjologiczny – zaprzeczyłam. – Choć jedzenie nadal aktualne.
- To znaczy, że możesz robić to, co zawsze. A kiedy ostatnio nosiłaś meble z litego drewna?
- Tu na Wiślniej. Suwałam właściwie, no ale to szafa i stół, a pojedyncza szafeczka...
- A to sprawdź, jak to jest z tą pojedynczą szafeczką. – Staszek uśmiechnął się zachęcająco.

Podeszłam i próbowałam ją przesunąć. Cholerstwo ledwo drgnęło.

- Z czego to? – jęknęłam.
- Z materiału, który przetrwa do kolejnego pokolenia. Mężczyźni też mogą mieć intuicję – jeszcze nie widziałem o ciąży, a już myślałem przyszłościowo.
- No proszę, niby historyk, a myśli do przodu.
- Już ci mówiłem, że historyk po to poznaje i analizuje fakty, żeby właśnie myśleć do przodu i unikać błędów, na których społeczeństwo powinno się uczyć.
- Dobra, to będę jak historyczka – już się nie upieram, żeby pomagać, tylko myję zęby i was zostawiam. Zrobię zakupy, pospaceruję i przyjdę, kiedy się uporacie z najcięższymi pracami, żeby wam tu nie przeszkadzać.

Staszek wrócił do bycia tragarzem, a ja zeszłam na dół i ruszyłam w stronę hali targowej na Grzegórkach. Postanowiłam od zaraz wprowadzić jeszcze zdrowszy sposób odżywiania się. W trosce o kielkujące we mnie życie i po to, by kontrolować, w jakim tempie się powiększam. Oczywiście, że byłam rozsądna, więc żadnych diet w ciąży nie brałam pod uwagę, chodziło po prostu o uważność. Wiadomo, że gdy człowieka dopadnie nagły głód, to zje to, co ma pod ręką, a to w praktyce prawie zawsze oznaczało batonik. Muszę więc zadbać o to, żeby nie było batoników, a zamiast nich – zdrowe przegryzki, najlepiej warzywa i owoce. A zioła to zacznę sama hodować. Po remoncie jadalnia

zyskała gigantyczny parapet – Staszek powiększył ten istniejący, tworząc coś w stylu ministolika przy słonecznym oknie. Idealne miejsce na uprawę zieleniny. Może nawet jakieś pomidorki koktajlowe? Na razie stało tam samotne drzewko cytrusowe, to z ogrodu botanicznego w Powsinie, prezent od mamy na nowe życie. Och, jak zupełnie innego sensu nabierało teraz to „nowe życie”! Bardzo mi zależało na tym, żeby drzewko rosło i przetrwało. Na forach internetowych ludzie dzielili się informacjami, jak je doprowadzić do kwitnięcia i owocowania. Ja nie miałam aż tak śmiałych marzeń, na razie wystarczało mi, żeby przetrwało. Może w grupie innych roślin będzie mu różniej?...

Weszłam na Planty Dietlowskie. Teraz pod tą nazwą krył się skromny pas zieleni, mocno ocieniony przez drzewa. Kiedyś cały szeroki teren pomiędzy budynkami był przeznaczony na zieleń miejską, ale z czasem jej ubywało, bo była oddawana pod rozrastającą się infrastrukturę. Charakter tego miejsca był zupełnie inny niż Plant dokoła Rynku. Niegdyś ten teren wydawał mi się magiczny, bo babcia opowiadała, że dawniej biegło tędy koryto Wisły, które zasypano i utworzono właśnie planty. Czar prysł, gdy babcia rozwinęła historię – Starą Wisłę zasypano, ponieważ po ogromnej powodzi bardzo się zamuliła, a dodatkowo spływały tu nieczystości z okolicznych domów, co w efekcie sprawiło, że zamiast rzeki krakowianie mieli wylęgarnię cholery. Cmentarze regularnie się zapełniały jej ofiarami.

To jednak było w dziewiętnastym wieku, przecinkowce cholery tyle nie żyją, więc postanowiłam usiąść na zacienionej ławce i zadzwonić do Anki. Moja przyjaciółka nic nie wiedziała o ostatnich rewelacjach.

– Cześć! Możemy pogadać?

– *Hello!* Możemy. Niebawale, ale Zosia śpi. Wreszcie uwierzyłam, że istnieje coś takiego jak drzemki niemowlaków. Wcześniej wydawało mi się, że to tylko niesprawdzone teorie autorów poradników. A tu, proszę – co prawda, budzi mnie przed szóstą, ale po dziesiątej pada i ten miły dla ucha stan trwa do południa. To co tam słyhać, wolna, wysypiająca się kobieto?

– Dziś też wstałam o szóstej – pochwaliłam się.

– A co się stało? Pożar?

– Przyjechał kolega Staszka z meblami do kuchni.

– Wreszcie jakiś facet, który pracuje równie ciężko jak kobieta. To znaczy mam siebie na myśli. Zaczynam się przekonywać do górali.

– Ja już wcześniej się do nich przekonałam – zauważyłam przytomnie.

– Raczej się zauroczyłaś. U mnie to proces myślowy. A co tam u naszego

Staszka?

– Zależy, o którego pytasz... – Zawiesiłam głos. Skoro nasza rozmowa tak się potoczyła, to ten news będzie pierwszy.

– A o którego mam pytać? Chyba nie ma brata bliźniaka o tym samym imieniu, co? A innego Staszka nie znam.

– Znasz. A Staszek prababci Emilii?

– A co ma z nim być? Umarł, biedaczek. Życie pozagrobowe chyba nie obfituje w niespodzianki, co? – Kochana, zawsze nieco ironiczna Anka. I jak się za chwilę zdziwi!

– Nie mam pewności, ale przypuszczam, że rzeczywiście jest dość nudne. Tyle tylko, że on ma życie angielskie, nie pozagrobowe.

– Nic nie rozumiem. Jakie angielskie życie? Znaleźliście miejsce pochówku, tak?

– Jego znaleźliśmy.

– Jezusiku słodki, jak to jego? Zwłoki? Ten świr Jan, znaczy twój prapradziadek, go zamordował i ukrył pod parkietem?

Anka jeszcze bardziej niż ja nie dopuszczała do siebie myśli, że Staszek Morlaczonek mógłby przez te wszystkie lata żyć, skoro jej umysł produkował takie niestworzone historie.

– Jego znaleźliśmy. Żywego. W Anglii.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Anka, jesteś tam? – Nagle się przestraszyłam, że nawet taka twardzielka jak ona może zemdleć po usłyszeniu czegoś tak nieprawdopodobnego.

– Jestem – odparła głucho. Po chwili zapytała niepewnie: – A ty mnie przypadkiem nie wkręcasz?

– Nie, absolutnie nie. Też byłam w szoku, nawet większym niż ty. – „Ale to się niedługo wyrówna, gdy opowiem ci o ciąży”, pomyślałam. – Historia jest niesamowita, lecz prawdziwa. Widzisz, w tej książce, którą mama tłumaczy, o Polakach w Wielkiej Brytanii podczas drugiej wojny światowej, była wkładka ze zdjęciami. I pod jedną z fotografii mama zobaczyła podpis: Stanisław Morlaczonek. Od razu skojarzyła nazwisko, bo jest charakterystyczne. Już samo to byłoby fascynujące, bo znaleźć ślad po wielu latach to niezwykła sprawa. Ale prawdziwa bomba wybuchła, gdy mama zauważyła, że przy nazwisku widnieje tylko data urodzenia. Od razu napisała do wydawcy, a ten sprawdził – to prawda. Stanisław Morlaczonek żyje i mieszka w Norfolk.

– To jest niesamowite! Czad, po prostu jazda! Jak w zakręconej powieści! I co

teraz będzie? On już wie?

– Nie wie. Mama uważa, że należy mu powiedzieć osobiście. W końcu to już mocno leciwy pan, mógłby się za bardzo wzruszyć.

– To co, lecisz tam do niego?

– Pewnie mama się wybierze. Ustalimy we czwartek. Przyjedzie do Krakowa i spotkamy się z babcią. Wtedy też jej powiemy, bo na razie ona również nie wie.

– Rany, to naprawdę rewolucja! Przecież to jej ojciec!

– Wyobrażasz to sobie? Po tylu latach poznać swojego rodzica?

– Gdyby to dotyczyło mojej mamy, nie miałabym nic przeciwko... Dobra, żartuję. Ostatnio nieustająco mnie zasypuje dobrymi radami na temat Zośki. Za chłodno ubierasz. Za często karmisz. Nie noś na rękach tyle, bo wyrośnie gorsza niż ty. Itede, itepe.

– E, chce dobrze, przecież wiesz. – Mimo wszystko lubiałam mamę Anki. Właśnie za tę troskliwość, choćby i trochę nachalną.

– Mówisz tak, bo tego nie doświadczasz. Zresztą kiedy to dotyczyło tylko mnie, to jeszcze jakoś to znosiłam, w końcu jestem jej córką, ma do mnie jakieś prawa. Ale Zośka jest moja, to moje dziecko i tylko ja, matka, będę decydować. Właśnie tak – każdy rodzic dostaje szansę, żeby się poczuć najważniejszy na świecie i decydować o swoim potomku. Mama już miała tę szansę, teraz dziękujemy, pora na mnie. Jak tam kiedyś przydarzy ci się małe góralątko, to zrozumiesz.

– Czyli mniej więcej w połowie lutego.

– A co jest w połowie lutego?

– Poród.

– Czyj? – Anka jednak musiała być oszołomiona pierwszym newsem, skoro wciąż nie zaskoczyła, a przecież była błyskotliwą osobą.

– To się okaże. W każdym razie rodzi Klara Majewska.

Cisza, która teraz zapanowała, była dwa razy dłuższa niż za pierwszym razem. A potem rozległy się ryk i piski:

– Jesteś w ciąży! Aaaaa! No to fantastycznie! Jezu, jak się cieszę!

Dwie staruszki siedzące na sąsiedniej ławce też się chyba cieszyły. Anka darła się tak, że być może słyszał ją nawet Stanisław Morlaczek w Norfolk, który niebawem się dowie, że ma nie tylko córkę, wnuczkę i prawnuczkę, lecz także praprawnuczkę. Dostanie od nas istną czterolistną koniczynkę.

Rozdział piąty



Pietruszka, bazylia, oregano, rozmaryn i mięta. Za oknem w salonie zieleniły się lipy, zaś w jadalni zieloną oprawę zapewniały zioła, które przyniosłam z Grzegórzek. Prezentowały się pięknie – przesadziłam je do tego, co miałam: starej glinianej doniczki, wysłużonego emaliowanego półlitrowego kubka, dwóch szklanych słoików wygrzebanych w piwnicy i starego dzbanka na mleko. Pośrodku do słońca wyginało się drzewko cytrynowe od mamy w eleganckiej kamionce. „Nonszalancko i gustownie”, pomyślałam.

– Chyba ci się ckni do natury. – Usłyszałam za plecami głos Staszka. „Ckni”, kto tak teraz mówi, wzruszyłam się.

– A wiesz, że tak? Jak ja mogłam przez tyle lat żyć bez zielonego dokoła?

– Nie wiem. Ja bym nie mógł.

– No ale teraz będziesz... Ziołowo-owocowy parapet i trzy lipy nie zastąpią ci hał, lasów i łąk. – Jakoś posmutniałam.

– Ale twoje zielone oczy działają na mnie równie kojąco. – Staszek przygarnął mnie do siebie. Teraz pachniał ciepło, drzewnie. – Skończyłem docinać listwy, zaraz je przykleję i z grubszych spraw to już chyba wszystko. Podoba ci się?

– Jest absolutnie pięknie. Jasno, słonecznie, przytulnie. Aż by się chciało nie wychodzić z za tego blatu. Niestety – westchnęłam. – Ładna kuchnia wabi człowieka. Piękno ma naturalną zdolność przyciągania. No i potem się je. I je. I znowu je.

– Wcześniej jednak trzeba coś ugotować. Wszystko już kupiliśmy? – Staszek spojrzął na listę zakupów.

– Prawie. Zapomniałam o koperku, a młode ziemniaki bez zielonej posypki tracą urok, że o smaku nie wspomnę. Chłódnik już w lodówce. Ciasto rabarbarowe wyjmę za kwadrans i wtedy się przejdę po koperek. Może jeszcze kupię cytryny i zrobię lemoniadę?... Lubisz?

– Lubię. To ty działaj na froncie kulinarnym, ja wykańczam drobiazgi, a potem posprzątam.

„Posprzątam” brzmi w ustach faceta prawie tak wspaniale jak „kocham cię”. Pocałowałam Staszka i poszłam szukać torebki. Nie wiem, czy to z powodu ciąży, czy może zwolniłam hamulec, ale już nie byłam tak perfekcyjnie zorganizowana jak kiedyś. To też było nowe doświadczenie. Wcale nie takie złe – czułam się, jakbym pierwszy raz w życiu poszła na wagary.

Torebkę znalazłam, akurat gdy minutnik przypomniał o wyciągnięciu placka. Kwaskowo-słodki zapach wypełnił jadalnię. Była pierwsza, do umówionego spotkania jeszcze dwie godziny, a ja już bym coś mogła zjeść. „Z naturą się nie wygra”, pomyślałam i postanowiłam wstąpić po drodze do sklepu spożywczego po bułkę. Porcja węglowodanów nie tylko zaspokoi głód, lecz także trochę ukoji nerwy. Nie bałam się spotkania z mamą i babcią, byłam po prostu podekscytowana zmianami, które czekały Majewskie.

Pogryzając bułkę, z cytrynami i koperkiem w siatce, powoli szłam w stronę domu. Nagle poczułam odurzający słodki zapach. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jego źródła – w zasięgu wzroku nie było kwaciarni ani ulicznych stoisk z kwiatami. Była za to Jadzia. Słomkowy kapelusz, czerwona sukienka w białe grochy (i niech ktoś powie, że to wzór tylko dla młodych i wiotkich) i bukiet groszku pachnącego.

Zrobiłam kilka szybkich kroków i zrównałam się z sąsiadką.

– Dzień dobry, Jadziu!

– O matko, ale mnie przestraszyłaś! – Obfity biust Jadzi zafalował. – Idę sobie zamyślona, a tu nagle jakaś ładna istota mnie wyrzywa z mojego świata.

– A o czym tak myślałaś? – zapytałam nagle lekko strwożona. Może to coś związanego z hospicjum?...

Jadzia wyczuła moje speszenie:

– Jestem już po drugiej stronie mostu. Zastanawiałam się, czy zrobić dziś pierogi z truskawkami, czy ruskie?

– Ja bym wybrała truskawki. Ze stopionym masłem i cukrem. – Jedna bułeczka jednak nie uciszyła głodu.

– Tak? No to mówisz i masz. Może wpadniesz na obiad? Z panem Staszkiem,

jeśli jest.

– Jest, ale... – Nagle się zawahałam. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy, a przecież Jadzia była mi bardzo bliska. Nie tak, jak mama czy babcia, choć w pewien sposób ta relacja była nawet cenniejsza, bo mimo że nie popychały Jadzi do tego geny czy poczucie obowiązku, to troszczyła się o mnie i była dla mnie bardzo serdeczna. A ja ją niezwykle lubiałam. – ...ale mamy dziś gości. Więc ty przyjdź do nas na obiad.

– Czy ja wiem, nie chcę być jak piąte koło u wozu. – Jadzia się zawahała.

– Będzie mama i babcia, czyli sami swoi.

– Stało się coś? – Jadzia przyjrzała mi się badawczo.

– A musi się coś stać, żeby zjeść z bliskimi obiad?

– Gdy mają do niego trzysta kilometrów, to może i tak. Chyba że to taka ułańska fantazja. – Jadzia się uśmiechnęła.

– Fantazji to akurat mamie nie brakuje, ale rzeczywiście, powód jest. To co, wpadniesz?

– Wpadnę. Trzymaj moją siatkę i kwiatuszki, kiedy będziesz szła do siebie, to zahacz o moje mieszkanie i zostaw sprawunki w kuchni. Klucze masz?

Miałam. Pokiwałam głową.

– To dobrze, A ja wracam po dodatkową lubiankę truskawek. Pięćdziesiąt pierogów nam wystarczy?

„Czy po ciąży zmieszczę się w swoje ciuchy?“, pomyślałam, idąc w kierunku trzech lip. „Czy w jakiegokolwiek ciuchy się zmieszczę?“

* * *

– Bardzo ładnie. Może troszkę więcej koloru bym dorzuciła, ale to już jednak sprawa indywidualnego gustu. – Jadzia puściła do mnie oko. – Pan Staszek to człowiek wielu talentów.

– Dziękujemy, Jadziu. Kolor będzie, ale wiesz, nie od razu Kraków zbudowano.

– O, właśnie, a tę książkę czytałaś? Jeśli już się przerobiłaś na naszą, czyli krakowiankę, to na pewno by cię zainteresowała.

– Która? – Pogubiłam się w tym przeskoku od kuchni do literatury.

– Ta, co właśnie powiedziałaś. *Nie od razu Kraków zbudowano* Estreichera.

– Historyka – dorzucił Staszek. – Czytałem tylko fragmenty, ale przeczuwam, że by ci się spodobało, skoro tak lubisz historie o czasach, których już nie ma.

– Oczywiście sprawa! Ten Karolek, czyli główny bohater, jest rozkoszny. Fabuła się toczy pod koniec dziewiętnastego wieku i dużo w niej wdzięku i smaczków. Mam tę książkę, bardzo ją lubiłam, kiedy byłam młodą panienką – rozmarzyła się Jadzia.

– W głębi ducha chyba wciąż jesteś młodą panienką. – Uśmiechnęłam się.

– À propos innych młodych panienek, to zaraz będzie komplet – powiedział Staszek, naciskając guzik domofonu.

Po chwili w przedpokoju pojawiły się mama i babcia.

– Fantastycznie to wszystko wygląda! *Beautiful!* – Mama z zachwytem w oczach patrzyła na kuchnię. – Nowiutkie, jak spod igły, a pasuje do tych starych wnętrz. *Perfect!*

Mama była ubrana jak zawsze – kolorowo, fantazyjnie, więc tu żadnych zdziwień. Zauważyłam jednak pewną zmianę u babci. Zamiast w żelaznym zestawie spódnica i bluzka była w sukience. W kwiaty, dopasowanej. To była metamorfoza prawie na miarę kuchni.

– A gdzie sprawca tego cudu? – Mama była w swoim żywiole.

– Tu jest właśnie ten perfekcyjny Staszek, cudotwórca. – Wzięłam Staszka za rękę i lekko się usunęłam, żeby to on teraz przejął impet radości Doroty.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie cię poznałam osobiście. – Mama po mistrzowsku omijała konwenanse. – Dorota Majewska, mama małpeczki. – Małpeczki! Dobrze, że nie zaczęła od razu opowiadać żadnych kompromitujących historii z mojego dzieciństwa. Trzy razy ucałowała Staszka w policzki, a potem na chwilę zawisała na mnie, by przeskoczyć do Jadzi.

– Zatem mamę już znasz, a to moja babcia Elżbieta Majewska. Powinnam ci je przedstawić w odwrotnej kolejności, ale entuzjazm mamy jest trudny do okiełznania...

– I za to tak Dorotkę kochamy. – Nic się nie zmieniło. Mama była wariatką, babcia była wyrozumiałością. To znaczy prawie nic, biorąc pod uwagę odmieniony image babci. – Bardzo mi miło pana poznać, Klara opowiada o panu w samych superlatywach.

– Zrobię wszystko, by utrzymać ten poziom. – Staszek szarmancko ujął podaną mu dłoń i lekko musnął ją ustami.

– Jak miło na was patrzeć. – Jadzi lekuchno zadrżał głos. – Rodzina w komplecie.

Wymieniłyśmy z mamą porozumiewawcze spojrzenia. Pora wyciągnąć asa z rękawa. Ja to miałam nawet dwa rękawy zajęte...

* * *

– No i czy ludzie muszą jeść mięso? – Mama lekko odsunęła się od stołu i błogo uśmiechnęła. – Jaki jest powód, by mordować braci mniejszych, skoro natura tak nas obdarza warzywami i owocami?

– Może to z przyzwyczajenia? A jeszcze wcześniej z niedostatku? Pamiętam na przykład, że kiedy byłam mała, to częściej jadałyśmy ciemnie pieczywo, na przykład pumpernikiel. I potem, gdy czasy się zmieniły, to biały chleb, ten, który teraz uznaje się za gorszy, mniej wartościowy, był bardziej pożądanym i uważany za lepszy. Mięso, kiedyś luksusowe, gdy już można je było dostać, pojawiała się na stole codziennie. Żeby sobie powetować lata braku. Zresztą świadomość była inna. U starszego pokolenia wciąż jest. Ja sobie to przemyślałam i choć nie rezygnuję całkowicie, to ograniczam mięso. Zresztą w moim wieku to już nie potrzeba. Młode organizmy, rosące, kobiety w ciąży – tu białko by się zdało...

„Oby tylko babcia nie robiła mi wątróbki”, aż mnie przeszył dreszcz obrzydzenia na tę myśl.

– Zimno ci? Przymknąć okno? – zatroszczył się Staszek.

– Nie, nie – zaprzeczyłam gwałtownie. – Wszystko dobrze, jakoś tak przez chwilę...

Mama najwyraźniej uznała, że ten dreszcz to z nerwów, więc żeby skrócić moje męki oczekiwania, powiedziała:

– Zebraliśmy się tu dziś, żeby świętować zakończenie remontu i początek nowej historii na Wiślniej trzynaście. Kilkadziesiąt lat poszło do pamiętnika, teraz pora na nowy rozdział.

– Tak, właśnie. Pamiętniki idą na półkę, teraz wy tworzycie historię. – Babcia popatrzyła na nas ciepło.

Jadzia pokiwała głową.

– Dziękujemy. Oboje ze Staszkiem mamy nadzieję, że teraz będzie tu jaśniej, nie tylko dzięki odmalowanym ścianom i remontowi. Ale ten stary pamiętnik jeszcze na chwilę trzeba otworzyć... – Popatrzyłam na swoich bliskich. Jak babcia zareaguje? Co Jadzia powie? – Spotkaliśmy się tu nie tylko po to, żeby świętować zakończenie prac. Inny, ważniejszy powód, to informacja, którą od kilku dni znamy: ja, mama i Stasio.

– Coś o Rózi? – Babcia lekko pobladła, zapewne wyobrażając sobie kolejne dramaty, jakich mogła doświadczyć Rozalia Dyrda.

– Nie. To o kimś bliższym.

Babcia spoglądała na mnie, ewidentnie nic nie rozumiejąc.

– Bo widzisz, babciu – mówiłam, patrząc w te dobre, kochane oczy – mama, pracując nad tym przekładem o Polakach w Wielkiej Brytanii podczas drugiej wojny światowej, odkryła, że... – Zaschło mi w gardle. Przełknęłam ślinę i dokończyłam: – ...że Staszek Morlaczonka żyje.

I zamknęłam oczy – z tych wielkich emocji, jak małe dziecko, które myśli, że jeśli świat zniknie pod jego zamkniętymi powiekami, to jakby zniknął naprawdę.

– Mamuniu, wszystko dobrze? – Usłyszałam zatroskany głos Doroty.

– Coś niebywałego, coś niebywałego... – powtarzała Jadzia.

Wstałam od stołu, okrążyłam go i przykucnęłam przy babci. Wzięłam ją za rękę. Była zimna i spocona.

– Babciu – powiedziałam cicho – tego się chyba nie dało przekazać delikatniej.

– Wiem, skarbie, wiem. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To znaczy przyjął ten fakt, ale on się nie przebija poza rozum. W sercu... w sercu to takie wzruszenie, zdumienie, że... – Babcia się rozpłakała.

Z jednej strony kuciałam ją, z drugiej mama.

– Może melisę przyniosę? – zaproponowała Jadzia.

– Koniaczek mam – wysunęła kontrpropozycję mama.

– O, to lepiej. – Pokiwała głową Jadzia.

Staszek wyciągnął z szafki kieliszki, mama poszła do przedpokoju po płócienną torbę.

– Jesteśmy przygotowane. – Wyjęła z niej butelkę z ciemnobursztynowym płynem. Odkręciła ją, wlała trochę koniaku i podała babci: – Na raz. Pomoże.

Babcia posłusznie przechyliła kieliszek.

– Brrr! – Otrząsnęła się. – Dolej jeszcze kapkę, gdyby było potrzeba. I mówcie, Boże, opowiedzcie o wszystkim!

Mama raz jeszcze opowiedziała historię przypadkowego odnalezienia zdjęcia Staszka Morlaczonka. Babcia słuchała, mnąc w palcach płócienną chusteczkę do nosa. Jadzia nalała sobie koniaku. Chyba już trzeci raz. Staszek wziął mnie pod stołem za rękę. A mama wyciągnęła z torebki teczkę, a z niej – czarno-białą fotografię. Bez słowa położyła ją przed babcią. Babcia odłożyła chusteczkę i drżącymi palcami pogładziła twarz na wydruku.

– Mój Boże... – Westchnęła.

Przesunęła kredowy papier w naszą stronę. Patrzył na nas Stanisław Morlaczonka, który zniknął na dobre w 1945 roku, by teraz zgromadzić nas tu

przy stole.

– Te oczy... i włosy... – wyszeptałam. Staszekowi naprawdę byli do siebie podobni.

– I nosy. – Pokiwała głową Jadzia.

– To co teraz będzie? – Babcia patrzyła to na mamę, to na mnie.

– Po to też się spotkaliśmy. Żeby ustalić, co dalej. Plan jest taki, żeby pojechać do Norfolk i spotkać się z... – mama na chwilę się zawahała – ...z naszym tatą i dziadkiem.

– Masz na myśli, że pojedziemy my, we dwie? – Babcia znowu ścisnęła błękitną chusteczkę.

– Tak. Chyba wszyscy się zgodzimy, że o takiej sprawie nie można przez telefon albo listownie. Trzeba osobiście.

– No ale jak to?... – Babcia, zawsze poukładana i spokojna, teraz nie mogła zebrać myśli.

– Adres dostanę, wydawca pomoże. Więc w samolot i lecimy.

– Nigdy w życiu nie leciałam samolotem – westchnęła babcia.

– Nigdy w życiu nie poznawałaś ojca. – Uśmiechnęła się mama. – Nie tylko młodym mogą się ciągle przydarzać nowe rzeczy.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć... No to co dalej? Jak to zorganizować?

– Szybko. Nikt z nas nie robi się coraz młodszy, a Staszek Morlaczonek tym bardziej. Loty sprawdziłam, spanie też, jeśli się zgadzasz, to zaraz siadam do laptopa i robię rezerwację. W sobotę byłybyśmy na miejscu.

Babcia pokiwała głową.

Mama rozsunęła zamek swojej walizki i wyciągnęła z niej laptopa.

– O, patrz, z tych emocji zapomniałam o prezencie. – W ręku trzymała coś płaskiego i dużego, opakowanego w czerwony papier. – Proszę, to dla ciebie. No, rozpakuj – zachęciła mnie.

Odkleiłam przyklepione taśmą rogi i odwinęłam papier. Zobaczyłam beżową fakturę i cienkie aluminiowe ramy. Obraz. Odwróciłam go przodem. To byłam ja. Stałam w salonie, na tle lip. Światło, które delikatnie przedzierało się przez ich gałęzie, pięknie mnie oświetliło, tworząc dokoła tajemniczą poświatę. Mama uchwyciła mnie lekko zamyśloną, lekko uśmiechniętą. To rzeczywiście było piękne zdjęcie, zwłaszcza powiększone i ładnie wydrukowane.

– Pamiętasz ten moment, prawda? – zapytała mama.

Pokiwałam głową.

– Niezwykły kadr. Wyglądasz tu jak święta, jak Madonna. – Babcia się

rozczulila.

– Tak samo wtedy powiedzialam! Ze wyglada jak Madonna w aureoli – uduchowiona, delikatna. Tylko dzieciatka brak – ucieszyła się mama.

Przygladalam się sobie schowanej za szkłem oprawy. Rzeczywiście, fotografie nie bez powodu były kiedyś uznawane za magiczny wynalazek – zdjęcie wyłapało to, o czym ja wtedy jeszcze nie wiedzialam – że jestem w ciąży.

Delikatnie položylam prezent na stole.

– Koniec remontu i odnalezienie Staszka Morlaczonka to nie jedyne powody dzisiejszego spotkania. Jest jeszcze coś.... Ktoś właściwie... Powiedzcie Staszce Morlaczonce, że w Polsce czekają na niego cztery pokolenia Majewskich.

Rozdział szósty



– Ogród zielny na naszym parapecie jest jak jedno ziarnko piasku na całej plaży, kiedy można mieć takie widoki – westchnęłam.

Dojeżdżaliśmy do Witowa. Zielono, zielono, zielono. Pola przechodziły w łąki, łąki stykały się z lasami. Miałam wrażenie, że ta bujna przyroda nas pochłania, zasysa. Majowych burz prawie nie było, więc czerwiec nadrabiał brak opadów. Asfalt parował, ziemia intensywnie pachniała. Już dawno czegoś takiego nie doświadczyłam. Zabetonowana Warszawa, wąskie uliczki Krakowa – w pierwszym mieście właściwie nie pachniało, może jedzeniem z knajpek lub perfumami. Kraków miał zapach zakurzonej biblioteki. Przymknęłam oczy i przypomniały mi się moje górskie wakacje, gdy deszcz złapał nas na szlaku. Schowałyśmy się z mamą w gęstym zagajniku, a potem schodziłyśmy zboczem, mając po obu stronach łąki błyszczące w słońcu od kropel deszczu. Powietrze było rześkie, czyste, a rośliny miodne intensywnie pachniały. Ten obraz, ta woń to była chwila czystego szczęścia – radości z bycia tu i teraz, niemyślenia o niczym innym. W późniejszym życiu rzadko mi się udawało osiągnąć podobny stan. Teraz – prawie tak. Prawie, bo mimo że siedziałam obok Staszka, wiatr wpadający przez otwarte okno rozwiewał mi włosy i słuchaliśmy Wolnej Grupy Bukowiny, to trochę się denerwowałam czekającym mnie spotkaniem. Jechaliśmy, żeby się spotkać z Matyldą. W ogóle nie miałam doświadczenia w kontaktach z dziećmi. Ba, nawet gdy sama byłam dzieckiem, niespecjalnie potrafiłam nawiązać bliższe relacje z rówieśnikami. Nie odpowiadały mi hałaśliwe zabawy, przepychanie się w grupie, kto zostanie szefem, przywódcą

stada. Byłam typem samotnika. W dorosłym życiu raczej lubiłam dzieci, choć były dla mnie istotami z kosmosu. Te najmłodsze można jednak zabawić, przytulić, rozśmieszyć. Z tymi prawie dorosłymi – nawiązać poważny kontakt intelektualny. Ale co zrobić z jedenastolatką, która jest na granicy tych dwóch światów? Już nie dziecko, ale jeszcze nie młodzież. No i ta „inność”. Jak z nią rozmawiać? Czy mnie polubi? Czy ja polubię ją? Kiedy po informacji o ciąży powiedziałam Ance o Matyldzie, spoważniała. „Ogromna odpowiedzialność”, powiedziała. „Mówi się, że kiedy za kogoś wychodzisz, to jakbyś wychodziła także za jego rodzinę. Pal sześć teściów, to w końcu dorośli ludzie. Jasne, byłoby fajniej się dogadywać, ale tu nikt za nikogo odpowiedzialności brać nie musi. Ale dziecko... I to takie dziecko...” Oczywiście od razu wyjaśniłam, że to postać mozaikowa, że lekka odmienność, że Matylda jest podobno urocza, ale Anka była sceptyczna. „W teorii to wszystko ładnie wygląda. Przecież jesteśmy dobrymi ludźmi, nie zachowałybyśmy się brzydko. Tyle rozum i wychowanie. Natura ma jednak swoje prawa, a jednym z nich jest egoizm. Każdy jest nastawiony na szczęście, do siebie je zagarnia. Na pewno ci się zdarzy pomyśleć, że gdyby nie Matylda, to moglibyście to czy tamto. Musisz być na to przygotowana, tylko to próbuję ci powiedzieć. W końcu z życia w pojedynkę wpadasz w wir bardzo absorbujących obowiązków – mamy i jakby macochy”. Anka nie chciała mnie straszyć, zwyczajnie, bez owijania w bawełnę powiedziała, co myśli. Właściwie to głośno wybrzmiało to, co sama do siebie szeptała. Wyciągnęłam szczęśliwy los na loterii – Staszka, ale z dołożonym pakietem obowiązków – Matyldą. I miałam obawy, czy im sprostaw.

– Wszystko dobrze? – Staszek ścisnął mnie za rękę.

Wjechaliśmy na niewielkie podwórko. Niskie sztachety z poszarzałego drewna, z tyłu tradycyjna chałupka z bali. Czysto i skromnie.

– Tak. Ale czuję się niepewnie.

– Nie wiem, czy to cię pocieszy, i chyba w ogóle się nie powinno w taki sposób szukać otuchy, ale pomyśl, jak bardzo musi się denerwować Matylda.

Fakt. W końcu ja jestem dorosła, samodzielna, decyzyjna. A ona – zagubiona i zależna od naszych wyborów. Ta myśl mnie poruszyła. A chwilę później jeszcze bardziej wzruszyła mnie sama Matylda.

Delikatna, niewyglądająca na jedenaście lat twarz. Te same oczy, jak węgielki, ale w odmiennym, migdałowym kształcie. Lekko spłaszczony nos, okrągła buzia. Jasne włosy w kolorze lipcowej pszenicy. Szczupła, ale dość masywna. Spod granatowej spódnicy tuż przed kolano wystawały ogorzałe nogi. Biel

koszulki odcinała się od równie opalonych twarzy i rąk. „Ubrała się na spotkanie z nami jak na jakiś ważny egzamin”, pomyślałam. Znowu odezwały się we mnie ciężowe hormony i poczułam, że w kącikach oczu zbierają mi się łzy.

Matylda podeszła w naszą stronę i zatrzymała się mniej więcej metr przed nami. Dłonią ścisnęła róg spódnicy.

A ja, przecież taka niewylewna, niespontaniczna, lekko zahamowana i zachowująca dystans, zrobiłam duży krok i mocno ją przytuliłam. Pogłaskałam ją po głowie i szepnęłam:

– Wszystko będzie dobrze.

Matylda najpierw znieruchomiała, a potem się rozplakała, jakby wypłakiwała z siebie żal zebrany z życiowych smutków: braku mamy, nieobecnego i pijącego ojca, lęku przed porzuceniem przez brata.

Staszek podszedł do nas i nieporadnie objął nas obie. Tkwiłszy tak przez chwilę, a potem delikatnie się wysunęłam spod jego ramienia. Matylda posłała mi uśmiech. Tak jak przed chwilą cała była smutkiem, teraz – cała radością. Można było w niej czytać jak w otwartej księdze.

– Zostawiam was. Porozmawiajcie sobie spokojnie, a ja obejrzę okolicę – powiedziałam. Chciałam, żeby Matylda najpierw się nacieszyła obecnością brata, żeby się nie bała, że z mojego powodu nie mogłaby spędzać z nim czasu sam na sam.

Podwórko miało dwa wejścia – jedną bramę od ulicy i wąską furtkę z tyłu prowadzącą na pola. Poszłam w jej stronę; była otwarta, podobnie jak wjazd. Znalazłam się na łące. W miastach coraz częściej idzie się za sugestiami ekologów i zamiast przystrzyżonych prawie do ziemi trawników wysiewa się łąki kwietne. Tu łąka była dziełem natury. Wysokie kłosa, drobne główki bławatków, jaskrów, koniczyn. Jakies dwieście metrów dalej, na lekkim wzniesieniu, zaczynał się las. Zatrzymałam się na jego granicy. Odwróciłam się w stronę wsi. Przed sobą miałam nieduży dom ciotki Staszka, po lewej – zabudowania z maszynami rolniczymi na podwórku, po prawej – ciąg drewnianych budynków. Ostatni z nich, spory, w otulinie lasu, należał do rodziców Staszka. Przejeżdżaliśmy obok niego. Staszek zwolnił, ale się nie zatrzymał. Nie wiedział, czy ojciec jest, a jeśli tak, to w jakim stanie. Powiedział, że po południu to sprawdzi.

Usiadłam na trawie. Ziemia już zdążyła obeschnąć; susza była taka, że nawet solidne burze nie zostawiały po sobie śladu w spragnionej wilgoci ziemi. Zza chmur wyszło słońce. Wystawiłam twarz w jego kierunku. Ogarnęła mnie

błogość . Przymknęłam oczy i... zasnąłam.

Obudziło mnie delikatne dotknięcie. To był Staszek. Usiadł obok mnie i głaskał moje rozgrzane ramię.

– Już masz piegi. – Uśmiechnął się.

– O mamó, długo tak spałam? – Podniosłam się i przetarłam oczy. Emocje związane z przyjazdem tutaj dopiero teraz ze mnie schodziły.

– Z godzinę?... Tyle rozmawiałem z Matyldą.

– I jak? – Spojrzałam na niego z napięciem.

– Najpierw się nie mogła uspokoić, a potem powiedziała, że bardzo się bała, że już nie wrócę.

– Biedna mała.

– Z jej punktu widzenia wciąż jest porzucana: przez mamę, prze ojca, przeze mnie. Nie ma niczego stałego w życiu.

– Będzie miała, przecież rozmawialiśmy. Coś wymyślimy. Zabierzemy ją na wakacje do Krakowa, pokazemy różne fajne miejsca. Może uda nam się gdzieś wspólnie wyjechać? A może byśmy ją posłali na jakiś obóz, taki specjalny? Na pewno są różne możliwości. A potem...

– Wiesz, ja... no mówiąc wprost – nie stać mnie. To, co dostaję na Matyldę, ledwo starcza na podstawową opiekę. Jeszcze mam do spłacenia pożyczkę wziętą podczas choroby mamy. To priorytet. Nie wybrałaś sobie bogatego chłopaka. – Uśmiechnął się smutno.

– Nie szukałam bogatego, tylko wyjątkowego: dobrego, mądrego i... męskiego. I miałam wielkie szczęście, bo go znalazłam. – Przysunęłam się do Staszka i mocno go pocałowałam.

Staszek odwzajemnił pocałunek. Gdyby nie fakt, że znajdowaliśmy na górcie, skąd wszystko było dobrze widać, ale i które to miejsce było dobrze widoczne z dołu, pewnie jeszcze intensywniej okazalibyśmy sobie wzajemną radość.

– I co teraz robimy? – zapytałam, otrzepując włosy z trawy.

– Chyba obiad. – Uśmiechnął się Staszek. – Matylda poszła nakryć do stołu, ciotka nam zostawiła racuchy. Niestety, dziś wróci dopiero pod wieczór. W weekendy sprzedaje pod Gubałówką, tak sobie dorabia do emerytury.

– A co sprzedaje?

– Różnie. Przede wszystkim jedzenie – konfitury, soki. Robi jakieś rzeczy na szydełku i drutach. Ma dryg do takich prac, dobrze jej to idzie. Wcześniej była zatrudniona jako pomoc w przedszkolu.

– Zaradna – stwierdziłam.

– Tak. „Skoro trzeba, to sobie radzę”, mówi. Ale jest już trochę zmęczona. Skończyła siedemdziesiąt lat i powinna zwolnić. A tu ciągle coś... – Westchnął.
– To chodźmy, Matylda czeka.

W środku było równie skromnie i czysto, co na zewnątrz. W pokoju jadalnym stał drewniany stół przykryty białą serwetą. Na nim talerz racuchów, miska malin, miseczka śmietany i dzbanek kompotu. Pośrodku – gliniany wazon z polnym bukietem.

– Maliny są z lasu, a kwiaty z tej łąki, na której pani była – powiedziała Matylda. I uśmiechnęła się do mnie. Początkowa niepewność zniknęła. Staszek mówił, że jego siostra jest bardzo pogodna i wesoła, i rzeczywiście, teraz można to było zauważyć.

– Bardzo mi się podoba! Wszystko wygląda pięknie. I nie jestem panią, tylko Klarą.

Pokiwała głową i znowu się uśmiechnęła.

Siadła obok Staszka, ja – naprzeciwko nich. Teraz dobrze było widać, jak są do siebie podobni, mimo jej „mozaikowatości”. Patrzyłam na nich z czułością, choć i z pewnym niepokojem. Tak, myśl o tym, że moje dziecko mogłoby się urodzić „inne”, mnie nie opuszczała. „Nie dać się złym myślom”, powtarzałam sobie jak mantrę. Nie dać się. Dołożyłam sobie kolejną porcję racuchów. Hamowanie apetytu zdecydowanie mi nie wychodziło, ale ciotka była naprawdę świetną kucharką – placki smakowały wyśmienicie.

– To co, ja teraz pójdę... – Staszek na chwilę się zawahał – ...do domu, a wy znajdziecie sobie jakieś zajęcie, dobrze?

– Jasne, idź – powiedziałam szybko. Zauważyłam, że Matylda się spięła, gdy usłyszała „dom”. – Może pokażesz mi swój pokój? – zaproponowałam dziewczynce.

Ochoczo się zgodziła.

Jej pokój, a właściwie pokoik, był przyklejony do salonu, z oknami wychodzącym na łąkę. W oknie miała kołkowe firanki i zasłony w kwiatowy wzór, taki jak na góralskich chustach. Niewiele tu było: wąski tapczan, małe biurko pod oknem, zwyczajne drewniane krzesło z położoną na siedzisku poduszką. W rogu stała szafa, obok niej wisiało lustro, było jeszcze kilka półek z książkami. I tyle. Nijak się to miało do pokojów nastolatków z dostatnich miejskich rodzin.

– O, a to jakie ładne. – Wskazałam palcem na obrazki w ramkach. Jeden pejzaż, dwa rysunki z kwiatami. Bardzo kolorowe, pełne radości. Niby

realistyczne, ale był w tym element magii – w doborze barw, mnogości elementów. To nie było odwzorowanie rzeczywistości, tylko pokazanie jej tak, jak autor chciał ją widzieć.

– To moje – powiedziała Matyllda.

– Naprawdę? Są piękne. I takie bajeczne.

– Bo ja lubię malować i rysować. I bajki też lubię. Bajki i rysowanie mnie uspokajają. Zawsze kiedy... – Zacięła się.

No tak, Matyllda pewnie niejedno widziała i słyszała.

– Gdybym wiedziała, że masz taką pasję, to kupiłabym co innego. Ale nie szkodzi, następny razem to nadrobię. A teraz... poczekaj chwilę.

Zupełnie zapomniałam o prezencie. Poszłam do drugiego pokoju, gdzie zostawiłam torbę. Wyciągnęłam z niej pudełeczko owinięte w kolorowy papier i wróciłam do Matylldy.

– To tak na dobry początek. Żeby teraz już wszystko było jak należy.

Matyllda wzięła ode mnie prezent i niewprawnie go rozpakowała.

– Jaki śliczny! – Głośno westchnęła.

– Podoba ci się? – zapytałam.

– Bardzo!

– Poczekaj, pomogę ci. – Podeszłam do niej. – I jak?

– Dobrze. – Przyglądała się swojemu odbiciu. Tym razem w jej ciemnych oczach pojawiły się iskry. Srebrny łańcuszek z zieloną czterolistną koniczyną błyszczał na białej bluzce.

– Bardzo dobrze. Chciałabym, żebyście byli dobraną parą – ty i ta koniczynka. Żeby ona ci nieustannie przypominała, że nawet jeśli w tej chwili jesteś smutna, to wszystko da się poukładać. I masz obok bliskich, którzy ci w tym pomogą. Ja kiedyś dostałam taką czterolistną koniczynkę od mojej sąsiadki, teraz już przyjaciółki. Wtedy też nie widziałam słońca za chmurami. A teraz widzę i chętnie ci je pokażę.

– Ale teraz nie ma chmur i ja też widzę słońce. – Matyllda pokazała ręką na okno.

Fakt, teraz nie było chmur. Zapomniałam, że Matyllda trochę inaczej odbiera rzeczywistość. Potraktowała moją wypowiedź dosłownie.

– Staś mówił, że po drugiej stronie drogi jest Czarny Dunajec. To może skoro słońca już nie musimy szukać, to pokażesz mi rzekę?

Matyllda pokiwała głową i poszłyśmy.

Do potoku trzeba było kawałek dojść. Dokoła panowała taka cisza, że aż

głupio było zakłócać ten spokój rozmową. Zresztą nie zawsze trzeba rozmawiać, żeby być ze sobą. Czasem milcząca obecność jest lepszym towarzystwem niż słowa.

Usiadłyśmy na kamieniach przy brzegu. Matylda zaczęła coś nucić i wrzucała do wody małe otoczaki.

„Pięknie tu”, pomyślałam, patrząc na granatową taflę, bujne lasy i majestatyczne szczyty w tle. Niezmienny krajobraz, tylko bystra rzeka pędziła do przodu. Ciekawe, ile tej wody upłynęło, od kiedy Staszek Morlaczonek opuścił góry. Przez chwilę udało mi się nie myśleć, to znaczy nie denerwować tym, jak przebiega spotkanie w Norfolk. Według moich wyliczeń mama z babcią powinny tam być mniej więcej od dwóch godzin. Żeby nie ryzykować, że nie zastaną dziadka, poprosiły wydawcę o pomoc. Zapowiedział tylko mamę – tłumaczkę z Polski, która akurat jest w Londynie (cóż, czasem drobne kłamstwa są usprawiedliwione) i chętnie by zadała kilka pytań na temat przekładanego tekstu. Mister Morlaczonek podobno bardzo serdecznie się do tej propozycji odniósł.

Mój telefon piknął. Wiadomość. „Użytkownik Mama przesyła ci obraz”, pojawiał się komunikat.

Drżącym palcem kliknęłam w ekran. Po chwili wyświetliło się zdjęcie.

Mama i babcia, a w środku Staszek Morlaczonek. Trochę nieostre, pewnie mamie zadrżała ręka.

Są fotografie pozowane, wystudiowane.

Są takie, które prześwietlają duszę.

Ta była czystym wzruszeniem.

Rozdział siódmy



– Odnalazłam tatę, odnalazłam tatę... – Tylko tyle udawało się babci powiedzieć.

A może aż tyle? Jak w rozmowie telefonicznej przekazać emocje, które towarzyszą poznaniu własnego ojca, gdy ma się ponad siedemdziesiąt lat? To, że babcia wiedziała, po co jadą do Norfolk, że nieustająco kartkowała pamiętnik swojej mamy, a na wyklejce przyczepiła zdjęcie Stanisława Morlaczonka, i tak nie zdołało jej przygotować na spotkanie z nim.

Zadzwoiłam do babci, kiedy tylko wróciłyśmy do domu ciotki. Staszek siedział na ławce pod ścianą. „Nie ma ojca. I wygląda, jakby od dłuższego czasu go nie było. Pod wieczór cię tam zaprowadzę”. Pokazałam mu zdjęcie w telefonie i powiedziałam, że pójdę na spacer, żeby spokojnie porozmawiać. Spokojnie, tak się mówi, i ja przecież bardzo się starałam, żeby zachować spokój, a teraz przystanęłam na leśnej ścieżce i głęboko oddychałam. I naprawdę czułam, jak serce mi się tłucze w piersiach.

– Babciu...

Odpowiedzią był tylko szloch.

Po chwili usłyszałam jakiś zgrzyt, świst i głos mamy:

– Cześć, małpeczko. – Jej też się łamał głos.

– I jak, mamó? – zapytałam nieporadnie.

– Dobrze, wszystko jest dobrze. To znaczy doleciałyśmy, dojechałyśmy, znalazłyśmy uliczkę, znalazłyśmy dom... No i Staszka.

Milczałam. Ręka, w której ściskałam telefon, trzęsła się.

– Mama usiadła na ławeczce za rogiem. A ja poszłam sama. Tak ustaliłyśmy. Bo skoro w sprawie tłumaczenia, to powinna być tylko tłumaczka. Chciałam przygotować dziadka, o ile to w ogóle możliwe. Czekał już na mnie, ucieszony. Jak ja się starałam nie rozsypać! Nie rozkleić, nie rozpłakać! Nie spodziewałam się, że to będzie takie trudne. „Miło mi, że ktoś z ojczyzny mnie odwiedził. Ostatnio po polsku mówię tylko do siebie. Zresztą w ogóle przede wszystkim ze sobą rozmawiam”.

– Jest samotny? Nie ma rodziny? – zapytałam.

– Poczekaj, po kolei. – Mama już się opanowała. – Więc bardzo się ucieszył, przygotował poczęstunek, jakieś ciasteczka, kawę. Usiedliśmy. Wyjęłam tę tłumaczoną książkę, a on popatrzył i powiedział: „No cóż, stare dzieje”. A ja, choć miałam przygotowane tematy do tej naszej rozmowy, która niby to miała być o jego pobycie w RAF-ie, to po prostu nie mogłam już dalej w to brnąć. Siedzieć tam przed nim, przed moim dziadkiem, i wypytywać go o szczegóły techniczne samolotów. Więc odsunęłam na bok kartkę ze spisnymi pytaniami i powiedziałam, że właściwie to chciałam z nim porozmawiać o jeszcze dawniejszych czasach. Wtedy się oczywiście zdziwił. „Chyba nie rozumiem...” I tak na mnie spojrział, że się znowu zatrzęsłam. Cały misternie ułożony plan wziął w łeb. Położyłam przed nim pamiętnik Emilii i powiedziałam tylko: „Emilia Majewska, moja babcia”. Wziął go do ręki, przewrócił kilka kartek. „Mój Boże, to jej pismo, poznaję... ale ja nic nie rozumiem, przecież Emilka nie żyje. Umarła pod koniec wojny na zapalenie płuc. I skąd pani?...”

– Jak to umarła?! – Aż podskoczyłam.

– Też zdębiałam! – powiedziała mama. – Pytam od razu dziadka, skąd dostał takie wieści, a on odpowiada, że...

A jednak! Więc te moje najgorsze przypuszczenia się sprawdziły! Jak tyle zła może się skumulować w jednym człowieku?

– Jan Majewski! – krzyknęłyśmy równocześnie.

– Jezu, mamo, to jakiś potwór! – Złość mnie roznosiła. – Zmarnował życie tylu osobom.

– Mówiłam, że nie zasługuje, żeby leżeć razem z twoją prababcią i babcią... – Westchnęła mama. – Ale zostawmy to, co było, się nie odwróci. Słuchaj dalej: więc dziadek mi powiedział, że dostał taki list, właściwie kartkę z informacją, od ojca Emilii. Pięć lat żył napędzany nadzieją, wyczekiwał momentu spotkania, a tu... Pyta, kiedy naprawdę Emilia umarła. Odpowiedziałam, że przed trzema miesiącami. Łzy mu pociekły. „Więc to tak – ja tu, ona tam, tyle dziesiątek lat

żyliśmy, nie wiedząc o sobie”. I tak się na chwilę zapadł w sobie, aż się przestraszyła, że może zemdleje albo zasłabnie, ale nagle podniósł głowę i pyta: „Czyli Emilka też wyszła za mąż, skoro ma wnuczkę, to i dziecko mieć musiała, i męża...”.

– Nie domyślił się? Przecież się przedstawiłaś?

– No nie, bo poprosiłam wydawcę, żeby podał nazwisko Nowak. Bałam się, że od razu coś mu zaświta w głowie, będzie drażył, dręczył się, tak na raty to się będzie odbywało.

„Mama mimo hippisowskich zapędów jednak jest strategiem”, pomyślałam.

– Więc był zszokowany, zaskoczony, na to nie był zupełnie przygotowany. Czuję, że to, co zaraz mu powiem, zachwieje nim równie mocno. Mówię więc, że nie miała męża, że do końca życia została panną. „Toż jak?”, zapytał, przyglądając mi się, ale widzę, że już zaczyna do niego docierać, co mu chcę powiedzieć. „Jej córka, a moja mama, nazywa się Elżbieta Majewska. A powinna: Elżbieta Morlaczonek”. I dopiero wtedy się rozszłochał. Chwycił się za serce, potem ukrył twarz w dłoniach. Podskoczyłam, nachyliłam się nad nim, pytam, czy czegoś nie potrzebuje, wody, leków. Pokręcił głową i wydusił z siebie tylko: „A czy ona?...”. „Tak, tak!”, krzyknęłam. „Jest, czeka przed domem”. I poleciałam po babcię. Ona też taka biedna, niby trochę zgrywała chojraka, ale patrzę, siedzi na tej ławeczce z różańcem w dłoni. Podlatuję, wyciągam do niej rękę i drę się: „Chodź, mamuniu, chodź!”. Zasuwamy, babcia szepcze: „Matko Przenajświętsza”. Wpadamy do domu, przez korytarzyk, do salonu. Babcia zatrzymuje się w progu. I tak na siebie patrzą. On się podnosi, wyciąga ramiona, babcia podchodzi, chwiejnie, jakby zaraz miała zemdleć. On ją przytula, zamyka w tym uścisku. Nic nie mówią, tylko słyszę, że oboje szlochają. W końcu on pierwszy się odzywa: „Córcia, córcia. *My daughter*”. A babcia: „Tato, tato...”. Stoję i ryczę.

Mnie też łzy spływały po twarzy. Jakie to muszą być emocje – po tylu latach po raz pierwszy w życiu zobaczyć tego, który dał mi życie. Tę, która jest moim przedłużeniem na tym świecie.

– Przeprosiłam ich, powiedziałam, że muszę do łazienki, bo poczułam się jak intruz. Chciałam, żeby mieli tę chwilę intymności tylko dla siebie. Siedziałam na brzegu wanny, przy umywalce, z twarzy i włosów kapały mi zimne krople. Nie miałam poczucia upływu czasu. Kiedy spojrzałam na zegarek, okazało się, że spędziłam w takim stuporze prawie pół godziny. Zeszłam na dół, babcia i Staszek siedzieli przy stole, pochyleni nad pamiętnikiem. On się obrócił

w moją stronę i powiedział: „Dorotka, moja wnuczka”. No i znowu się poryczałam. Opowiadam ci to tak chaotycznie, ciągle tylko, że ktoś płakał, ale tego się po prostu nie da streścić. Zresztą ja to pamiętam jak przez mgłę, choć wydarzyło się przed kilkoma godzinami. Podsumowując: Jan Majewski, jak przypuszczaliśmy, oszukał ich oboje. Staszek, znaczy dziadek, przyzwyczajam się do tego słowa, słał listy, ale bez odpowiedzi, której być nie mogło, bo ten potwór przechwyił korespondencję. W końcu dziadek dostał lakoniczną informację, że Emilia umarła. Nadzieja w nim zgasła, powiedział, że przez kilka miesięcy żył w jakimś półśnie, a raczej koszmarze. Wstawał, jadł, pracował, kładł się spać, i tak dzień za dniem. W końcu jakoś doszedł do siebie i postanowił, że w takim razie zostaje w Anglii. Wiedział, że jego rodzice nie żyją, brat też. Został sam, bez powodu, by wracać do Polski.

– A jak właściwie dziadek trafił do Anglii? – Ja też z pewną trudnością wypowiadałam to słowo. Nigdy w życiu się tak do nikogo nie zwróciłam: ani „tato”, ani „dziadku”. Taki debiut po trzydziestce jest trudny.

– Ach, no tak. To już też wiem, choć tak pobieżnie. Zresztą na razie wszystko dość powierzchowne, z czasem na pewno będzie coraz więcej informacji. Więc było tak, jak już to mniej więcej wiedziałam z książki, bo takie wędrówki i historie się powtarzały. Z Krakowa dziadek przedostał się przez zieloną granicę na Węgry. Tam, wraz z grupą innych Polaków, był do początku 1940 roku. Celem była Francja i tworzące się Polskie Siły Zbrojne. Najpierw przedostali się do Budapesztu, a potem przesuwali się na południe, do granicy z Jugosławią. W lutym udało mu się dotrzeć do Zagrzebia, skąd pociągiem wyruszył w kierunku Włoch. I wreszcie przez Alpy przedostał się do Francji. Kolejny etap to była droga przez Lyon i dalej do Paryża. Na początku marca zameldował się w koszarach i czekał na weryfikację dokumentów i przydzielenie go do Polskich Sił Zbrojnych. Udało się i został jednym z kilku tysięcy żołnierzy, którzy chcieli walczyć z Niemcami. Zawodowi żołnierze zaczęli latać, a on – pomagać przy obsłudze samolotów. Zauważono jego talent i zamiłowanie do techniki. W tym czasie Niemcy zajmowali kolejne kraje, aż w końcu w maju uderzyli na Francję. Front się cofał, Belgia i Holandia skapitulowały.

– Paryż się poddał. – Tyle pamiętałam z lekcji historii – że raz za razem zostawaliśmy podczas tej wojny sami.

– Poddał się – potwierdziła mama. – Dziadek powiedział, że kiedy marszałek... zapomniałam, o już, mam, marszałek Petain zwrócił się z prośbą do Niemców o zawieszenie broni, generał Sikorski poleciał do Londynu i zapytał

Churchilla, czy Anglia jest gotowa walczyć dalej. Churchill ponoć odpowiedział: „Generale, my razem na śmierć i życie”. Więc dziadek wypłynął z Francji statkiem i przez kilka miesięcy żeglowali do Anglii. Trafił do RAF-u i do Dywizjonu 303.

– Taka tułaczka... Potem walka, koszmar wojny, a na koniec wiadomość o śmierci babci. – Westchnęłam. – Biedny dziadek. Dobrze, że się odnaleźliśmy, że nie jest już sam.

– Dziadek nie do końca jest sam... – zaczęła mama.

– Ma żonę?

– Miał. Zmarła kilka lat temu. Ożenił się późno, był już po czterdziestce, ona o kilkanaście lat od niego młodsza. Los jednak nic sobie nie robi ze statystyk – ona zmarła na jakąś chorobę nerek ponad dziesięć lat temu, a on wciąż żyje, i to w bardzo dobrej kondycji.

– Skoro żona nie żyje, a on nie jest sam to znaczy, że...

– Tak, ma dzieci. Córkę.

– Poznałyście ją?

– Nie. Mieszka w Stanach. Jest architektką, wyszła za mąż za Amerykanina. Ponoć teraz jest bardzo rozdartą, bo martwi się o ojca, że tak daleko są od siebie, a on coraz starszy. On nie chce nawet słyszeć o przenosinach do Stanów, ona musiałaby przemeblować całe swoje życie. Dziadek odmawia, ona, zdaje się, jest gotowa porzucić dotychczasową ojczyznę. Czuć, że są sobie bliscy.

– To musi być dobra dziewczyna – stwierdziłam.

– Na pewno. Emily nawet tak wygląda.

– Emily? – zdumiałam się. – Emilia, jak babcia?

– Tak – powiedziała mama. – „W ten sposób chciałem ocalić pamięć i miłość”.

* * *

– Dlaczego płaczesz? – zapytała mnie Matylda, gdy schowałam telefon do torby. Przyglądała mi się z końca podwórka, kiedy rozmawiałam. Teraz podeszła i wprost zapytała o powód łez. W tej szczerości też była „inna”.

– Chyba ze szczęścia – odpowiedziałam, zastanawiając się, jak jej wytłumaczyć to, czego sama sobie jeszcze nie poukładałam w głowie.

– Ja ze szczęścia jestem wesoła – odparła pogodnie.

– Ja też. Chodziło mi o to, że... o, na przykład, tak jak dziś, kiedy Stasio do ciebie przyjechał. Na początku przez chwilę obcierałaś łyzy, bo w środku miałaś

taki jakby balon. I im dłużej czekałaś na Stasia, tym większy ten balon był. A kiedy go zobaczyłaś, to ten balon pękł. Puf! – i nie ma. Całe zdenerwowanie uleciało, została tylko radość.

Matylda patrzyła na mnie. Nie byłam pewna, czy zrozumiała, co chcę jej przekazać.

– Nie można za bardzo dmuchać balonów, bo pękają – powiedziała.

Pokiwałam głową. Ostatnio kilka nadmuchałam tak, że omal z nimi nie odfrunęłam.

Wzięłam Matyldę za rękę i poszliśmy do domu.

* * *

Wieczorem długo nie mogłam zasnąć. Zwykle w górach sen od razu mnie morzył, ale tu – mimo zapachu pobliskich łąk wpadającego przez okno, mimo ciepłego oddechu Staszka obok, mimo świeżo wykrochmalonej pościeli – nie zapadałam w sen. Przed oczami przesuwwały mi się różne obrazy, wyobrażone i rzeczywiste: babci z pradiadkiem, pochylonych nad pamiątkiem Emilii, mamy, oglądającej tę scenę ze wzruszeniem, Staszka wycierającego mokry policzek Matyldy, Matyldy mnącej w palcach rąbek spódnicy, ciotki Staszka siedzącej pod wieczór przed domem z siostrzeńcem po jednej i siostrzenicą po drugiej stronie drewnianej ławy, domu rodzinnego Staszka, ładnego, ale zapuszczonego i wymagającego troskliwej ręki, mojego mieszkania na Wiślniej z drzewkiem cytrynowym na parapecie i madonną w aureoli na ścianie. Te obrazki były jak kolorowe fotografie powkładane do rodzinnego albumu. „Co będzie na kolejnych zdjęciach?“, zastanawiałam się długo w noc. Kiedy po latach ogląda się albumy, wszystko wydaje się takie oczywiste. Teraz życie było pełne niewiadomych, niezrobionych jeszcze fotografii.

Rozdział ósmy



– Na pewno wszystko dobrze? – zapytałam z niepokojem.

– Na pewno, Klaruniu. Jestem po prostu bardzo zmęczona. Nie w sposób fizyczny, bo ostanie godziny spędziłam przecież na siedząco, ale z powodu emocji. Od dawna już moje życie było spokojne, ułożone. Miałam swój świat, swoje książki, swoją ciszę. Aż tu raptem takie wydarzenia zaczynają się dziać... Dobrze, że Kazio jest, ta pierwsza zmiana trochę mnie przygotowała na kolejne...

Rzeczywiście, przynajmniej wizualnie. Babcia miała na sobie płócienne spodnie i trykotową bluzę, w których nigdy wcześniej jej nie widziałam. Mimo wzruszeń i zmęczenia wyglądała młodziej.

– I Stasio też, oczywiście – dodała babcia.

– Miło mi, w imieniu pana Kazimierza. Mężczyźni lubią się czuć potrzebni. – Staszek na chwilę przeniósł wzrok na babcię, a potem znowu popatrzył przed siebie. Miałam wrażenie, że czuje się trochę intruzem i nie chce nam przeszkadzać w rozmowie.

Siedziałyśmy na tylnych fotelach samochodu Staszka. Pojechaliśmy razem odebrać babcię z lotniska. Pierwotny plan wyglądał inaczej – dziś powinny wylądować w Balicach obie: babcia i Dorota. Mama jednak postanowiła zostać w Norfolk trochę dłużej.

– Bardzo dobrze, że Dorotka była ze mną – ciągnęła babcia. – Z powodów organizacyjnych, to oczywiste. Polska już dawno w Unii, granice pootwierane, świat zaprasza, ale ja niewiele z tej wolności podróżowania skorzystałam.

A lotniska to już całkowicie nie dla mnie, zgubiłabym się jak nic, taki tłok, tyle tych korytarzy, bramek, ciągle jakieś komunikaty. No i język... Nasze pokolenie uczyło się rosyjskiego, ja sama z podręczników i taśm przyswoiłam trochę angielski, ale w stresie to wszystko ulatuje. Więc dobrze, że razem się wybrałyśmy. Dobrze także i dlatego, że w takich chwilach najlepiej widać, jaka jest moc w więzach krwi, jaka to siła. Napięcie, stres – dzieliłyśmy na pół, natomiast radość – była podwójna. I rozumiem tatę, który poprosił, żebyśmy go tak szybko nie opuszczały. My byśmy wróciły razem, tu na miejscu mamy was, a on by sam został. Huragan przeszedł przez jego życie, to potrzebuje teraz towarzystwa. Ja nie mogłam przedłużyć pobytu, bo zaraz mi się zaczyna stacjonarny kurs rehabilitacyjny, ale Dorotka powiedziała, że ona potrzebuje tylko biureczka do pracy, a gdzie to biureczko postawione, to już nie ma znaczenia.

– Rozmawialiście z dziadkiem, czy on by nie chciał przylecieć do Krakowa?

– Dorotka zapytała. Tata powiedział, że dawniej to nie, bo właściwie nie miał do czego, poza tym się bał, że już go z kraju nie wypuszczą, wiesz, jak to było. Potem sobie ułożył angielskie życie. A teraz, przez ostatnie miesiące, zdarzyło mu się parę razy pomyśleć, żeby może jednak wrócić. I to tak na stałe.

– Na stałe? – zdumiałam się. – Teraz? Dlaczego?

– „Żeby umrzeć u siebie”, tak powiedział.

– Po tylu latach w Anglii wciąż nie jest tam „u siebie”... – stwierdziłam smutno. Smutno mi było także dlatego, że miałam przecież świadomość, że pradziadek żyje już trochę „czasem pożyczonym”. Dziewięćdziesiąt siedem lat!

– Ano widzisz... – Westchnęła babcia. – To jednak jest tak, że serce ciągnie do miejsca, w którym się urodziliśmy. Nie da się uciąć korzeni. Zresztą tata od śmierci żony jest samotny. To znaczy ma sąsiadów, pielęgniarka go odwiedza, ale córka jest bardzo daleko. On nie chce, żeby dla niego opuściła Stany, bo jest jej tam dobrze, ułożyła sobie wszystko, jest szczęśliwa. Stąd ten pomysł późnego powrotu do ojczyzny. Jakby coś przeczuwał...

– Ja nic nie przeczuwałam. Gdyby mi ktoś na wiosnę powiedział, że będę teraz jechała ze Stasiem i kimś jeszcze, i z babcią, która właśnie wraca z wizyty u odnalezionego po blisko osiemdziesięciu latach taty, tobym stwierdziła, że ma bardzo wybujałą wyobraźnię.

– Tego toby nawet nasza szalona Dorotka nie wymyśliła. – Uśmiechnęła się babcia. – Jednak w życiu pewne jest tylko to, że nic nie jest pewne. No, dobrze, że już jesteśmy. Marzę o gorącej herbacie. W samolotach częstują czymś

ohydnym, poza tym wolałam nie korzystać z tej klitki zwanej toaletą, więc i piłam mało.

* * *

– Kto by pomyślał, że wakacje w mieście mogą obfitować w tyle atrakcji? – zapytał retorycznie Staszek, gdy po odstawieniu babci do mieszkania i wspólnym wypiciu herbaty wróciliśmy na Wiślną. – No dobrze, to jaki teraz plan?

– Właściwie bez planu. To znaczy ja bez planu, bo ty coś wspominałeś o zleceniu od Tomka?...

– Tak, ma być od jutra, jeszcze do potwierdzenia dziś. Generalny remont, najpierw wszystko do skucia, wyczyszczenie do żywego. I termin krótki, bo to pod hostel, właścicielowi zależy, żeby jak najszybciej móc wynajmować, więc dniówka będzie dwunastogodzinna.

– To może trochę zbyt forsownie? – zatroskałam się. – Wiem, że jesteś młody, sprawny i w ogóle, ale...

– Tomek mi pożyczył pieniądze, kiedy mama chorowała. I jeszcze mam kredyt gotówkowy do spłacenia. Gdyby nie on, to nie wiem, jakbyśmy sobie dali radę. Więc to dług honorowy i jak najszybciej chcę go uregulować, a przecież tydzień nawet największego zasuwania nie wystarczy. Policzyłem, że dopiero z końcem wakacji, przy założeniu, że będą ciągłe zlecenia, wyjdę na zero. I dopiero wtedy będę mógł się rozejrzeć za jakąś docelową pracą.

– Dalej u Tomka czy coś innego? – Przyglądałam mu się. Widać było, że go to gryzie.

Staszek westchnął. Oparł łokcie na stole i wsunął dłonie pod brodę.

– Sam już nie wiem. Taki był plan, przede wszystkim z powodu tych zapożyczeń i dlatego, że w ten sposób najszybciej bym się uporał z długiem. Ale kiedy spacerowaliśmy po Witowie i zobaczyłem tę swoją szkołę... Zackniło mi się. Nawet nie tyle za domem, bo rana chyba jeszcze zbyt świeża, ile za pracą, za dziećmi. Niektórzy nauczyciele uważają, że celem ich pracy jest przekazywanie wiedzy.

– Bo to chyba jest ważny cel? – zdziwiłam się.

– Jest. Ale dla mnie istotniejsze jest to, żeby rozbudzić w dziecku pragnienie nauki. Żeby ono było ciekawe świata, żeby zrozumiało, jak bardzo zmieni się jego życie, kiedy zacznie czytać, słuchać, oglądać. Nauka to taki dziwny głód –

im więcej wiesz, tym większy masz apetyt na poznawanie.

– Ładnie powiedziane. – Uśmiechnęłam się. Idealizm Staszka mnie wzruszał. Mój chłopak nie tylko z wyglądu był niedzisiejszy. – Ale chyba niezbyt popularne wśród nauczycieli. Ja to może ze dwóch takich miałam. – Pokiwałam głową.

– Próbuję to sobie wytłumaczyć tak, że dzieci dużo w klasie, obowiązków sporo, do tego zalew elektroniki, która rozprasza i pochłania czas... A wymagania są, testy są, egzaminy też, no to się stoi z bacikiem i pogania, ewentualnie stosuje kij z marchewką. W mojej małej szkole łatwiej znać wszystkich. Można trochę inaczej poprowadzić zajęcia. Są dzieci, które nie mają w domu ani jednej książki, za to mają opór przed czytaniem. Niektóre dzieciaki to jeszcze w czwartej klasie dukały, jak prosiłem o głośną lekturę jakiegoś fragmentu. No to odkładaliśmy podręczniki, a ja opowiadałem. Albo puszczałem jakiś film popularnonaukowy. Albo zdjęcia pokazywałem. Materiał przedstawiałem tak, jak dobrą powieść historyczną. Jak się te dzieciaki potrafiły otworzyć, zmienić! – Staszek się ożywił, oczy mu błyszczały. Kiedy mówił o zleceniach u Tomka, jego twarz wyglądała zupełnie inaczej. – I brak mi tego teraz. Poczucia, że moja praca ma taki sens, że może odmienić czyjeś życie – dodał już spokojniej. I smutniej.

„Strasznie fajny człowiek dzieli ze mną życie”, pomyślałam.

– A może wrócić do tego pomysłu, co? Przecież praca powinna być przyjemnością, dawać spełnienie. – Położyłam mu rękę na ramieniu.

– Finansowego to raczej nie da. Musiałbym mieć cały etat, a nawet więcej, żeby jakoś się udało wszystko spiąć. Nie wiem, czy to możliwe od nowego roku szkolnego, a na przestoje mnie nie stać. – Znacząco zajrzał mi w oczy, a potem przesunął wzrok na mój brzuch. – No i Matylda...

Matylda. Wciąż nie podjęliśmy ostatecznej decyzji, gdzie i z kim Matylda będzie mieszkała. Często o niej rozmawialiśmy, ale bez konkluzji. I w tym przypadku pieniądze odgrywały dużą rolę.

– Ale sprawdzić to chyba nie zaszkodzi? – zapytałam, żeby znowu nie zaczynać częściej dyskusji.

– Nie zaszkodzi. Z taką motywacją u boku? – Staszek mnie przytulił. – Gdy tylko skończymy tę najbliższą robotę dla Tomka, odmoczę się z kurzu, pyłu i cementu, zabiorę się do poszukiwań.

– I to lubię!

O ile łatwiej marzyć i działać w dobrym towarzystwie.

* * *

Rano, bardzo rano, Staszek pojechał na swoją pierwszą dniówkę. Głupio mi było tak się wylegiwać, kiedy on zakasuje rękawy i ciężko pracuje, więc wstałam. Zresztą na Wiślniej zmienił mi się rytm dobowy – budziłam się przed szóstą. Może dlatego, że już nie spałam sama. Każdego ranka, kiedy tylko otwierałam oczy, od razu dotykałam Staszka, jakby chcąc się upewnić, że on mi się przytrafił naprawdę, a nie tylko przyśnił. A może też dlatego, że odświeżone przez panią Florczyk zasłony zostały unieruchomione artystycznym upięciem, a słońce bez trudu się przedzierało przez delikatne firanki. A może wreszcie dlatego, że życie wydawało mi się teraz takie dobre i ciekawe, że żał mi było tracić je na sen – jawa była fajniejsza niż marzenia.

Anka też zrobiła się rannym ptaszkiem, choć podstawowy powód był inny. Słyszałam go teraz w tle.

– O, ale pogodne gaworzenie – zauważyłam. – To chyba pierwsze próby świadomego kontaktu?

– Powiedziałyby, że świadomego wydawania komend. Zosia ma władczy charakter – mruknęła Anka.

– Ciekawe po kim? – Mój ton był najniewinniejszy z możliwych.

– Po babci – odparowała moja przyjaciółka.

– Wydaje mi się, że jest jeszcze jedno ogniwo pośrednie – roześmiałam się. Byłam dziś w wyśmienitym humorze. Anka chyba wstała lewą nogą, bo powiedziała:

– Poczekaj, poczekaj, aż urodzisz. Geny przodków już przebijają nóżkami, by się uaktywnić w twoim dziecku. Może być szalone jak twoja mama, skłonne do młodzieńczych miłości i ich efektów jak prababcia, podłe jak prapradziadek...

– O nie! To ostatnie odwołaj! Ze wszystkim sobie poradzę, ale zło w sercu jest wykluczone.

– Dobra, odwołuję – zgodziła się łaskawie Anka. – No to opowiadaj, jak sprawy.

Streściłam jej wizytę mamy i babci w Norfolk.

– Fajnie, że Dorota tam została. Chyba nie umiem sobie wyobrazić, jak się czuje twój pradziadek. Dziewięćdziesiąt kilka lat to taki wiek, że człowiek już powoli się wypisuje z tego świata, a on musi swój na nowo zbudować.

– Fakt. Ale, jak widać, jest silny psychicznie.

- Góral. Oni tacy są. I na zewnątrz, i w środku.
- Warunki kształtują człowieka. Góry nie są dla słabych. A czy ty zauważyłaś, że skoro Staszek Morlaczonek jest góralem, to u Majewskich też jest gen góralskości?
- Rzeczywiście! – Anka się ożywiła. – Twoja babcia to w sumie również twardy człowiek. Nie zachwieje się nawet mimo halnego. Dorota to wolna dusza, śleboda, tak się chyba nazywa.
- No i ja... – wtrąciłam.
- No i ty. Góralka w jednej ósmej. Szaleństwo i odwaga proporcjonalne do tego wkładu genów.
- Przypomnij mi, za co ja cię tak lubię. – Westchnęłam.
- Za szczerłość. – Zaśmiała się Anka. – Dobra, żarcik. Jestem z ciebie naprawdę dumna, Kla. Bardzo się zmieniłaś. To znaczy może nawet nie tyle zmieniłaś, ile wychyłaś z tej swojej skorupy. Świat fajniejszy, gdy pancierz nie krępuje ruchów i nie zasłania oczu, co?
- Zdecydowanie. Choć mam jeszcze trochę lęków.
- A czego się boisz?
- No, przyszłości.
- Ale tak konkretnie.
- Trochę się martwię o finanse. Rozmawialiśmy dziś ze Staszkiem o jego pracy. I on jednak tęskni za szkołą, to znaczy za uczeniem.
- To dobrze. Idee są w cenie – stwierdziła górnolotnie Anka. Po chwili jednak, już zwyczajnym tonem, dodała: – Niestety, ceny wielu innych rzeczy też się mocno trzymają. Nie wiem, czy dożyjemy tego, żeby nauczyciele dobrze zarabiali.
- Właśnie... Mnie nie chodzi tylko o to, że on będzie zarabiał kiepsko, lecz także o to, że mniej niż ja. Na ile zdążyłam go poznać, to będzie go to gryzło.
- Nie wiem, co ci doradzić. Chyba trudniej znaleźć gorzej płatną pracę, żebyś się ewentualnie przerzuciła. Nawet trzy czwarte etatu w biedrze to więcej kasy niż zarabia nauczyciel. Chore, nie? Ale nie martwiłabym się na zapas. W końcu twój Staszek to sto procent górala, poradzi sobie. A skoro już rozmawiamy o pracy, to czy cięża nie zmienia twoich planów?
- To też mnie trochę gryzie. Bo pani Maria podpisała ze mną umowę, więc, mówiąc brzydko, jestem zabezpieczona. Ale zupełnie nie o to mi chodzi – chcę pracować najdłużej, jak się da. I potem też szybko wrócę.
- Ha, ha, ha! – zahuczało w słuchawce. – Powątpiewam. Najpierw ze

zmęczenia, a potem z zakochania w tym ssaku. Albo równocześnie obie te rzeczy. Bądź realistką, nawet tak obowiązkowa pracownica jak ty może nie wygrać z hormonami.

– No to co mam robić? – zapytałam bezradnie. – Naprawdę polubiłam tę aptekę i za nic bym nie chciała wyjść przed panią Marią na krętaczkę.

– Idź, powiedz, jak jest. Uczciwość to podstawa.

– Wiem, jasne... Tylko żeby pani Maria sobie pomyślała, że ja może to zaplanowałam. Wiesz, umowa podpisana, to ja hyc, hyc, myk, myk i w ciąży jestem.

– Opowiedz jej całą historię. Wtedy uwierzy we wszystko.

– W sumie... masz rację. Zaraz się zbieram do babci, żeby z nią porozmawiać na spokojnie, skoro już odespała podróż i emocje. Przywiozła ze sobą trochę fotografii dziadka, to mogę je pożyczyć i pokazać pani Marii.

– I wysłać zdjęcie przyjaciółce.

– No pewnie. Poznasz nowego-starego członka mojej rodziny. A skoro o członkach rodziny mowa... Myślę też o Matyldzie.

– I?...

– I też trochę się boję.

– Z tych „trochę” to już cały poważny lęk ci się zabrał – zauważyła Anka.

– Ale przyznasz, że to ważne sprawy... – zaczęłam.

– Ważne i do załatwienia. Macie pomysł, jak się Matyldą zająć? – W Ance objawił się konkret.

– Obce dzieci są obce, a obca nastolatka jest dwa razy bardziej obca. A obca nastolatka z zespołem Downa... – Widać znowu byłam zbyt rozlazła w tych tłumaczeniach, bo Anka ponownie mi przerwała.

– Mówiłaś, że to spoko dzieciak. – Podczas pierwszej rozmowy to ja byłam raczej entuzjastyczna, a Anka – raczej sceptyczna. Teraz role się odwróciły.

– Bo jest spoko. To znaczy miła, kulturalna. I taka nieprzenikniona. Właściwie to nic o niej nie wiem, prócz tego, że życie porządnie dało jej w kość. Dopiero co się dowiedziałam, że będę mamą, a tu nagle się okazuje, że jest do wychowania nastoletnie dziecko. Inne dziecko, podwójnie inne.

– Do zaopiekowania. To jednak siostra Staszka, nie jego córka. Będiesz półmacochą – zauważyła Anka.

– Tak czy owak, to odpowiedzialność. Nie wiem, czy temu sprostam.

– A to tylko o to chodzi? – Anka była czujna.

– O to przede wszystkim. Jest też ziarenko egoizmu, tak jak powiedziałaś. –

Zawahałam się przez chwilę, ale postanowiłam być zupełnie szczerą, w końcu rozmawiałam z przyjaciółką. – Wtedy zaprzeczyłam, bo przecież mnie znasz, jestem odpowiedzialna i w ogóle, ale prawda jest taka, że ja bym chciała spędzić trochę czasu ze Staszkiem tylko we dwoje. To znaczy już jesteśmy we troje, ale, no wiesz, nim się zacznie taka rodzina na zupełnie serio, z dzieckiem, te wszystkie obowiązki, czas prozy, owszem ładnej, ale prozy, to ja bym chciała trochę poezji... Jestem egoistką, prawda?

Anka przez chwilę milczała.

– Trochę jesteś. Ale każdy jest, i zwykle to trochę jest większe niż u ciebie. Rozumiem cię, my z Tomkiem mieliśmy kilka lat dla siebie, zanim pojawiła się Zosia. Tylko wiesz, dorosłość polega na tym, że człowiek potrafi oddzielić swoje pragnienia od priorytetów, nazwijmy to, moralnych. Matylda nie może zostać sama... – O ile moje uczucia macierzyńskie były jeszcze w powijakach, to u Anki zdecydowanie doszły już do głosu.

– No coś ty! Jaka sama! – obruszyłam się. – Oczywiście, że nie będzie sama. Zapewne zamieszka z nami. Jeszcze tego nie ustaliliśmy, bo to nie takie proste. Z jednej strony całe jej życie upłynęło w Witowie, tam zna każdy kąt, każdego człowieka, ma spokój, ale z drugiej ciotka już powoli nie daje rady, a i szkołę trzeba by zmienić, bo ta nie jest przystosowana dla takich dzieci i to się wszystko kręci wyłącznie dzięki zaangażowaniu dyrektora i innych nauczycieli. Pod tym względem Kraków byłby lepszy, bo tu i placówkę odpowiednią byśmy znaleźli, i Staszek jest. Tylko mieszkanie takie małe... Wciąż myślimy, jak to ułożyć. A teraz ja ci się po prostu zwierzam z czegoś, czego przed samą sobą się trochę wstydzę.

– Głuptas. – Anka się rozczuliła. – Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, pamiętaj. I ja jestem po to, żeby ci o tym przypominać.

– Zaraz się rozpłaczę. – Pociągnęłam nosem.

– Koniec smarkania. Zajmij się czymś.

– Zaraz się zajmę, bo jestem umówiona z babcią.

– To obstawiam, że jednak chusteczka będzie potrzebna... Zadzwoń później, gdy już odwiedzisz babcię i swoją szefową w aptece.

– Obiecuję. Zdam ci relację. Fajnie, że jesteś, że wszystkie jesteście.

– Fajnie. No leć już. – Dziarskość w głosie Anki mogłaby zmylić kogoś, kto nie znał jej tak dobrze jak ja. Bez trudu wyczułam maskowane wzruszenie.

* * *

Nie spieszyło mi się jednak. Spokojnie szłam alejką między blokami. Nowa Huta mnie fascynowała, kiedy byłam dzieckiem, zwłaszcza gdy babcia pokazała mi jej zdjęcie zrobione z lotu ptaka. Osiedle – a właściwie miasto w mieście – wyglądało jak misterna makietka o wymyślnym wzorze. Wtedy widziałam tylko tysiące bloków, ulic i uliczek, do których zjechali ludzie z całej Polski, by budować nowy, lepszy świat. Tu, gdzie nie było nic, powstało coś, i to tak gigantycznego. To miejsce mnie fascynowało i trochę przerażało – przede wszystkim skalą. A potem babcia opowiedziała mi, jak wyglądały początki Nowej Huty. Nie zbudowano jej w szczerym, nieurodzajnym polu, tylko na żyznych ziemiach podkrakowskich wsi, do których wjechał ciężki sprzęt i w krótkim czasie zniszczył życie, które było obecne na tych terenach od wieków. Kiedy zaczynano budowę grodu na Wawelu, w Mogile już była spora osada ludzka. Do nowo budowanych bloków sprowadzali się ludzie z całej Polski, także z tych podkrakowskich terenów poświęconych na osiedle. To było jak lot w kosmos – dostali ciepłe mieszkania z parkietami i łazienkami, pracę w fabryce, lekarza zakładowego, sklepy i inne socjalistyczne udogodnienia. Stracili – wszystko, co do tej pory znali, co ich od pokoleń budowało. Nie wszystkim ta, pozornie dobra, zmiana wyszła na dobre.

Ja, mama i babcia też byłyśmy na progu zmian. Ale w przeciwieństwie do nowohuckich osadników sprzed kilkudziesięciu lat mogłyśmy same pisać dalsze scenariusze. Miałam nadzieję, że zrobimy to dobrze. Ja raz na zawsze uporam się z „klątwą Majewskich”, zacznę dobre, świadome życie ze Staszkiem. Mama wróciła do punktu wyjścia i szukała nowej drogi, ale tym razem – wolniej i rozważniej. Babcia – spotkała pokrewną duszę i odnalazła ojca.

Zadzwoiłam domofonem do mieszkania. Cisza. Może babcia odsypiała ostatnie dni? Niby się zarzekała, że się spokojniutko pokrząta, coś przyszykuje na obiad, a potem posiedzi w fotelu, czekając na mnie, to jednak pewnie sen ją zmorzył. Ta wyprawa musiała być dla niej dużo większym obciążeniem, niż się do tego przyznawała. Kochana, dobra babcia.

Otworzyłam drzwi swoim kompletem kluczy. Weszłam na pierwsze piętro. Cicho zastukałam. Nic. Zapukałam trochę głośniej i nacisnęłam klamkę. Drzwi były zamknięte. Wsunęłam klucz do zamka, ale napotkałam opór – po drugiej stronie też musiał być klucz, co znaczyło, że babcia jest w domu, zamknięta od środka. Zapukałam już całkiem głośno. Cisza. Wyciągnęłam z torby telefon. Ręka lekko mi drżała. Zaczęłam się denerwować. To był taki moment, kiedy

intuicja o kilka chwil wyprzedzała wiedzę. Wybrałam numer babci. Po kilku długich sygnałach włączyła się poczta głosowa. To nie zwiastowało niczego dobrego. Zbiegłam po schodach i wyszłam przed blok. Okno od salonu było otwarte.

– Babciu – krzyknęłam. – Babciuuu!

Jakaś starsza para przystanęła, patrząc na mnie ze zdziwieniem. Matka z wózkiem też się zatrzymała. Nic sobie nie robiłam z tego, że zaczynam wzbudzać sensację. Czułam, że wydarzyło się coś złego.

– Pomóc jakoś? Stało się coś? – Podszedł do mnie mocno zbudowany czterdziestolatek. Na rękę miał kilka tatuaży, włosy obcięte na jeża.

– Nie wiem... – powiedziałam bezradnie. – Po prostu byłam umówiona z babcią, a ona nie otwiera. Na pewno jest w środku, bo klucz tkwi w zamku i nie mogę się do niej dostać. Boję się, że... – Urwałam. To, czego się bałam, było zbyt okropne, by o tym głośno powiedzieć.

Facet spojrzał na mnie.

– Znam się trochę na ślusarstwie. Niech pani poczeka.

Zniknął za rogiem. Po długich pięciu minutach, które spędziłam na nawoływaniu, aż mi zaschło a gardle, zobaczyłam, że wraca z jakimś płóciennym zawiniątkiem pod pachą. Wokół mnie zebrało się kilka osób. Coś tam do siebie szeptali, przyglądali mi się, ale nikt się do mnie nie odezwał. Czułam się jak główna bohaterka tragedii, samotna na scenie przed obserwującą ją widownią. Mężczyzna podszedł do mnie i dotknął mojego ramienia.

– Chodźmy – powiedział po prostu.

Normalnie nigdy i nigdzie bym z nim nie poszła, ale teraz nie było normalnie. Weszliśmy do klatki i po chwili znowu stałam przed drzwiami babci. Facet rozwinął ten swój duży przybornik i wyciągnął coś, co wyglądało jak szpikulec. Wsunął go do zamka, pokręcił, powysuwał, powsuwał i po chwili drzwi ustąpiły.

– Ale jak?... – Oniemiałam. – Dziękuję – dodałam i wyminęłam go w drzwiach. Na chwilę przystanęłam i obróciłam się w jego stronę. – Już sobie poradzę – powiedziałam. Serce waliło mi jak oszałałe. Chciałam jak najszybciej sprawdzić, co z babcią, ale czułam się niepewnie, mając za plecami tego dużego faceta, który w trymiga uporał się z zamkiem w drzwiach. Na co dzień chyba nie świadczył usług ślusarskich. Przynajmniej takich standardowych.

– Poczekam chwilę. Niech pani sprawdzi, czy wszystko gra – powiedział spokojnie.

Zaufałam mu, był w końcu jedyną osobą, która zaoferowała mi pomoc.

Wpadłam do salonu – pusto. W kuchni – powiewająca firanka i cicho grające radio. Na blacie stolnica osypana mąką. Sypialnia – starannie posłane łóżko i ani śladu babci. I wtedy zobaczyłam zapalone światło w łazience. Na miękkich nogach podeszłam do wąskich drzwi z szybkością u góry. Nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły.

Najpierw zobaczyłam babcię. Leżała na granatowym dywaniku przed wanną. Bezwładnie, z nienaturalnie ułożonymi rękoma i rozsypanymi włosami.

Potem podniosłam głowę i ujrzałam przerażoną, trupio bladą twarz. To było moje odbicie w lustrze.

„Boże, co tu się stało?“, pomyślałam. „Żeby tylko, żeby tylko...“, tak mocno zacisnęłam dłoń, że aż mnie zabolęło. „Tylko nie babcia, nie ona, nie teraz“, błagałam wszystkich i wszystkie siły, jakby ktokolwiek lub cokolwiek mogło odwrócić los.

Krzyknęłam tak głośno, że mama w Norfolk musiała mnie usłyszeć.

Rozdział dziewiąty



Dłonie pamięta się równie dobrze, co twarze; i podobnie jak twarze, u każdego dłonie są niepowtarzalne. Babcia miała delikatne dłonie – nieduże, ze smukłymi palcami. Na serdecznym palcu lewej ręki od zawsze nosiła złoty pierścionek z łezką rubinu. Od Tadeusza. Nie zdjęła go przez te wszystkie lata ani razu. Z czasem jej dłonie stały się jeszcze bardziej kruche, jeszcze bardziej pergaminowe. Pokryły je piegi delikatnych przebarwień.

Dłonie babci były dla mnie synonimem dobra: głaskały mnie po głowie, przygotowywały pyszną pomidorową, wycierały grubym ręcznikiem po kąpieli, przytulały, trzymały czytana na dobranoc książkę.

A teraz leżały bezwładnie na białym prześcieradle. Teraz to ja je głaskałam, prosząc w myślach babcię, żeby już się obudziła.

Niewiele pamiętam z kilku poprzednich godzin. To, że krzyczałam. Że do łazienki wpadł ten facet od wytrychów. Że coś do mnie mówił, ale ja stałam jak wmurowana, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Że wyciągnął telefon i zadzwonił na pogotowie. Przytomność umysłu wróciła mi dopiero wtedy, gdy pojawiła się karetka. A potem ten facet zamówił mi taksówkę, która zawiozła mnie do szpitala. Wpadłam na izbę przyjęć, nieskładnie mówiłam, że babcia, że Nowa Huta, że nieprzytomna. Najpierw musieli mnie uspokoić, a dopiero potem sprawdzić, co z babcią. Informacja: „Żyje”, podziękowała. A więc jej nie straciłam!

Kiedy ochłonęłam i kiedy już było można, weszłam do babci. Wydała mi się taka krucha i drobna. Ranny ptaszek w białej pościeli.

Lekarz powiedział, że na razie nie znają przyczyny omdlenia. Wykluczają udar

lub zawał. „Wiek, odwodnienie, stres”. Wystarczyłoby jedno, a babci przytrafiło się to wszystko.

Nie zadzwoniłam jeszcze do mamy. Czekałam, aż babcia dojdzie do siebie, żebym razem z wiadomością o pobycie w szpitalu mogła przekazać i tę dobrą, że wszystko już jest w porządku. Mama na pewno nie ukryłaby emocji przed dziadkiem, a jeszcze by tego brakowało, żeby i jemu coś się stało.

Chciałam porozmawiać ze Staszkiem, ale nie odbierał. Pewnie odłożył telefon na czas pracy i później zobaczy połączenia ode mnie. Postanowiłam więc zadzwonić do Jadzi. Samotne oczekiwanie na poprawę stanu zdrowia babci było nie do wytrzymania.

– Cześć, Jadziu – szepnęłam do słuchawki, wychodząc na korytarz.

– O, a coś ty taka markotna? Zatrąpek wrócił? – Jadzia jak zawsze tryskała humorem.

– Wrócił. Babcia jest w szpitalu.

– Matko Boska! – Jadzia natychmiast zmieniła ton. – A co się stało? Czy Ela?... Czy to coś poważnego?

– Chyba nie. Babcia żyje, ale wciąż nie odzyskała przytomności. Lekarz mówi, że osłabienie, stres, wiek – cokolwiek z tego mogło być przyczyną.

– Ale nic jej nie będzie? Nic niepokojącego nie znaleźli? – Jadzia była mocno przejęta.

– Nie. Kilka siniaków, bo babcia upadła w łazience, ale dość szczęśliwie, jeśli upadek w ogóle może być szczęśliwy...

– Dorota wie?

– Jeszcze nie. Nie chcę jej przestraszyć, a jeszcze bardziej nie chcę narazić dziadka na stres.

– Oczywiście... A Staszek?

– Pracuje, nie odbiera.

– Czyli zostałaś z tym sama, biedaku. Ja właśnie zaczynam dyżur, ale o ósmej będę w domu. Przyjdź do mnie, mam nadzieję, że już z jakimiś dobrymi wieściami. A jutro rano razem pojedziemy do babci. Trzymaj się, obie się trzymajcie.

* * *

Dobre wieści pojawiły się godzinę później. Babcia wreszcie się obudziła. W pierwszej chwili była oszołomiona i zdziwiona.

– Ja nic nie pamiętam, Klaruniu. Nastawiłam wodę na herbatę, przygotowałam stolnicę, a potem chyba poszłam do łazienki po kłamerę do włosów, żeby je spiąć, i... i dalej już nic.

– Bo zemdlłaś. – Głos mi drżał. Głaskałam babcię po ręce. – Doktor mówi, że miałaś dużo szczęścia, bo łazienka mała i gdybyś uderzyła głową w coś... I że to pewnie przez stres.

– Niewykluczone. Nie nawykłam do stresu. Ostatni raz to jak Tadzio... – Zamyśliła się.

– Ale już jest dobrze, wszystko jest dobrze, babciu. – Poczułam, że w oczach zbierają mi się łzy.

– A czemu ty płaczesz, Klaruniu? – Babcia podźwignęła się z poduszki, ale prawie od razu z powrotem na nią opadła. – W głowie mi się kręci – szepnęła.

– A jak się ma nie kręcić, skoro pani dopiero wróciła do przytomności – usłyszałam za plecami donośny kobiecy głos, a za chwilę ujrzałam przed sobą biały fartuch pielęgniarski. – Proszę leżeć – dodała już łagodniej. – To pani...? – Spojrzała nam nie pytająco.

– Babcia – odparłam szybko.

– Bardzo ładnie, że wnuczka tak się troszczy o babcię, ale pani też szczególnie wygląda. – Przyjrzała mi się krytycznie.

– Klarunia jest w ciąży – powiedziała babcia.

– O, no to tym bardziej trzeba o siebie dbać. – Twarz pielęgniarki rozjaśnił szeroki uśmiech. – Panią Elżbietą my się zajmujemy, a pani niech jedzie do domu i trochę odpocznie. Oboje odpocznijcie. – Znacząco spojrzała na mój brzuch. – Ktoś się panią zajmie w razie czego w domu? Mąż, narzeczony?

– Chłopak – odparłam.

– Chłopak też się nada. – Kiwnęła głową. – Papierki nieważne, charakter się liczy.

– To złoty chłopak. – Uśmiechnęła się babcia.

– Jak złoty, to lepszy niż najpiękniejsza obrączka.

Zrobiło mi się jakoś lepiej. Fakt, że nie zasnę dziś wieczorem samotnie, tylko będę się mogła przytulić do Staszka, był bardzo kojący. Żadna góra nie wydawała się groźna, gdy mój góral był obok.

* * *

Staszek w końcu do mnie oddzwonił. Bardzo przepraszał, że nie mógł odebrać,

chciał od razu wracać do domu, ale uspokoiłam go, że nie ma takiej potrzeby, że to przecież babcia zasłała, nie ja, a poza tym zaraz pójdę do Jadzi. Po dłuższej rozmowie dał się przekonać.

Jadzia na przywitanie mocno mnie przytuliła.

– Rozmawiałam już z Elą – powiedziała, gdy usiadłyśmy do stołu. Różne burze mogły się przetaczać przez świat, ale ciasto i herbata były nienaruszalnym porządkiem w tym domu. Poczułam, że jestem głodna. Zresztą trudno się dziwić – ostatni posiłek to było śniadanie, wiele godzin temu. – Ma się już lepiej. Jutro jeszcze ją zatrzymają i poobserwują. Jeśli nic się nie wydarzy – puknęła palcem w spód blatu stołu – to pojutrze ją wypiszą.

– Co za ulga. – Głęboko odetchnęłam. – Muszę jutro zapytać lekarza o zalecenia, wskazania. Chyba powinnam się przenieść na kilka dni do babci, jak sądzisz?

Jadzia położyła przede mną kawałek sernika.

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby. Pan Kazimierz przyjedzie.

Takiego obrotu sprawy zupełnie się nie spodziewałam.

– Ale jak to?... – bąknęłam. – Przecież on tam ma psa, tę swoją żonę-nieżonę, ogródek...

– Toteż przyjedzie po babcię, to znaczy po nią, żeby ją zabrać do Olkusza.

Wciąż musiałam mieć nieszczęśliwą minę, bo Jadzia zapytała:

– A to jakiś problem?

Sama byłam zaskoczona swoim odczuciem. Ale ono – jak każda emocja – pojawiło się bez mojego udziału. Wcześniej zdecydowanie mocniej trzymałam się w ryzach, działając zadaniowo i logicznie. Tym bardziej więc byłam zdziwiona swoimi reakcjami.

– Jakby to powiedzieć, Jadziu, żebyś sobie czegoś złego o mnie nie pomyślała...

– Ja o wszystkich myślę dobrze. Poza tym co to za ceregiele przy sąsiadce? Karty na stół i zobaczymy, jak to rozegrać. – Optymizm Jadzi był niezniszczalny.

– Dobra. No to pierwsza myśl, jaka do mnie przysła, kiedy powiedziałaś o panu Kazimierzu, to była... zazdrość.

– Zazdrość? – zdziwiła się Jadzia. – A, o babcię, tak?

– No tak. Bo zawsze byliśmy razem, tylko Majewskie. Ja i mama byliśmy dla babci najważniejsze, a teraz... teraz jest inaczej. I żeby była jasność – od razu zastrzegłam – ja tak nie myślę, tylko czuję. Bo racjonalnie to jest bez sensu.

– Przywykłaś, że masz babcię wyłącznie dla siebie. Sto procent uwagi, sto procent czasu i sto procent miłości. A tu przychodzi ktoś inny i zabiera kawałek tortu.

– W punkt. Skąd ty tak wszystko wiesz o życiu?

– Mówiłam ci. Z książek i z teatru. I uspokoję cię – nie przeżywasz niczego niezwykłego. Tyle tylko, że do tej pory byłaś taki skorupiak, nie dopuszczałaś do siebie różnych uczuć i teraz trudno ci sobie z nimi poradzić. Ale one są normalne, pytanie, czy umiesz je przerobić na racjonalne zachowania?

– Chyba umiem – odpowiedziałam po chwili wahania. – Bo coś podobnego zdarzyło się z Matyldą, siostrą Staszka. Widzisz, jest koncepcja, żeby Matylda zamieszkała z nami. A mnie się zdarzało mieć przed tym opór. No, nie chciałam tego po prostu. Nie w sensie, że się nie zgodziłam, skąd, ja nawet o tym nie powiedziałam Staszкови, tylko pomyślałam, poczułam, że chciałabym go mieć jedynie dla siebie. – Te słowa, wypowiedziane na głos, zabrzmiały źle. Rany, czy ja naprawdę byłam egoistką?!

– Tak jak babcię.

Pokiwałam głową.

– Miłość bywa zaborcza – zgodziła się Jadzia. – Miałam kiedyś taką koleżankę, która owdowiała, a potem znowu wyszła za mąż. Miała dwoje dzieci z tego pierwszego małżeństwa. To były lata siedemdziesiąte, inne realia. Nasze znajome się dziwiły, oczywiście poza jej plecami, że ktoś ją chciał „z takim ogonem”. A facet, który się z nią ożenił, był naprawdę fajny. I bardzo się wciągnął w te jej dzieci – zajmował się nimi, zabierał na wakacje, był lepszy niż przeciętny ojciec, zwłaszcza że ojcowie wtedy byli raczej niedzielni. I ta koleżanka mi powiedziała kiedyś, że ona tego faceta i tak bardzo kocha. Ale za to, jaki on jest dla jej dzieci, to ona go kocha wprost niebotycznie. Potem się długo nie widziałyśmy, aż kiedyś patrzę – klepsydra w gazecie z jej nazwiskiem. Poszłam na pogrzeb. Zobaczyłam jej dzieci, już dorosłe, i jego. Stali razem, jak rodzina. Po ceremonii podeszłam do niego, żeby mu przekazać słowa otuchy. I opowiedziałam to, co usłyszałam od niej na jego temat. A on mi odpowiedział, że skoro kochał ją, to kochał także wszystko, co było jej bliskie.

– Jadziu – westchnęłam – co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Trochę więcej głupstw – podsunęła usłudnie Jadzia. – A z Matyldą to już postanowione, że będzie z wami?

– Nie. Raz szala się przeważa na jedną, znaczy krakowską stronę, raz na drugą – wیتowską. Na razie ustalamy, co robić w wakacje. Jej by się przydał

odpoczynek, bo to był bardzo ciężki rok. Myślałam o jakimś obozie, takim specjalnym, ale... z pieniędzmi krucho, Staszek ma jeszcze zaszłości finansowe z czasu opieki nad mamą. Zresztą nie wiem, czy Matylda by mogła sama, pewnie trzeba by było ciotkę też posłać, co oznacza, że koszt byłby jeszcze większy.

Jadzia pokiwała głową.

– A myślisz, że pobyt nad morzem by ją ucieszył?

– Przypuszczam, że nigdy nie była. Ale, tak jak powiedziałam, my nie bardzo możemy...

– Wszystko usłyszałam – zgodziła się Jadzia. – Ale gdyby ktoś zaproponował, że ją zaprosi na taki wyjazd?

– Tobym uznała, że mieszkamy nie w domu Pod Trzema Lipami, ale Pod Szczęśliwą Gwiazdą.

– To możesz iść zamawiać fronton. Żadnych Mojr, tylko świecące wesoło gwiazdki. Nie powinno być specjalnego problemu, żeby zabrać Matyldę na nasz hospicyjny obóz. Będzie trochę pacjentką, która potrzebuje psychicznego wsparcia, a trochę wolontariuszką, bo to podobno pracowita i rezolutna dziewczynka. Ciotka też oczywiście byłaby zaproszona.

– Naprawdę? Staszek będzie bardzo szczęśliwy, a Matylda...

– Też będzie szczęśliwa.

– Jezu, Jadziu, to fantastyczne, ale nie wiem, czy my tak możemy...

– Musicie. – Jadzia spoważniała. – Widzisz, są społeczności, w których w wychowanie dziecka angażują się wszyscy – spokrewnieni i nie. Taki zbiorowy obowiązek i zbiorowa odpowiedzialność. My żyjemy w takim czasie i w takim miejscu, że to się wszystko zatomizowało. Ludzie są pojedynczy, rodziny są pojedyncze, dlatego tak trudno sobie radzić z różnymi obowiązkami. Bez względu na to, z kim i gdzie będzie mieszkała Matylda, ona i jej opiekun potrzebują siatki wsparcia. Zresztą nie chodzi tylko o to, co teraz, lecz także o przyszłość. Matylda nigdy nie będzie w pełni samodzielna.

O tym zupełnie nie pomyślałam. W przypadku Matyldy opieka nie polegała wyłącznie na tym, by ją doprowadzić do pełnoletności. Matylda zawsze będzie potrzebowała opiekuna.

– No ale przecież my kiedyś odejdziemy. Ciotka, Staszek, ja...

– Ale będzie na przykład ten mały człowiek. – Ruchem głowy wskazała na mój brzuch. – Dlatego warto dbać o bliskie relacje. Teraz i na potem. To jednak chyba nie jest powód do lęku, co? – Przyjrzała mi się uważnie.

– Nie, nie jest. Czasem jeszcze czuję się taka nieporadna. Przez całe życie musiałam się troszczyć tylko o siebie, a teraz nagle przybyło obowiązków. Zarazem – nie nauczyłam się przyjmować pomocy. Jakoś mnie to krępuje.

– Prawdziwy atom! – Jadzia próbowała mnie rozweselić. – Pomogę ci to poogarniać. Zresztą masz przy sobie kilka naprawdę serdecznych osób. Będzie dobrze.

* * *

– Będzie dobrze – powiedziała mama, uspokajając i mnie, i siebie. Kiedy jej przysięgłam na wszystkie świętości, cokolwiek by pod nimi rozumieć, bo mama nie wierzyła w nic poza miłością, że naprawdę nie musi wsiadać w pierwszy samolot i przylatywać do Krakowa, trochę się uspokoiła. – Aż do dzisiaj nie pomyślałam o tym, że mama mogłaby... – Zawahała się, ale dokończyła: – ... umrzeć. Jakby to się miało nigdy nie wydarzyć. Zawsze była, zawsze gotowa do pomocy. Od dawna już mieszkamy daleko od siebie, ale świadomość, że ona jest... To taki pewnik, stały element świata. Zresztą, wiesz, to byłoby takie niesprawiedliwe, że właśnie teraz, gdy się odnalazł jej ojciec, kiedy jest ten pan Kazimierz... No po prostu nie. Więc musi być dobrze, będzie dobrze.

* * *

– Będzie dobrze. – To zdanie wybrzmiało po raz trzeci wieczorem, wypowiedziane przez Staszka. – W końcu w pudełku z niepowodzeniami kiedyś pojawi się dno. Mam nadzieję, że u nas już pusto.

– Oby. Gdyby świat był tak skonstruowany, to na pewno. Widzę, że ciężka praca ci służy. – Położyłam się na boku, żeby widzieć jego twarz. – W sumie to od tego się zaczęło – od remontu. Gdyby nie pan Tomek...

– Teraz to też Tomek – przerwał mi Staszek. – Pogadaliśmy dziś trochę. Powiedziałem mu, że jesteś w ciąży, chyba dobrze, co? To już nie tajemnica?

– Nie, jasne. Kobiety się nie dzielą tą informacją zbyt wcześnie, bo na początku nigdy nie wiadomo, czy wszystko odpowiednio przebiega i czy nie będzie poronienia. Więc żeby nie zapeszać... Ale ja już nie chcę być przesadna. I lękliwa też nie chcę być. Zresztą Tomek to twój krewny, a poza tym bardzo fajny facet.

– Może powinnaś pójść do lekarza? Nie znam się na tym zupełnie, nie wiem,

co, kiedy i jak, ale jakieś badania, USG... Żeby mieć pewność, że wszystko dobrze.

– Jasne. Niedługo się umówię. Jeszcze chwilę, żeby ta fasolka na zdjęciu dała się podejrzeć. Muszę znaleźć jakiegoś ginekologa w Krakowie, przecież do Warszawy nie będę jeździć. – To wszystko była prawda. Prawdą, niewypowiedzianą, był też lęk o zdrowie naszego dziecka. Tak bardzo chciałam, żeby wszystko się potoczyło bez komplikacji.

– A był czas, że jeździłaś pociągami jak tramwajami. – Staszek pogłaskał mnie po policzku. – Będzie dobrze – powiedział znowu. – Rozmowa z Tomkiem nastroiła mnie optymistycznie. Przejął się, tak twórczo, jak to on. Że może jakiś etat w agencji by mi dał albo stałe zlecenia, że się rozejrzy... Bardzo był poruszony i życzliwy. Ciebie polubił, a gdy się dowiedział, że będziemy mieli dziecko, to chyba nawet łza mu się w oku zakręciła.

– Naprawdę? – zdziwiłam się. Zorientowałam się już, że Tomek jest emocjonalny, ale żeby aż tak?

– No. Na pewno się ucieszył naszym szczęściem, ale powiedział też, że zdarzyło mu się być smutnym z tego powodu, że sam nigdy nie będzie ojcem.

No tak. Tomek był w szczęśliwym związku, ale ich mikrorodzina na zawsze pozostanie dwuosobowa – tylko on i Bartek.

– Więc pewnie będzie wujkiem, który psuje dziecko. – Uśmiechnął się Staszek.

– Od tego są wujkowie. Niewdzięczna rola wychowawców przypada rodzicom.

– Będiesz konsekwentną i niepsującą mamą? – Staszek nachylił się nade mną.

– Ważna jest także czułość. Miłość i dotyk – szepnęłam mu do ucha.

I od tego zaczęliśmy trening przyszłych rodziców.

Rozdział dziesiąty



Ta sama trasa, a za każdym razem inna. Oczywiście, jakieś drobiazgi się zmieniały, a to odmienny wystrój wystawy, a to odnowione drzwi kamienicy. Inna pora roku, więcej zieleni lub brązu, słoneczniej lub pochmurniej. Generalnie jednak odcinek między Wiślną 13 a Apteką pod Wieżą od wielu lat wyglądał podobnie. Za to ja za każdym razem widziałam go odmiennie.

Kiedy spacerowałam z prababcią po mleko i bułki i byłam dumna, że sama niosę nylonową siatkę z zakupami, choć z trudem utrzymywałam ją nad chodnikiem.

Kiedy żwawym krokiem szłyśmy z mamą na przystanek tramwajowy, żeby się nie spóźnić na pociąg do Warszawy, a mnie było żal zostawiać to mieszkanie pachnące pastą do podłóg i szarlotką, gdzie czas jakby wolniej płynął.

Kiedy babcia zabierała mnie na plac Żydowski po kalarepkę, na niespieszne zakupy, a potem gotowała to, na co miałam ochotę. I nigdy nie odmawiała, gdy ją prosiłam, żeby mi coś poczytała.

Kiedy przyjechałam do Krakowa, żeby zamknąć doczesne sprawy Emilii Majewskiej, i byłam kupką nieszczęścia i niepewności.

Kiedy przypadkiem zauważyłam agencję Stella, weszłam do niej, by oddać sprawy sprzedaży mieszkania w kompetentne ręce pana Tomka, a w efekcie oddałam serce jego kuzynowi.

Kiedy szłam do pralni, a pani Florczyk nie tylko czyściła moje zasłony, lecz także wymiatała trochę obaw z mojej duszy.

Kiedy wpadłam na Jadzię, barwnego motyla, który wydawał się fruwać

w obłokach, choć tak naprawdę mocno się trzymał ziemi, z tym że świat widział na kolorowo.

Kiedy przystanąłam na szarych płytach, zapatrzona w księżyc, a potem, jeszcze z ciepłym od pocałunku Maćka policzkiem, zobaczyłam przyglądającego się nam Staszka.

Kiedy szłam na dworzec lub z niego wracałam, nie potrafiąc wybrać: Warszawa czy Kraków.

Kiedy się zastanawiałam: przypadek czy przeznaczenie? I w ogóle nie brałam pod uwagę trzeciego czynnika: własnej sprawczości.

Kiedy byłam smutna, rozżalona, tchnięta lekką nadzieją lub kiedy uśmiechałam się do swojego odbicia w szybach.

Teraz nade mną było ładne późnoczerwcowe niebo, w sercu i głowie też bezchmurnie. Rano byliśmy z Jadzią u babci w szpitalu. Jej stan się poprawił i ustabilizował. Była jeszcze trochę blada, na skórze zaczynały się pojawiać fioletowe wykwity siniaków, ale miała dobry nastrój. Lekarz potwierdził, że jeśli do jutra ten stan się utrzyma, to wypiszą babcię, wraz z zaleceniami, jak o siebie dbać i jak się nie stresować. Och, gdyby tylko znał naszą historię! Obiecałam oczywiście, że wszyscy w rodzinie dołożymy starań i zajmiemy się babcią. Oferta pana Kazimierza była aktualna. Zapowiedział, że przyjedzie po babcię swoim autem. Nie wypowiedziałam na głos obawy o umiejętnościach kierowców w podeszłym wieku. Kiedy się potem zwierzyłam Jadzi, stwierdziła: „Starzy ludzie są tacy sami jak ty. Tylko starzy. Ale nie zapominają tego, czego się nauczyli. I są ostrożniejsi. Wyluzuj”. No to wyluzowałam.

Z całej tej początkowo dramatycznej sytuacji wyniknął jeden niewątpliwy plus. Do tej pory w ogóle nie myślałam o tym, że babci mogłoby się coś stać. Że mogłaby umrzeć. Przecież zawsze była obecna w moim życiu, zawsze zorganizowana i niezniszczalna. No i jeszcze przed kilkoma miesiącami była – jakby to powiedzieć – chroniona przez prababcię Emilię. To oczywiście nieuzasadnione myślenie, bo choroby i wypadki nie idą w parze z metryką, ale póki Emilia żyła, wydawało mi się, że babcia jest „bezpieczna” – przecież przed nią z przewodzką na tamten świat czeka jeszcze prababcia...

Kolejka się przesunęła. Babcia okazała się nie być z żelaza. W takich chwilach można się poużalać nad nieuchronnym upływem czasu albo lepiej go wykorzystać. Wybrałam to drugie – zapowiedziałam się z wizytą w Olkuszu, żeby spędzić więcej czasu z babcią. No i z panem Kazimierzem.

Żeby nie było tak całkiem sielsko, teraz, dla odmiany, lekuchno się

stresowałam rozmową z panią Marią. Miałam już porzucić ten zatrapkowy styl, no ale to było naprawdę i obiektywnie trudne. Dręczył mnie wyrzut sumienia, że mimowolnie skomplikowałam swojej szefowej plany. Już, już miała zapewnioną obsadę w aptece, a tu... To znaczy jesień była aktualna, ale późną zimą będzie musiała nastąpić przerwa. Kalkulator ciąży wyliczył mi dzień porodu na szesnasty lutego. Jeśli wszystko będzie dobrze, to jeszcze po Nowym Roku będę się toczyć między aptecznymi półkami lub przygotowywać leki na zamówienie, ale potem zawodowo zniknę.

Pchnęłam solidne ciemnobrązowe drzwi. Mile owionął mnie znajomy zapach leków, ziół, dobrze zakonserwowanego drewna. Minęłam dwie osoby czekające na swoją kolej przy okienku, przywitałam się cichym „dzień dobry” z panią magister obsługującą klientów czy raczej, jak ich nazywała pani Maria, pacjentów, i przez miniwejście w blacie przeszłam na zaplecze.

Pani Maria siedziała nad jakimiś papierami. Gdy lekko zapukałam we framugę, podniosła głowę, zsunęła okulary i po chwili rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

– Pani Klara! Bardzo miło, że nas pani odwiedza. Potrzeba czegoś? Nie daj Bóg ktoś bliski choruje? Albo, co gorsza, pani sama? – Podniosła się z drewnianego krzesła, które cicho skrzypnęło. Było na pewno starsze od swojej właścicielki.

– Nie, pani Mario, wszystko w porządku, na szczęście zdrowie mi dopisuje. Babcia w szpitalu, ale...

– Och! – Pani Maria złożyła dłonie w geście przerażenia. – A co się stało, jeśli mogę dopytać?

– Stres, nagłe wzruszenie – powiedziałam.

Widać było, że to wyjaśnienie nie zaspokaja ciekawości pani Marii, ale jako osoba dobrze wychowana nie będzie mnie wypytywała, jeśli sama nie powiem. Nie miałam jednak zamiaru ucinać dyskusji, przecież przyszedłam tu z zamiarem, by szczerze o wszystkim opowiedzieć. Każdą relację – sercową, przyjacielską czy zawodową najlepiej budować na otwartości i prawdomówności. Bez zatajeń.

– To ma związek z historią rodzinną. Dawną historią, która dla nas, to znaczy dla babci, mojej mamy i mnie wydarza się dopiero teraz, bo dopiero teraz ją poznajemy. Przeżywamy ją mocno, bo stare wydarzenia, z pożółkłych kartek – zabrzmiało to poetycko, ale przecież tak właśnie było – pociągnęły za sobą nowe.

– To może ja zrobię herbaty? – zaproponowała pani Maria. – Ludzkość nie

wymyśliła nic lepszego na długie rozmowy niż filiżanka herbaty.

Po kwadransie siedziałyśmy nad parującymi herbacianymi naparami, osłodzonymi aromatyczną konfiturą z pigwy.

– Z naszego ogrodu – oznajmiła pani Maria, szczęśliwa posiadaczka domu z kawałkiem ziemi w Krakowie. – Kilka krzewów pigwowca, niedocenianego i mało znanego. A to świetna polska cytryna. Na surowo nie do przełknięcia, ale podduszone, sklarowane z dużą ilością cukru pigwy to naturalny lek.

– Smaczny. Mogłabym przedawkować. – Uśmiechnęłam się.

– Przyniosę pani kilka słoiczków. Przed jesienią warto zadbać o naturalną odporność. Tyle osób choruje, niektórzy bez sensu próbują antybiotykami zwalczać wirusy lub domagają się „czegoś” farmaceutycznego, znaczy syntetycznego, na odporność, a tu sama natura. Proszę sobie tylko nie myśleć, że ja tak z właścicielskich pobudek o panią dbam. Po prostu pamiętam nasze rozmowy o pani zamiłowaniu do zielarstwa, korzystania z apteczki zielnej.

„Właścicielskie pobudki” sprowadziły mnie na ziemię.

– Pani Mario, to ja pani opowiem teraz całą historię. Przyjechałam do Krakowa zająć się mieszkaniem po zmarłej prababci Emilii, którą pani pamięta z recept i wizyt w aptece. To miała być krótka wizyta, zamknięcie spraw rodzinnych. Podczas sprzątania znalazłam pamiętnik, zapiski prababci. Z czasów tuż przed wojną, samej wojny i kilku pierwszych lat po niej. To... historia miłosna.

Pani Maria poruszyła się na krześle. Nawet ją, wiekową, spokojną i z naukowym podejściem do życia, zaciekał ten wątek. Zresztą kto by się oparł poznaniu tajemnicy sprzed lat? I to miłosnej?

– W skrócie: miłość prababci i pradziadka, której owocem jest moja babcia Elżbieta. Przez całe nasze życie myślałyśmy, wszystkie Majewskie, że pradziadek Staszek zmarł w czasie wojny. Gdy tymczasem, w wyniku splotu różnych wydarzeń, dotarłyśmy do dokumentu, który twierdził, że pradziadek żyje i mieszka w Anglii.

– Niezwykła historia... – Pani Maria pokręciła głową. Miałam nadzieję, że nie wzruszy się tak jak babcia, bo choć byłyśmy w aptece, wśród leków, wolałabym nie musieć jej cucić.

– Tak. Ze szczęśliwym zakończeniem – dodałam, żeby od razu ją uspokoić. – Mama jest teraz w Norfolk, razem z nim, wcześniej towarzyszyła im babcia, która zaraz po powrocie do Krakowa odchorowała te emocje. Lekarze uspokajają, że to chwilowe niedomaganie, efekt nagłego wzruszenia, podróży

samolotem, odwodnienia, zaburzenia elektrolitów – słowem, nic naprawdę poważnego. To nic poważnego tyczy się zdrowia fizycznego, bo jeśli chodzi o inne aspekty – to sprawa ma wpływ nasze życie.

– Ależ oczywiście, że ma! Ale chyba tylko dobry, prawda? Tak cudownie odnaleziony bliski to sama radość. Nowy, niespodziewany członek rodziny!

No proszę, pani Maria swoimi skojarzeniami prowadziła mnie przez tę rozmowę jak po sznurku. „Nowy członek” rodziny – przecież właściwie w tym celu tu przyszedłam.

– Cudowna sprawa – potwierdziłam. – Ale to nie wszystko. Bo ten pamiętnik i to, co się wokół niego wydarzyło, nie tylko namacalnie, lecz także w środku, w nas wszystkich, a przede wszystkim we mnie, sprawiło, że podjęłam decyzję, żeby zostać w Krakowie. Stąd moja obecność w aptece.

– Która mnie bardzo cieszy. – Pani Maria posłała mi serdeczny uśmiech.

– Tak... mnie też, choć... – Urwałam.

Pani Maria przyjrzała mi się przenikliwie, więc szybko się pozbierałam.

– Podczas remontu mieszkania po prababci poznałam Staszka.

– Tego pradziadka? – dopytała pani Maria.

– Nie. Pradziadka poznam, gdy przyjedzie do Krakowa, co pewnie będzie związane z... moim ślubem.

– No to fantastycznie, dziecko! Cieszę się i gratuluję! A to kiedy?

– Jeszcze nie wiem, nie ustaliliśmy ze Staszkiem, znaczy z moim Staszkiem, ale chcielibyśmy szybko.

– Och, miłość jest taka niecierpliwa. – Pani Maria się rozmarzyła.

„Jest”, przytaknęłam w myślach. „Bardzo niecierpliwa, z wszelkimi tego konsekwencjami, zwłaszcza z tą jedną”.

– Fantastyczna wiadomość. Pewnie się pani niepokoi o urlop, bo w pierwszym roku to się może wydawać niezręczne, ale taka okoliczność wszystko usprawiedliwia. Nie wiem, jaki ślub planujecie, bo teraz młodzi to mają różne niestandardowe pomysły, ale ostatnio słyszałam rozmowę mojej wnuczki o ślubie jej przyjaciółki i to były przygotowania jak do królewskiego wesela – ponad rok! U pani, pani Klaro, to chyba prędzej, bo na ile panią poznałam, nie ma pani wielkiego zamiłowania do hucznych opraw i zbytku... Pewnie zatem wiosna? A może nawet zimowa, świąteczna sceneria? Też urokliwie. Zresztą to chwile blichtru, przeminą, ważne to, co między wami, młodymi, co was łączy.

„Wiosną już będę pchać wózek”, pomyślałam. Zimą sama się będę toczyć, jak na kółkach. Właściwie to wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale nie

chciałabym brać ślubu, jak to się kiedyś mówiło, a może nadal się tak mówi, „z brzuchem”. Nie dlatego, że to wstydlive lub ktoś by się mógł zastanawiać, czy to aby nie główny powód zamążpójścia, tylko po prostu chciałam ładnie wyglądać. I nie biegać co chwilę do toalety z powodu uciśniętego pęcherza. Zarazem pamiętałam jeszcze przecież dobrze przygotowania do poprzedniego ślubu, to znaczy tego niedoszłego. Teraz to wydawało mi się prehistorią, choć wydarzyło się tak niedawno! Na początku tego roku przymierzałam suknie ślubne w obłądnie drogim salonie, by wybrać jeden z droższych modeli – „prezent ode mnie”, szarmancko zachęcał Paweł. Od razu było po tej górze tiulu i atłasu widać liczbę zapłaconych za nie tysiący. Teraz nigdy bym nie wybrała podobnej sukienki, i to nie tylko dlatego, że nie miałam pieniędzy. Teraz chciałam czegoś prostego, delikatnego, naturalnego – jak moja miłość do Staszka. Gdyby Paweł nie poszedł za tą napompowaną, ledwie pełnoletnią Barbie, za kilka tygodni przyrzekałabym mu wspólne życie do grobowej deski. Ten trzynasty sierpnia naprawdę okazałby się pechowy, choć nie wiedziałabym, ile tracę... „Zaraz, zaraz, a gdyby tak?”, nagle przyszło mi do głowy. Właśnie tak, na przekór uprzedzeniom i przesądom. 13 może być super. 13 będzie super. Gdy Paweł mnie rzucił, 13 sierpnia wydawał mi się okropną datą. Zastanawiałam się, jak przeżyję ten dzień, kiedy już nadejdzie. Dzień niespełnionego marzenia, klęski, dopełnienia zemsty Mojr („O święta naiwności!”, aż westchnęłam w duchu). Dzień Porzuconej Narzeczonej. Więc teraz, wbrew temu wszystkiemu...

– Myślimy o sierpniu – rzuciłam, sama zaskoczona swoją odwagą. Siedem tygodni to ślubny superekspres. – To znaczy właśnie teraz taka data przyszła mi do głowy. Nasza rozmowa mi ją podsunęła.

– No, to sporo czasu, proszę się teraz tym nie kłopotać, znajdziemy zastępstwo...

– Sierpniu tego roku. – Szłam jak burza, nie ma co. Sama się sobą zachwyciłam, bo decyzje padały jedna po drugiej.

– Tego roku? – powtórzyła za mną pani Maria jak echo. – A to się da tak szybko?

– Nie wiem. Ale są pewne okoliczności łagodzące, to znaczy wspomagające. Wyjaśniające. Jestem w ciąży, pani Mario. – Omal, starym przyzwyczajeniem, nie zamknęłam oczu. Wytrzymałam jednak to napięcie i wpatrywałam się w twarz swojej szefowej.

Pani Maria to była stara szkoła. Choć zasypałam ją różnymi newsami,

niewiele dała po sobie poznać.

– Ach tak – powiedziała. – Gratuluję – dodała szybko. – Czyli zmiany, dużo zmian, pani Klaro.

– Dużo. Nie wszystkie zaplanowane. Powiem to wprost – ciąży nie planowałam. Wiem, kiedy się ma trzydzieści kilka lat, to może zabrzmieć zabawnie. Albo nieodpowiedzialnie, ale tak to wyglądało. Ślub by był, ale bez pośpiechu. Słowem – wszystko przyspieszyło. I ja się bardzo z tego cieszę, choć jednocześnie mam poczucie, że jestem nie w porządku wobec pani, bo przed chwilą podpisałyśmy umowę, a teraz przychodzę i oznajmiam, że niedługo będę mamą. No, trochę tak jakby niepoważnie...

Pani Maria przyglądała mi się, nic nie mówiąc. W końcu zapytała:

– A pani chce pracować, pani Klaro?

– No pewnie, że tak! Lubię pracować, dopóki wszystko będzie w porządku, to tak, jak długo się da, będę pracowała. No ale potem...

– Potem to pomyślimy. Fakt, nie przewidziałam takiego scenariusza, to znaczy, że tak szybko ta zmiana nastąpi, ale to życie, po prostu samo życie. Coś trzeba będzie zaradzić. A, przepraszam, że o to zapytam, to zupełnie nie w moim stylu, ale to z troski – ten chłopiec, przyszły mąż, to... pewny wybór?

– Pewny wybór? – Nie zrozumiałam w pierwszej chwili. – A, pyta pani o to, czy to nie wpadka na całego? Znaczący przypadkowy seks i przypadkowa ciąża, więc przymusowy ślub?

Zagalopowałam się. Tak tobym mogła z Anką rozmawiać. Są granice otwartości, nawet w przychylnej atmosferze. Pani Maria delikatnie odstawiła filiżankę na talerzyk i wyprostowała się. Odchrząknęła.

– To znaczy... – chciałam się poprawić.

– Tak, może innym słowem bym to ujęła, ale taka właśnie wątpliwość mnie naszła. Chciałam zapytać, czy jest pani pewna swojego wyboru?

– Tak! – wypaliłam od razu.

– To chyba było najzarliwsze „tak”, jakie kiedykolwiek usłyszałam. – Wreszcie się uśmiechnęła.

Fakt. To było chyba najzarliwsze „tak”, jakie kiedykolwiek powiedziałam.

* * *

Wieczorem streściłam Staszкови przebieg tego spotkania. Był zdziwiony spokojną reakcją pani Marii.

– Jednak bym obstawiał, że twoja szefowa będzie niezadowolona. Może nie tak wprost, w tym pokoleniu obowiązują inne zasady, ale słyszę, że nic takiego się nie wydarzyło.

– Ano nie – przytaknęłam zadowolona. – Więcej ci powiem, pani Maria, gdy sobie dłużej pogadałyśmy i opowiedziałam jej o nas, zaproponowała ci spotkanie ze swoim zięciem.

– A po co? Szuka kogoś do remontu?

– Nie. Do pracy, w szkole. Jest dyrektorem liceum społecznego i ma wakat na stanowisku historyka do obsadzenia.

Myślałam, że Staszek się ucieszy. A on, jeśli nawet ta informacja sprawiła mu radość, nie dał tego po sobie poznać. Zmarszczył się i nic nie powiedział.

– Zły pomysł? – Teraz to ja się zrobiłam lekko zła. A na pewno zagubiona. O co mu chodziło?

– Dobry, dobry – zaprzeczył szybko Staszek.

No tak. To słynne dwukrotne potwierdzenie, które w rzeczywistości znaczy tyle co słabiutkie, lekko nieszczerze „tak”, czyli tak naprawdę – „nie”.

– Przepraszam, nie chciałem być niemiły. Bardzo ci jestem wdzięczny, że tak o mnie myślisz.

– O nas. Myślałam o naszej rodzinie – wyjaśniłam. Dość oschle.

– Klara, nie obrażaj się. Kurde, źle to zabrzmiało. – Pierwszy raz użył czegoś na kształt przekleństwa.

– Źle – przytaknęłam.

– To ci wyjaśnię. Po prostu nie czuję się dobrze, kiedy nie mogę być... samodzielny. Może tam, skąd pochodzę, to działa w przesadny sposób, ale chciałbym mieć poczucie, że to ja, facet, odpowiadam za siebie i za swoją rodzinę, rozumiesz?

– A – powiedziałam. Niewiele, bo poczułam się trochę skołowana. – Ja ci nie zabieram samodzielności, ta propozycja wyszła w rozmowie, zwykły życzliwy gest...

– Ja to wszystko rozumiem, oczywiście. Tylko... no, źle mi z tym. Może to znowu te kompleksy ze mnie wychodzą. A może bym chciał, żeby było inaczej niż u mnie w domu.

– U ciebie, z tego, co rozumiałam, było tak, jak byś właśnie chciał. Ojciec rządził – wypaliłam. Dziwna była ta rozmowa. I nastrój się zrobił dziwny.

– A, ty masz na myśli, że patriarchalnie? – Ciemny brąz oczu Staszka nie był magnetyczny, tylko lekko złowrogi. – Nie, zupełnie bym tak nie chciał. Właśnie

od tego chcę uciec. Chciałbym się zająć rodziną, też finansowo. Mieć poczucie, jakby ci to wyjaśnić... że robię to sam. Że jestem wsparciem i podporą dla ciebie.

– Przecież jesteś – powiedziałam już łagodniej.

– No, na razie to kulawo wychodzi. Przepraszam, jeśli poczułaś się urażona, zupełnie nie miałem takiej intencji. Jestem ci wdzięczny. Nie chciałem tylko, żebyś musiała się troszczyć o wszystko ponad miarę. Jak moja matka albo ciotka. No tak, wychodzą ze mnie te domowe sprawy... Złość na ojca za te wszystkie złe lata. Za obecne też, bo olał mnie, olał córkę, olał dom, który niszczy, a moglibyśmy tam chociaż na wakacje jeździć. Stres, jak zorganizować opiekę nad Tylką. Przecież nie jestem tak nierealnie nastawiony do życia, żeby nie wiedzieć, że to trudna sprawa. Nie mówisz tego wprost, ale ja to widzę, czuję. I jeszcze frustracja, że nauczyciele podle zarabiają. Sporo trudnych spraw. Raz lepiej mi z nimi idzie, raz gorzej. Próbuję się tym z tobą podzielić.

– Byłeś szczerzy.

Nigdy bym nie przypuściła, że tak może odebrać moją troskę. I trochę oszołomiona, bo nigdy nie prowadziłam takich rozmów. Z Pawłem na przykład wszystko było gładkie, takie wyslizgane, niekanciaste zdania. Wtedy myślałam, że to dlatego, że jesteście podobni. Akurat!

– Tak, byłem. Ale nieporadnie. Rozmowa, najprostsza niby sprawa, zwłaszcza że słów nam nie brakuje i uczuć też, a tu się okazuje... Dobra, to jeszcze raz, od początku: dziękuję ci, wiem, że to z czystej miłości, choć mi przykro, że jestem teraz w trudnej sytuacji, bo to dotyka nie tylko mnie. Jutro zadzwonię do tego dyrektora i porozmawiam. Mam też pewien inny pomysł, ale na razie nie mówię, żeby nie zapeszyć.

Pokiwałam głową. Rozumiałam Staszka. I jego potrzebę samodzielności. Równouprawnienie nie we wszystkich dziedzinach musi być do końca równe. Taki damsko-męski podział odpowiedzialności, obowiązków siedział w nas głęboko zakorzeniony. We mnie może mniej, bo chowałam się bez ojca, więc siłą rzeczy wyglądało to inaczej. Staszek miał swoje doświadczenia. Teraz trzeba było z tego zrobić coś wspólnego. Znowu droga pod górę, no, pod górkę może. Ale żeby dojść za siódmą górę, trzeba się trochę powspinać.

– A jak babcia? – zapytał Staszek, zmieniając temat.

– Zdecydowanie lepiej. Jutro przyjeżdża po nią pan Kazimierz. Będę rano w szpitalu, pomogę im się zebrać. Potem pojedziemy do babci, po jakieś rzeczy,

no a później to oni sami do Olkusza.

– Na długo?

– Nie wiem, nie mówiliśmy o tym jeszcze. Babcia miała mieć teraz rehabilitację, ale trzeba ją będzie przełożyć. Właściwie to się tak zastanawiam, czy ona nie zostanie tam na dłużej. Bo co ją tu trzyma? Tam domek, ogród, pan Kazimierz... A dlaczego pytasz?

– Bo wszyscy nam się porozjeżdżali... Dzwoniła dziś do mnie Jadzia. Ten obóz to w drugiej połowie lipca, potwierdziła. Fantastyczna kobieta, muszę pomyśleć, jak się jej zrewanżować za jej dobro. Więc teraz lipcowe rozjazdy, no a potem będzie sierpień.

– Jak co roku – zgodziłam się na to małe odkrywcze spostrzeżenie. – Taka kalendarzowa tradycja. – Uśmiechnęłam się.

– Wiem – prychnął Staszek. Napięcie chyba już całkiem z nas zeszło. – Sierpień spoczynku nie chce dać, każe orać i siać... I śluby brać. Co byś powiedziała na taką datę?

O tym, że wspomniałam sierpień jako możliwą datę ślubu u pani Marii, postanowiłam się nawet nie zająknąć. To też Staszek mógłby odebrać jako podkradnięcie mu jego roli, a akurat o tę to wcale nie chciałam z nim rywalizować. Tu i moje poglądy były tradycyjne: facet się oświadcza, kobieta – zgadza.

– Po raz drugi powiedziałabym „tak”. Przeprowadzasz próby generalne do tej chwili?

– Coś jakby. Pomyślałem sobie, że sierpień byłby dobry, bo wtedy moglibyśmy wszystkich zebrać. Twoja babcia zdążyłaby się wykurować, Matylda i ciotka by wróciły, Jadzia będzie, Anka chyba też już po wakacjach?...

– Tak, będą. No i jeszcze mama i... – spojrzałam na Staszka – dziadek. Znaczący pradziadek.

– Właśnie. Połączyłby wizytę w kraju ze ślubem prawnuczki. Wszystko świetnie się składa.

– Prawie – zgodziłam się. – Pewną trudnością może być termin. To niewiele czasu.

– Niemal dwa miesiące. Tyle wystarczyło, żeby się poznać, zakochać, rozmnożyć, a nie wystarczy na przygotowanie skromnej uroczystości?

Fakt. Jeśli na to spojrzeć z tej strony.

– Ale same formalności... Akty urodzenia, wizyty w urzędzie...

– Myślałem o ślubie kościelnym. Zależałoby mi na tym. Nie dla samego

obrzędki. To ważne dla mnie.

– A tego akurat nie rozważałam – przyznałam. Ślub z Pawłem miał być cywilny, żadnemu z nas nie zależało na „tradycji”. – Do tej pory nie rozmawialiśmy o wierze. Zauważyłam, że kiedyś w niedzielę słuchałeś mszy w radiu, widziałam w Witowie krzyż nad wejściem...

– Tu też wisi. – Staszek kiwnął głową w stronę przedpokoju.

– Wisi. Prababcia powiesiła. Była wierząca i pobożna. Babcia też jest. Mama wierzy w życie, w codzienność. Niczego nie odkłada na potem, bo według niej nie ma potem, jest tu i teraz. Ja byłam wychowywana w prawdziwym tygielku: przez prababcie wierzącą „klasycznie”, czyli każda niedziela i święto w kościele, Biblia przy łóżku, wiara niezłomna, babcię, która wierzy niezachwianie w Boga, ale zdarza się jej krytycznie spojrzeć na Kościół, i przez mamę, która miewa tęsknoty za takim światem, gdzie jest jakaś siła wyższa, ale nigdy, przenigdy nie uwierzy, by ta siła mogłaby mieć coś wspólnego z Kościołem. Sakramenty przyjmowałam, bo babci na tym zależało, i w sumie, pominiawszy okropną siostrę w podstawówce, to nawet się w tym odnajdywałam. Bardzo na przykład lubiłam siedzieć w pustym kościele i tak sobie rozmawiać – trochę ze sobą, trochę z Nim. Natomiast daleko mi do tradycyjnego katolicyzmu.

– U mnie w domu wiara była. Tak jak u dziadków i pradziadów. Podhale jest silne tradycją. Nie wszystko mi się w tym podejściu podoba, ale jednego jestem pewien – wierzę w Boga, a wiara wiele razy pomagała mi w trudnych życiowych zakrętach. Nie z musu, nie z tradycji, po prostu bym chciał przed Bogiem przyrzec ci miłość, wierność i dobre wspólne życie aż po kres. A i może dłużej.

Nie pamiętam, żebym z kimś tak rozmawiała. Moim znajomi albo chodzili do kościoła z rozpędu, z przyzwyczajenia, albo nie chodzili wcale i kwitowali to krótkim „nie wierzę”. Anka była zdecydowaną przeciwniczką Kościoła, ale to po części na pewno wynikało z faktu, że jej mama była zdecydowaną zwolenniczką, a moja przyjaciółka przeżywała spóźniony bunt wobec rodziców. Ja byłam gdzieś pośrodku. Nikt mnie nie przymuszał, niczego nie zakazywał, nie zabraniał. Byłam też w tych rozważaniach samotna. Zupełnie nie czułam ducha wspólnoty – pielgrzymki, oazy, rekolekcje to nie dla mnie, nie odnajdowałam się w tym, byłam pojedyncza. Rozmowa ze Staszkiem to była pierwsza od dawna próba głośnego wypowiedzenia i uporządkowania myśli na ten temat.

– Nie mówię „nie”, jestem tylko trochę zaskoczona. I mam spore obawy, czy ślub kościelny to się da tak szybko załatwić. Przecież to przygotowania, nauki... No i termin – pary czekają na lato, na miesiąc z „r”. Zabieramy się do tego za

późno. O jakiś rok za późno. – Nagle dopadły mnie wątpliwości. A już widziałam siebie w lekkiej białej sukience, z polnymi kwiatami zamiast bukietu i obrączką na palcu. A to wszystko bez większego zachodu, starań, nerwów. Ot, życie kontra rzeczywistość.

– Wiara potrafi góry przenosić. – Staszek nie podzielał mojego pesymizmu. – Zgodnie z tradycją ślub jest w parafii panny młodej. Czyli?...

– No, chyba w kościele Bożego Ciała. Tam chodziła prababcia. Tam był pogrzeb. Więc jeśli ja teraz mieszkam na Wiślnej, to parafię mam właśnie tam.

– Piękny kościół.

– Piękny. Mam takie wspomnienia z dzieciństwa – mrok, strzelistość, migające kolorowe plamy światła wpadającego przez witraże. A dokoła okropna szarość. Niedaleko była zajezdnia tramwajowa i chyba zakład gazowy, takie przemysłowe tereny, że lepiej się po zmroku nie zapuszczać. I Kazimierz, który teraz jest kolorowy i tętni życiem, ale wtedy był niemym wspomnieniem życia, które stamtąd odeszło i nie wróci.

– Blizna w tkance miasta. – Pokiwał głową Staszek. – No dobrze, to plan z grubsza mamy. Do końca tygodnia zasuwał na tej budowie i będę mało wyjściowy, więc zaraz po weekendzie pójdziemy do kościoła, żeby porozmawiać z księdzem o ślubie. No i jutro rano zadzwonię do zięcia pani Marii, żeby się umówić na rozmowę. W te wakacje harmonogram mamy naprawdę napięty. – Objął mnie ramieniem.

Fakt. Kalejdoskop zdarzeń niestrudzenie się obracał, kolorowe szkiełka przeskakiwały, układając się w nowe obrazki. Wszystko w ekspresowym tempie, jakbym nadrabiała wcześniejsze spokojne lata. W tym pędzie poczułam lekkie ukłucie przykrości – zabrakło takich prawdziwych oświadczeń. Obrączkę będę nosić na palcu samotnie, bez pierścionka zaręczynowego. Niby nic takiego, to po prostu zwyczaj, no i zwykle okres narzeczeństwa trwa dłużej niż kilka tygodni, ale... Nie było się co oszukiwać. Literatura dla dziewczynek i kobiet, kolorowa prasa, komedie romantyczne i koleżanki zrobiły swoje: po cichutku sobie wyobrażałam, jak on pada na kolana, wyjmując zza pleców puzderko, a z niego błyszczące kółko z oczkiem, które wsuwa mi na palec. Oczywiście nie myślałam o takim blichtrze, jaki zafundował mi Paweł, nie, nie, nie, to już nie była moja bajka. Ale o pięknej baśni wciąż marzyłam.

Rozdział jedenasty



To niebiesko-czarne drzewko wyglądało przedziwnie – jak niesymetryczna choinka. To znaczy do pewnego momentu było równe, potem, czyli na górze, zaczął się brak równowagi – po lewej, niebieskiej stronie, kreski były dłuższe, po prawej, czarnej – krótsze. Tak wyglądała piramida wieków mieszkańców Olkusza. Nie wiedziałam nic o tym mieście, tylko tyle, gdzie się z grubsza znajduje na mapie. A skoro miała tam pojechać babcia, i za jakiś czas ja, to postanowiłam się doksztąpić w internecie. Ten wykres był jedną z pierwszych informacji, jakie mi się wyświetliły. I wyglądał smutno, to znaczy smutno dla kobiet, bo od siedemdziesiątego piątego roku wzwyż stanowiły dwu-, trzy-, czterokrotnie licznieszą grupę niż mężczyźni. Jeśli zatem jakaś wdowa nie chciała samotnie spędzać ostatnich lat swojego życia, to miała trudno. Nie była to z pewnością specyfika Olkusza, na pewno tak się układało w całej Polsce, ale ta grafika dotyczyła właśnie tego miasta. Pomyślałam o panu Kazimierzu. Statystyki mu mocno sprzyjały, mógłby lokalnie układać sobie życie – wolnych pań na miejscu nie brakowało. A on zakochał się w babci. I to wyjazdowo, w sanatorium, gdzie wedle Anki odchodziły takie balety, że hej! Nad tym też się wcześniej nie zastanawiałam, ale przyjaciółka z pewnością miała rację; opowiadała zresztą potem o relacji swojej ciotki z takiego turnusu. *Hot stuff*, jakby to mama, z aprobatą, ujęła. Tymczasem babcia i pan Kazimierz byli jak wyjęci z kart zupełnie innej opowieści. Zapatrzeni w siebie, tak ładnie się do siebie odnoszący, z troską, delikatnością, czułością. I, aż się wewnątrz zaczerwieniłam, z... namiętnością. Oczywiście nie taką, żeby z siebie ubrania

zrywać, ale widać było między nimi chemię, wzajemne zapatrzenie, które obejmowało nie tylko sferę ducha. Jeszcze wczoraj, kiedy myślałam o babci rekonwalescentce, to oczami wyobraźni widziałam ją w wiklinowym fotelu na tarasie, okrytą pledem, a pana Kazimierza donoszącego kolejną szklanekę kompotu. Scena jak z Lucy Maud Montgomery! Ja miałam się w niej pojawić jako siostra miłosierdzia, zarządzająca tą nie do końca sprawną grupką i wspomagająca ją w codziennym znoju. Potem przypomniało mi się, że przecież babcia ostatnio jakby odmłodziła, zaczęła inaczej wyglądać. „A ten błysk w oku babci widziałaś?”, zagadnęła mnie konspiracyjnym szeptem mama, kiedy odwiedziły mnie obie na Wiślniej. Rzeczywiście, błysk był. W szpitalu przygasł, ale teraz powrócił. Grupka wyglądała razem całkiem żwawo, babcia na widok pana Kazimierza ewidentnie lepiej się poczuła. Siła miłości w nosie ma kalendarz.

Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos otwieranego pawlacza. To pan Kazimierz wyciągał z niego walizkę.

– Może pomogę? – zaoferowałam się ochoczo.

– Dziękuję, to też forma gimnastyki. – Pan Kazimierz już stał na podłodze, z torbą w ręku. – Jak najdłużej wszystko samemu robić, to recepta na sprawność.

Widać było po nim, że tak właśnie dba o kondycję. Szczupły, umięśniony. Do tego ładnie obcięty, dobrze pachnący, w dżinsach i fajnej bluzie dresowej. Nie wiedzieć czemu, oczekiwałam spodni od garnituru i koszuli. I zapuszczonego brzuszka. Albo nawet więcej zapuszczonego ciała niż sam brzuch. Albo ja byłam bardzo poza rzeczywistością, albo pan Kazimierz, ale nic z tych wyobrażeń się nie sprawdziło.

– To może pomogę ci się spakować, co, babciu? – Choć tak chciałam uzasadnić swój pobyt tutaj.

– No pewnie, Klaruniu, chodźmy.

Położyłam walizkę na łóżku i ją otworzyłam.

– Ma być gorąco przez najbliższy czas, więc pewne coś lżejszego bierzesz? – zapytałam, idąc w kierunku szafy.

– Tak, choć trzeba być przygotowanym na różne ewentualności. – Babcia stanęła obok mnie.

Sięgnęła ręką i wyciągnęła sukienkę. Niebieską, prostą w kroju, fajnie odszytą, niezbyt długą i nową.

– Ładna, nie widziałam cię w niej nigdy – stwierdziłam.

– Ach, bo nowa. – Machnęła ręką babcia, po czym wyjęła jeszcze dwie

podobne, czerwoną i żółtą. – Promocja była. Wiesz, dwie to dwadzieścia procent taniej, trzy – trzydzieści.

– Kolorowe są. – Powiedziałam to jak prawdę objawioną.

– Tak – zgodziła się pogodnie babcia. – Wybraliśmy je razem z Kaziem, jest taki fajny sklep niedaleko niego... No, trochę zmieniłam garderobę, ale powiem ci, że nie tylko w oczach Kazia wyglądam korzystnie. Lustro mówi mi to samo: Elu, po co beże i brązy, skoro są kolory? Kolana nie są niczym wstydliwym, można je pokazać. Bardzo ożywcza ta zmiana. – Babcia dołożyła do walizki nowy kostium kąpielowy. W panterkę.

„Chyba się uszczypnę”, pomyślałam. W tej rodzinie to ja jestem mentalną seniorką. To znaczy zmieniam się, ale ile mnie to trudu i rozkminiania kosztowało. A tu, proszę. Fiu, fiu.

– Już? Spakowana? – Pan Kazimierz wszedł do pokoju.

Babcia przytaknęła.

– To chodźmy do salonu, na lunch.

– Zaraz do was dojdę, tylko się przebiorę – powiedziała.

I rzeczywiście, zamiast swojskich kanapek z serem i kiełbasą były jakieś małe bułki z ziarnami, sałatki i sok pomarańczowy. Prawdziwy lunch, nie swojskie drugie śniadanie.

– Bułki orkiszowe z siemieniem, sałatka z tofu i kiełkami sojowymi, świeżo wyciskany sok. Dieta prozdrowotna, dla serca i kości.

– Do tego trzeba jeszcze będzie dołożyć czerwone wino, ale to już na miejscu.

– W pokoju zjawił się babcia. W – omal nie zemdlałam – dżinsowej spódnicy.

Naprawdę, są na ziemi rzeczy, o których się nie śniło filozofom. Na przykład moja babcia w denimie.

* * *

– ... i pojechali tym jego SUV-em w kierunku Olkusza – zakończyłam streszczanie poranka Ance, kiedy wróciłam do domu.

– Z twojego tonu wynika, jakby jechali w stronę zachodzącego słońca. – Anka prychnęła rozbawiona. – A co, miał polonezem przyjechać? Albo bryczką?

– No, aż tak to nie, po prostu inaczej go sobie wyobrażałam.

– To popracuj nad wyobraźnią. Jest teoria, w którą wierzę, że to my sami sobie projektujemy życie, to znaczy sposób, w jaki myślimy o otaczającym nas świecie, ma istotny wpływ na to, jak ten świat wygląda. To żadna z tych

cudownych wizualizacji – od razu zastrzegła – że jak chcesz nowe auto, to musisz sobie wyobrazić czerwone ferrari i niedługo twoje marzenie się spełni. To po prostu pozytywne widzenie świata. I jeśli ty widzisz świat tak, jak sobie umyśliłaś chłopaka babci, no to, dopasowując się do klimatu – popelina. – I sama tak się zaśmiała ze swojego żartu, że aż dziw, iż nie upuściła telefonu.

– Już? Pośmiane? – obruszyłam się, ale bardziej *pro forma*. W gruncie rzeczy Anka miała rację, a żarcik był zabawny.

– Już. – Siąknęła i odchrząknęła Anka. – Kiedy babcia wraca z tego Olkusza? A przy okazji, ty wiesz, że to w Olkuszu od lat robi się te różne emaliowane garnki?

– Wiem. Wyrzucasz płytę indukcyjną i wstawiasz kuchenkę na gaz? – Teraz ja postanowiłam być zabawna.

– Indukcyjne też chyba mają. Ale mają także serię vintage, wprost stworzoną dla ciebie. Nawet takie fikuśne mydelniczki do powieszenia. Cały dom byś mogła tymi rzeczami poobstawiać. A w góralskiej chałupie... no to by był szzał. Oblukaj, na pewno coś ci się spodoba.

– Oblukam. Tylko pewnie na tym się skończy. Kasy ubywa, nowego źródła nie widać. Cudownie, że udało się Matyldę i ciotkę dołączyć do grupy z hospicjum, bo inaczej całe lato by przesiedziały w górach, jak od kilku lat zresztą, to znaczy właściwie nie wiem, czy któraś z nich w ogóle gdzieś dalej kiedyś wyjechała. A co do góralskiej chałupy... Piękny ten rodzinny dom Staszka, choć potrzebuje remontu. Takiego na szybko, dachu, i na wolniej, czyli wyczyszczenia, pomalowania drewna, odświeżenia, nowej kuchni, nowej łazienki.

– Czyli remont generalny właściwie?

– Może nie aż tak, ale sporo pracy. Wart jest tego, bo to bardzo ładny budynek i tak fajnie położony, trochę na uboczu, przy lesie, z łąkami z tyłu. Niezwykle malowniczo. Z potencjałem, jakby to pan Tomek określił, gdyby go sprzedawał. Wakacje w tym miejscu byłyby super. No ale... – Westchnęłam.

– Ale co? Staszek nie może tam przyjeżdżać? – Anka się zdziwiła.

– Teoretycznie może, jest tam przecież zameldowany, to jego dom rodzinny. Jednak tak bardzo nie chce kontaktów z ojcem, który pije, ostatnio chyba ciągiem, jakby już się zsuwał z tej równi pochyłej swojego alkoholizmu, że odpuścił. No a ojciec nawet kiedy jest, a ostatnio rzadko, bo baluje wyjazdowo, i dlatego w spokoju mogłam obejrzeć wszystko, to nie dba. I tak bez sensu się to kręci. Może kiedyś...

– Kiedy umrze... – odpowiedziała Anka.

– No, w sumie to taka właśnie konkluzja. Nie to, żebym mu tego życzyła, to w końcu ojciec.

– „To w końcu ojciec”. Wygodna wymówka dla wszystkich wtop, co? – Anka spoważniała. – Trudna sprawa, współczuję Staszekowi. A domu szkoda, bo rzeczywiście pomysł z wakacjami czy wynajmem byłby super.

– Taką właśnie myśl miał Staszek! Najpierw to oczywiście chciał tam spokojnie mieszkać z Matyldą, a potem, żeby Matylda z ciotką tam mogły być, bo ta chałupka ciotki to taki drobiazg, bez wygód. Teraz to już nieaktualne, bo Matylda zapewne zamieszka z nami...

– Na Wiślniej? – upewniła się Anka.

– Nie jesteśmy kamienicznikami. Mamy jedno mieszkanie, i to niezbyt duże.

Znowu się spięłam, jak zawsze przy temacie Matyldy. Głowa mówiła, że mam to przerobione, ciało dawało inny sygnał.

– No wiem, po prostu nie do końca potrafię sobie to wyobrazić.

„Ja też”, pomyślałam. „Ja też”.

– Słuchaj, a może babcia by się z wami zamieniła na mieszkania? Jej przecież niepotrzebny taki metraż. To znaczy nie był potrzebny, bo była sama, ale teraz to też raczej nie ma opcji, że pan Kazimierz się do niej wprowadzi, skoro ma swój dom. Ona pewnie tak będzie jeździć, aż w końcu na stałe osiedzie w Olkuszu. – Anka snuła przypuszczenia.

– Nie było takiej rozmowy, ale po dzisiejszym poranku wcale by mnie to nie zdziwiło – zgodziłam się. – Babcia pewnie nie miałaby nic przeciwko, tylko że, jeśli mam być szczerą, niechętnie bym się wyprowadziła z Wiślniej. Tyle pracy włożyliśmy w to mieszkanie, zrobiło się tu tak ładnie, przytulnie. No i ten klimat...

– Niedawno mówiłaś, że z każdego kąta czuć smutkiem, a Mojry, mimo że skute z frontonu, nie opuściły tego miejsca. – Anka uśmiechnęła się. – Głos miała rzewny.

– O Jezu, no i czego się czepiasz? Było, minęło. Matko Boska, wielkie mi rzeczy! – Nowa ja nie lubiła takich powrotów.

– Ho, ho, w taki uroczysty, religijny ton uderzasz, jakby to było coś śmiertelnie poważnego.

– Z innej parafii sprawa, skoro z tą religią wyjechałaś – szykuje nam się ślub kościelny.

– Tak? – zdziwiła się miło Anka. – Z Pawłem nie chciałaś. Potem to mi trochę ułatwiło sytuację, kiedy siadałaś, że cię przed ołtarzem prawie porzucił, a ja cię

pocieszałam, pamiętasz?

Pamiętałam. „Przed stołem z urzędnikiem, to mniej dramatycznie brzmi, nie?”, próbowała mnie rozpogodzić Anka.

– Oboje nie chcieliśmy. A teraz Staszek chce, a ja, no wiesz... Właściwie to nie miałabym nic przeciwko. W sumie to ja wierzę – wyznałam to takim tonem, jakiego musieli używać prześladowani chrześcijanie w katakumbach.

– No i fajnie. Mnie nie po drodze, ale szanuję. Tylko to dużo zachodu. Zdążysz przed porodem? Czy już na po to przełożycie? Choć chyba w Kościele to nie ma co zwlekać, nie wypada tak z dzieckiem przy piersi iść ustalać datę ślubu? Chyba że z chrzcinami w pakiecie? – Anka analitycznie widziała świat, więc wszystko musiało być w nim poukładane, jak w odpowiednich rubrykach Excela, ale trochę się pogubiła.

– Myślmy o sierpniu. Tego roku – dodałam od razu, żeby nie było niejasności.

– No, kochana, tak daleko to nawet optymizm Doroty chyba nie sięga. Ja wiem, co prawda, z drugiej ręki, bo od koleżanki z pracy, jak to u niej wyglądało. Ona taka porządna, rzetelna, niczego nie zmyśliła, tylko opowiadała, jak było. Spotkania co tydzień, grupowe, nauki to się nazywało, jakieś indywidualne wizyty, a, jeszcze planowanie rodziny, choć to by wam może odpuścili albo przynajmniej przełożyli, bo i tak zaraz będzie widać, że w tym rozdaniu nie byliście najlepszymi strategami... No, mówię ci, niewesoło to wszystko wyglądało. I jeszcze tak świadków ciągal. I – może nie jest to sprawa najważniejsza, ale jednak – w kościele to nie będę świadkiem, bo mi brak przekonania, no niestety.

Fakt. Poprzednim razem Anka miała mi świadkować.

– Z drugiej jednak strony to całkiem łebski pomysł. Łzy lałaś, że nie przeżyjesz sierpnia, a tu, proszę.

– Nawet pomyślałam o trzynastym. – Jej mogłam to powiedzieć.

– Po bandzie, ale super. – Anka zaczynała się chyba przekonywać. – W każdym razie trzymam kciuki, daj znać, gdy tylko pogadacie z księdzem. A gdybyś chciała pomocy przy kupnie sukienki czy tam dodatków, to służę. Zdalnie, ale damy radę. Tym razem to pewnie nie salon, bo tam to cię wyśmieją, jak powiesz, że masz dwa miesiące. Trzeba to inaczej załatwić, ja zaraz siądę do internetu. I broń Boże nie kupuj na AliExpress, bo wymiarówka nie trzyma europejskich standardów. Koleżanka, ta od ślubu z pracy, kupiła druhom sukienki. Emki, a przyszło coś jak dla pierwszoklasistek, nijak się wcisnąć. Buty się załatwi, z tym problemu nie ma. Obrączki też migusiem, zmniejszenie to

chwila.

– Może. – Byłam sceptyczna. Jubiler, u którego zamówiliśmy obrączki z Pawłem, potrzebował miesiąca na przeróbki. – Nie mam pierścionka zaręczynowego – wypaliłam.

– Tak? – zdziwiła się Anka.

– No tak. Trochę mi z tym... niepełnie.

– Ech, nie przesadzaj. To nie jest najważniejsze. – Anka próbowała zbagatelizować sprawę. – Ciągłe powtarzasz, że to superchłopak, i to się liczy, a nie przedmioty.

– Ale ty lubisz swój pierścionek, prawda? – przypomniałam jej. – I kilka razy słyszałam tę historię, jak to nad morzem, w małej knajpce, uklęknął przed stolikiem...

– No tak, było wzruszająco, ale... inny czas, inna sytuacja. O, a teraz, słyszysz, też zupełnie inna sytuacja – ucieszyła się, choć w tle rozległ się ni to płacz, ni to krzyk. – No, to jesteśmy w taczku, a ty włączasz pozytywny ogląd świata. – I z tym mnie zostawiła.

„Pozytywny ogląd świata mam włączony”, pomyślałam, rozglądając się wokół. Tak tu było ładnie: błyszczące podłogi, pachnąca drewnem kuchnia, wielki zielony parapet z aromatycznymi ziołami i roślinami, moje duże zdjęcie, zrobione i oprawione przez mamę. Pod nim, w uranowym wazoniku, zasuszony bukiet fiołków – od Staszka. W tradycji angielskiej fiołki przypisuje się osobom urodzonym w lutym. Powiedziała mi to mama, kiedy zauważyła tę kruchą fioletową wiązanekę. A w lutym miał się pojawić na świecie najpiękniejszy przejaw naszej miłości, wspanialszy od najładniejszego choćby pierścionka.

Rozdział dwunasty



– A co tam szumi w tle? – Z mamą rozmawiało mi się tak, jakby stała nieopodal wodospadu. – Ktoś sprząta? Jakiś remont?

– *Rainy day*, tu często siąpi, a dziś to nawet nieźle zacina. Po kilku dniach pobytu w Anglii mam wrażenie, jakbym nasiąkła wodą. Wszystko jest lekko wilgotne – powietrze, ciuchy w szafie, zasłony, trawniki, ludzie.

– Czyli rześko. – Spojrzałam na lipy za oknem. Ostatnie upały już zaczynały się na nich odbijać – zieleń liści utraciła swój blask. Mimo otwartych okien, przewiewu i grubych murów nawet w mieszkaniu czuć było upał. Deszczowa odmiana nie byłaby zła.

– Tęsknię za słońcem. – Mama też potrzebowała odmiany, jednak z drugiego pogodowego końca. – Tu jest pięknie, jeśli chodzi o krajobraz, ale wszystko inne... Na przykład te wiktoriańskie domy. Wiem, wiem, co zaraz powiesz – że są urocze, śliczne, pełne tajemnic.

Fakt, właśnie to miałam na końcu języka.

– No i są, nie zaprzeczam. Na zdjęciach cud, miód i orzeszki. Ale jak trzeba w nich mieszkać, uuuu, no to się zaczynają schody. Dosłownie. Tu, u dziadka, który mieszka w szeregowej zabudowie, są wąziutkie i strome. Rachityczna balustradka, która się lekko chybotze. Korytarzyki też klaustrofobiczne. Zresztą wszystko jest jakby pomniejszone. Salon to salonik. Kuchnia – kuchenka. Co nawet jest urocze i mogłoby być oszczędne, bo ogrzewanie i tak dalej, ale te domy są fatalnie ocieplone, mury mają zawilgocone i w każdym pokoju kominek. W każdym, rozumiesz? Więc trzeba oddzielnie zasuwać i dokładać.

Tak, na zdjęciu to naprawdę musiało wyglądać uroczo. W praktyce – brrr. Zupełnie jak na Wiślniej przed remontem i wprowadzeniem zdobyczy cywilizacji.

– Dziadek sobie radzi z taką obsługą? – zapytałam.

– Ujęłabym to tak: przywykł. Ma grube swetry, ciepłe kapcie, pije dużo herbaty. – Mama się roześmiała. – Zresztą wiesz – góral. Angielska pogoda go nie pokona. No, a tak serio – dodała już poważniejszym tonem – to jestem lekko zdumiona. Przychodzi pani do pomocy, taka *housekeeper*, i pielęgniarka, ta druga to właśnie dziś, pojechali teraz na jakieś badania kontrolne, ale poza tym to dziadek jest sam. Chodzi sobie do pubu, który jest blisko, tam się spotyka z młodszymi kolegami, bo równolatków czy co dopiero starszych to nie ma, powoli się przejdzie na spacer po miasteczku czy wybierze którąś ze spacerowych tras, bo tu ich sporo. Jest całkiem aktywny. No ale jest też w takim wieku, że za chwilę będzie potrzebował pomocy... Stąd różne rozmowy o przyszłości. Dziadek na pewno przyjedzie do Polski, czekamy tylko na ustalenie jakiejś daty, bo ostatnio tyle się dzieje... Nie mówiłam mu, że mama miała ten szpitalny epizod, wolę go nie denerwować niepotrzebnie... Ale z babcią wszystko okej, prawda? Nie oszukujesz mnie?

– Nie, no skąd, mamu – powiedziałam z wyrzutem. – Czy ja w ogóle cię kiedyś oszukiwałam?

– Może nie wprost, ale czasem to sobie lubisz przemilczeć to i owo.

– A, ty mówisz o skrytości, to co innego.

– Jak zwał, tak zwał. Wiesz, że ja to lubię szczerść, podaną na tacy. Co w sercu i głowie, to na języku. Okazało się, że Emily jest taka sama.

– A skąd wiesz? – zdziwiłam się.

– No i patrz, tyle różnych wątków, że mi umknęło. Rozmawiałam z nią na Skypie. Najpierw telefonicznie, ale potem się szybko zgadałyśmy, że lepiej by było z wizją, i się połączyłyśmy. Strasznie fajna osoba, bezpośrednia, pogodna, otwarta. I w ogóle to śmieszne, bo ona jest córką, czyli odpowiedniczką babci, gdyby patrzeć na strukturę drzewa genealogicznego, ale jest w moim wieku.

Rzeczywiście, babcia mówiła, że dziadek późno się ożenił. Zamiast przyrodniej siostry będzie zatem miała przyrodną córkę.

– I jest taka... światowa, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Nie chodzi o blichtr czy kasę, tylko o stan umysłu. Wyjechała z tego deszczowego małego hrabstwa i od razu się rzuciła w wir amerykańskiego życia. Jest w niej ogromna pasja, radość. Ale też szczerzy, prawdziwy niepokój o ojca. Oni się tam urządzili,

jej mąż Paul jest prawnikiem, Amerykaninem, więc dla niego przeprowadzka do Anglii, zmiana pracy to zupełny kosmos. Ona by mogła przystopować z pracą, bo dobrze im się żyje, ale nie chce zostawiać męża. Dziadek natomiast kategorycznie odmawia wylotu do Stanów i wcale mu się nie dziwię. Im zresztą również się nie dziwię. No i jest lekki pat. Choć ze światełkiem w tunelu... Czyli nami. Bo to, co prawda, jeszcze nie padło, ale tak między słowami, coraz częściej przewija się pomysł, żeby ta dziadkowa wizyta w Krakowie była rozpoznawcza, a potem nastąpi druga, taka, która się przeciągnie. Tak aż do końca. – Pogodne usposobienie mamy unikało słów przykrych, na przykład „śmierć”.

– My też się z babcią nad tym zastanawialiśmy, ale to było zaraz po jej powrocie, zanim jeszcze zasłabła. W pierwszym, naturalnym odruchu babcia zaproponowała, żeby to z nią dziadek zamieszkał. Ale potem, kiedy wylądowała w szpitalu i się okazało, że nie jest z żelaza, to pomysł się trochę oddalił. A teraz...

– Co teraz? Na pewno z mamą wszystko dobrze? – W głosie Doroty znowu wybrzmiał niepokój.

– Na pewno, przyrzekam. Chodzi o coś zupełnie innego. Nie wiem, czy zauważyłaś, że babcia się zmieniła. Odkąd się pojawił pan Kazimierz, obserwuję jej metamorfozę. Jeszcze niedawno ubierała się jak łacinniczka albo harcmistrzyni, a teraz kolorowe sukienki, wczoraj to nawet włożyła spódnicę dżinsową.

– Dżins to *evergreen*, a w tym roku jest wielki *come back*. – Mama była na bieżąco z aktualnymi wytycznymi modowymi.

– Ja się nie spieram o trendy, tylko chcę ci powiedzieć, że babcia zaczyna przeżywać drugą młodość. A może nawet pierwszą, bo ta metrykalna to szybko się jej skończyła. I gdy teraz jechała z tym swoim chłopakiem, jak go nazywa, do Olkusza, to wyglądała jeszcze trochę poszpitalnie blado, ale i bardzo szczęśliwie.

– Cudownie! – Mama wyłapywała z tej opowieści to, co lubiła najbardziej – pozytywny przekaz. – Też mi się tak wydawało, kiedy się tu wybierałyśmy, ale potem samo spotkanie z dziadkiem przyćmiło wszystko inne. Tak czy owak, to super! Bardzo im kibicuję!

– Oczywiście, że super, tylko to rodzi pewien problem. Bo, jak wiesz, pan Kazimierz ma w Olkuszu dom, ogród, dużego psa i wreszcie tę żonę w zakładzie, której dobro leży mu na sercu. Chcę powiedzieć, że nie zostawi

tego wszystkiego, co z kolei pozwala przypuszczać, że ostatecznie babcia się do niego sprowadzi, czyli nie będzie mieszkała w Krakowie.

– Jest w tym logika. – Gdybym mogła zobaczyć mamę, na pewno bym zauważyła, jak kiwa głową. – Choć i komplikacja. No nic, ja jeszcze tu porozmawiam z dziadkiem i wypytam, jak on to sobie wyobraża. Później, kiedy wrócę, przegadam sprawę z mamą, a może, najlepiej, znowu się spotkamy, co? Przyjechałabym do Krakowa.

– Pewnie, że tak. A kiedy wracasz?

– W przyszłym tygodniu jakoś. Zastanawiam się, co prawda, jak zorganizować wizytę dziadka, ale chyba nie ma co kombinować, tylko będę musiała raz jeszcze przylecieć, pomóc mu się spakować i przywieźć go tu do nas. Termin sobie ustalimy na miejscu, myślę, że za jakiś miesiąc. Może na początku sierpnia?

– Żeby nie było po raz drugi, że coś przemilczałam, to po prostu nie zdążyłam ci o tym powiedzieć, zresztą to nic pewnego, to się dopiero wyjaśni – może, powtarzam: może – w sierpniu weźmiemy ślub.

– Super! – Żadnych uwag, że mało czasu, że chyba nie wyjdzie, nic. Cała Dorota. – I jakby nic się nie zmieniło. Widać sierpień był ci zapisany w gwiazdach. – Tak, zdecydowanie cała Dorota. – Gdyby się uprzeć, to można by nawet było te same zaproszenia przerobić. – Dwieście procent Doroty.

– Raczej nie, mamó, dzięki. Recyklingu nie będzie – przygasiałam jej zapał. – Nie porównujemy tych dwóch sytuacji. I w ogóle już nie rozmawiamy o przeszłości, a na pewno nie przy Staszku. Mógłby się poczuć niekomfortowo.

– Znasz mnie przecież. Jestem dyskretna. – Mama chyba poczuła się urażona, bo już się tak ekspansywnie nie cieszyła.

– I niech tak zostanie.

– Jeśli o mnie chodzi, masz to jak w banku. A coś już ustaliliście, zorganizowaliście? Może w czymś wam pomóc? Planujecie jakieś wesele?...

– Cóż, wychodzimy ze strefy planowania, to znaczy na początku tygodnia pójdziemy do kancelarii.

– A po co? – Mama się zdumiała. – Intercyzę chcecie podpisać? To modne i może potrzebne, kiedy ludzie mają kasę, no ale wy...

– My nie mamy, dzięki, mamó, pamiętam o tym, aż za dobrze. Do kancelarii parafialnej idziemy.

– Na to bym nie wpadła. – Zdumienie mamy było nieudawane.

– Ty nie – zgodziłam się pogodnie. – Ale my byśmy chcieli.

– Wcześniej nie chciałaś. – Mama włączyła czujność. – Znaczy, żebyś nie pomyślała, że ja się wtrącam albo coś, po prostu sobie czuwam, jak to matka. Ludzie zakochani mają różne pomysły. Albo na przykład kobieta ulega, bo facet czegoś chce, jej się to wydaje nieznaczącym ustępstwem, a potem się okazuje, że tych ustępstw coraz więcej... A słuchaj, zapytam, i się nie obrażaj, to raz, a dwa, że pytanie jest teoretyczne – Staszek to nie jest taki tradycjonalista? Bo górale są super, męscy, twardzi, ciupaga, krzesany i przystojni, ale Podhale to ostoja tradycji, a od tradycji do patologii nie tak daleko...

– Nie, mam, nic z tych rzeczy. Przecież znasz historię z ojcem...

– Znam. Zwykle jest tak, że się ucieka na drugi biegun po takich doświadczeniach, reguły jednak nie ma. Staszek nie wygląda na przemocowca, ale wiesz, matka jest czujna.

– Nie wygląda i nie jest. Żebyś ty widziała, jak się ładnie do Matyldy odnosi.

– Cholerka, o nią zupełnie zapomniałam zapytać. Coś postanowiliście?

– Nie. Tak. To znaczy – bez konkretnego, jak to ma wyglądać w praktyce, ale właściwie przesądzone, że zamieszka z nami, w Krakowie.

Mama chwilę milczała, jak nie ona.

– To najlepszy pomysł? – zapytała w końcu. – Biorąc pod uwagę potrzeby każdego z was. I możliwości. Matylda potrzebuje opieki, ale i miejsca. Spokoju i rozwoju. Część rzeczy ma u siebie, w górach, część u was, w Krakowie. Żaden wybór nie będzie w stu procentach dobry.

– Przeważa to, że ciotka nie daje już rady, a Matylda wymaga lepszej opieki i lepszej szkoły. Można by to mieć na miejscu, bo w Zakopanem jest placówka, ale nie ma kto Matyldy wozic. Nawet przez moment była taka koncepcja, że może my się przeniesiemy do Witowa, ale w tej chwili to niemożliwe, żeby tam mieszkać, z powodu ojca. I tak, drogą eliminacji...

– Wydaje się, że to ma sens. Jakby co, to ja, wiesz... Mam świadomość, że nie byłam taką matką kwoką, że czasem na luzie traktowałam macierzyństwo, ale... No, teraz wydorostałam. – Roześmiała się, choć wyczułam w tej beztroskiej odpowiedzi nutę żalu. Może wyrzut sumienia?...

– Zobaczmy, mam – powiedziała łagodnie. Nie miałam ochoty wracać do dawnych czasów. Teraz nasze relacje z mamą były super i to mnie cieszyło. – To jeszcze à propos ślubu...

– No właśnie! – Mama zareagowała żywiołowo, jakby chcąc szybko zamknąć ten wątek. – Znaczy do Bożego Ciała idziecie? Piękny kościół, gdyby gdzieś można się było nawrócić, to właśnie tam. Przynajmniej mury i atmosfera są

takie, bo co do ludzi... W puszczy, to ci powiem, że jak za dawnych czasów: pan, wójt i pleban. Ksiądz to był taki nieciekawym, wiernych jak petentów traktował. Jedyne plus, że zaraz miał na emeryturę iść, więc była nadzieja, że nowy jakiś fajniejszy się zjawi. Choć z drugiej strony to nie wiem, czy teraz fajni idą do seminariów. Na pewno byłoby inaczej, gdyby wyświęcać kobiety. O, to by odmieniło oblicze polskiego Kościoła! – Mama dosiadła swojego ulubionego konika.

– W ciągu kilku dni to się na pewno nie uda. Zobaczymy, mamo. I żebyś się nie martwiła, to ci powiem jeszcze, że mnie się ten pomysł podoba, to znaczy czuję, że jest w nim wartość – bardzo ważna dla Staszka i dla mnie też. Głównie przez wzgląd na niego, ale tak duchowo, to i ja to przeżywam. Różnimy się w odbiorze i przeżywaniu wiary, ale chyba znaleźliśmy część wspólną.

– Obyście i z księdzem znaleźli, czego nie wykluczam. Zawsze wierzyłam w cuda, a ostatnio taki ich wysyp, że *why not?*

No właśnie – dlaczego cuda miałyby się zawsze zdarzać innym?

Rozdział trzynasty



– No to naprawdę super! – Z radością przytuliłam Staszka.

Wszystko dziś układało się cudownie – tak powinna wyglądać każda sobota. Dzień wolny od pracy, i to intensywnej, bo Staszek wraz z resztą ekipy zasuwał po kilkanaście godzin dziennie, żeby się szybko uwinąć z tym hostelem, i się udało. Rano spotkanie z zięciem pani Marii i bardzo pozytywny efekt w postaci propozycji pracy od września. A teraz uroczy spacer po parku Jordana i chwilowy odpoczynek na wygodnej ławce. Sielanka.

– Pół etatu – przypomniał Staszek. – Ale pensja wyższa niż w państwowej szkole, więc już jestem do przodu, a jeszcze dochodzi etyka, którą też mam prowadzić, czyli kolejne zajęcia. Choć akurat w tym przypadku sam przedmiot cieszy mnie bardziej niż dodatkowa kasa. To będzie wyzwanie.

– Na pewno. Nie mam pojęcia, jak wyglądają lekcje etyki, bo mnie ominęła ta zmiana w planie nauczania, ale wyobrażam sobie, że to potrzebne, no wiesz, po to, żeby kształtować charakter, żeby, górnolotnie mówiąc: młodzież była lepsza, ale też zwyczajnie ciekawe. Tylko nie może być nudnie, znaczy nie sama teoria, bo teraz młodzi to mają oczekiwania i...

– Trochę się na tym znam. – Staszek się uśmiechnął. – W końcu jestem nauczycielem.

– No tak, zagalopowałam się – przyznałam. – Próbuję sobie wyobrazić, jak taka etyka może wyglądać. Przychodzi i mówisz, że należy czynić dobro?...

– To po pięciu minutach wszyscy by spali. – Staszek był dziś w wyśmienitym humorze. – A na następną lekcję już by nie przyszli. O sprawach

najważniejszych nie można mówić teoretycznie, przecież mają się dziać naprawdę. Miałem kiedyś taki pomysł, żeby w tej swojej małej szkole w Witowie prowadzić lekcje etyki. Nie tak nazwane, ale intencja byłaby zbieżna z programem tego przedmiotu.

– Na Podhalu taka pobożność, z gór do Boga blisko, że można by zapytać, po co wam jeszcze etyka, a na Mazo... – Chciałam powiedzieć, że zapewne różnice w podejściu są spore, ale Staszek mnie ubiegł.

– No i dyrektor zapytał. „A to nie mącenie w głowach? Czego byś ich tam nauczył, czego by na religii nie mieli?” A ja mu wtedy dałem swoją ulubioną lekcję, od której zaczynam z uczniami rozważania na temat dobra. Pewnie znasz to pytanie z pociągiem i ratowaniem ludzi?

– Nie, chyba nie. – Pokręciłam głową, próbując wygrzebać z pamięci takie połączenie.

– No to wyobraź sobie, że masz pociąg pełen ludzi w różnym wieku: młodszy, starsi, dzieci, rodziny, pełen przekrój. Jadą sobie dokądś, nic nie podejrzewając, ufni, że spokojnie przejadą z punktu A do punktu B. Za kilka minut pociąg minie zwrotnicę, a po kolejnych kilkunastu dojedzie do miejsca, gdzie na torach leży człowiek.

– Ale jak to leży? – zdziwiłam się. – Skąd on tam? Dlaczego?

– To na razie zostawiamy. Po prostu leży i nie wstanie, czyli pociąg go zabije. Nie dasz rady do niego dobiec, żeby go ściągnąć z torów, ale dasz radę przestawić zwrotnicę i puścić pociąg innym torem.

– No to trzeba tak zrobić, bezwzględnie! – Wybór był oczywisty, nad czym tu się zastanawiać.

– Tyle tylko, że ten tor kończy się na wiadukcie, nieoddanym do użytku, bo nieskończonym. Wiesz o tym. Maszynista nie wyhamuje, pociąg się na pewno wykolei, niektóre wagony zapewne runą za skarpy. Będą ranni, a pewnie i zabici.

– No to chyba lepiej nie ruszać tej zwrotnicy?... – Moja początkowa pewność się ulotniła.

– Wtedy ten człowiek na torach na pewno zginie.

Fakt. To jakbym przyłożyła rękę do jego śmierci, skoro mogłam odmienić jego los i tego nie zrobiłam. Ale zarazem ci niewinni ludzie w pociągu...

– Ale dlaczego on tam leży? – Trochę się zirytowałam. – Pijany? Głupi? A może zasłabł?

– A gdybyś wiedziała, dlaczego leży, to by zmieniło twoją decyzję? Jego życie

byłoby mnie lub więcej warte?

– No... – Zawahałam się. – Chyba nie. Choć to taki pierwszy odruch, żeby wiedzieć, czy sam sobie napytał tej biedy. I innym też, jeśli by tę zwrotnicę przestawić. Zresztą... o, zobacz, takie informacje się bierze przecież pod uwagę, na przykład na tonącym statku najpierw się ewakuuje kobiety i dzieci, potem mężczyzn, no a najstarszych pasażerów... no, na końcu.

– No dobra, to przyjmijmy różne warianty: to stary pijak, zalany w trupa. Albo młody chłopak, uprawiał tu sporty ekstremalne i uderzył się w głowę, dlatego stracił przytomność. A może kobieta w ciąży? Zaszła, biedaczka.

– Ale jak to wybrać? No nie da się... – Byłam naprawdę zagubiona. Sytuacja hipotetyczna, a mocno mnie wciągnęła.

– Ale jesteś tam! Stoisz i masz tę wiedzę. Pociąg już na horyzoncie, a ty musisz zdecydować!

– No to może w przypadku tego pijanego i starego to nie, a jeśli tych dwoje, to tak?... – Aż mi w gardle zaschło.

– A gdyby na torach była ta kobieta w ciąży, a w pociągu – twoja przyjaciółka? Albo na torach Anka, a w pociągu babcia?

– Jezu!... – Aż jęknęłam. W głowie miałam mętlik.

– Nie „Jezu”, tylko ty. I twoja decyzja.

– A jest jakaś słuszna?

– Znacząca jedna dobra odpowiedź? – zapytał Staszek. – No o tym właśnie rozmawiamy. Że są sprawy, które się wymykają łatwemu osądowi, że życie jest bardziej złożone niż czerń i biel, wobec czego wybory nie są wcale oczywiste. Że ocena czyichś decyzji nieczęsto bywa obiektywna. Że – i to jest najistotniejsze – ostatecznie i tak zostajemy sami – i z decyzją, i z życiem po jej podjęciu. To taka nauka zagłębienia w głąb siebie, choć bez ostatecznych, sztywnych wskazówek.

– No to same zagwozдки. – Westchnęłam.

– Plus taki, że klasówek z tego nie ma. – Staszek mnie objął. – Ale nie wszystkie decyzje dotyczą tak dramatycznych wyborów. Niektóre są jednak prostsze, przynajmniej taką mam nadzieję. I odbywają się w przyjaźniejszej atmosferze, bez stukającego pociągu na zakręcie. No i nikt nie zginie. – Staszek delikatnie się ode mnie odsunął, po czym uklęknął przy ławce, jakby chciał sobie zasnurować but albo coś mu spadło. Albo... – Klaro – zaczął uroczyście. Zdecydowanie zbyt uroczyście jak na jakieś przyziemne czynności. – Mógłbym powiedzieć, że jesteś kobietą mojego życia, ale to jakoś górnolotnie brzmi.

Mógłbym się zarzekać, że nigdy wcześniej nie spotkałem nikogo takiego jak ty, ale to oczywiste, że jesteś niepowtarzalna. Mógłbym zapewniać, że będę cię kochał aż do śmierci, ale, co już wiemy z lekcji etyki, czyny są ważniejsze od słów, więc po prostu moje serce będzie zawsze dla ciebie otwarte. Mógłbym wreszcie zapytać, czy wyjdiesz za mnie, ale uznałabyś mnie za okropnego nudziarza, na dodatek sklerotyka albo niesłuchającego, co się do niego mówi, bo przecież już dwa razy cię pytałem, a ty się dwa razy zgodziłaś. Więc, po prostu, najzwyczajniej w świecie, powiem, że ogromnie się cieszę, że się spotkaliśmy. I że to nasze spotkanie przeciągnie się w bycie razem w miłości, na dobre i złe, aż po kres.

Nic nie odpowiedziałam, bo zupełnie nie byłam przygotowana na taką scenę – jeszcze bardziej niż na ten pociąg i rozważania o zwrotnicy. Po prostu patrzyłam jak zaczarowana na Staszka, który sięgnął ręką do kieszeni spodni i wyjął z niej kremowe aksamitne pudełko. Otworzył je, a jego wnętrzu zazieleniło się blaskiem. Wyjął złoty pierścionek z zielonym kamieniem i delikatnie ujął moją dłoń, po czym z drzeniem – widać nawet etycy, mimo przygotowania, też ulegają emocjom – wsunął mi go na palec serdeczny lewej dłoni.

Nie jestem jak sroka łasa na błyskotki. Owszem, przeżyłam mały, no dobrze, może nawet nie taki mały zawód, że nie dostałam pierścionka zaręczynowego, ale chodziło mi o gest, dopełnienie tradycji, wejście do grona narzeczonych z ewidentną oznaką tego narzeczeństwa. Sam pierścionek – jaki by miał być – odgrywał tu zdecydowanie mniejszą rolę. Aż do tego momentu, ponieważ to, co błyszczało teraz na moim palcu, było absolutnie cudowne! Zielony kamień oszlifowany tak, że kolejne załamania odbijały światło niesamowitym blaskiem, umieszczony w misternie wykonanym koszyczku, otoczonym wianuszkiem malutkich przezroczyстых kamyczków. Mimo tych blasków – i kamieni, i metalu – pierścionek miał prostą formę. „Bardzo ładny wyrób”, pomyślałam, „jubilerzy mimo obecnych trendów potrafią zachować klasyczny umiar”. Podniosłam dłoń bliżej twarzy. Chyba jednak się pomyliłam, to nie była współczesna biżuteria. Pierścionek wyglądał jak art déco. I chyba był art déco. A to z kolei znaczyło, że był złoty, nie pozłacany. A kamienie były szlachetne, a nie syntetyczne, a to z kolei by znaczyło, że...

– Matko, Stasiu! – jęknęłam. Ile to cudo musiało kosztować?

– Aż takie emocje? – Staszek wciąż klęczał przede mną. – Powiedz po prostu, że bardzo się cieszysz, i wstanę, bo mi zaraz coś w kręgosłupie strzeli. Poza tym – rozejrzał się delikatnie na boki – zaczynamy wzbudzać zainteresowanie. Nie

ma to jak jakieś niecodzienne wydarzenie, które przełamie poranną sobotnią nudę.

Nie wiem, czy mój euforyczny krzyk: „Tak!, tak, tak, tak! Po stokroć tak!”, a potem obcałowywanie wciąż klęczącego Staszka zmniejszyło zainteresowanie nami, ale było mi to zupełnie obojętne.

– Czyli jesteś zadowolona? – Staszewi udało się w końcu usiąść obok mnie, odetchnąć i zadać to pytanie.

– No pewnie! Rany, chyba nie masz żadnych wątpliwości. Z samych zaręczyn, to oczywiste, choć to jakby za nami, skoro w poniedziałek idziemy do kościoła, ale pierścionek... To jest cud! Po prostu cud! I do tego tak bardzo w moim stylu! Zielony, przedwojenny, tajemniczy, niezwykły!

– O, właśnie takiego szukałem, żeby jak najbardziej odpowiadał przyszłej właścicielce.

Topiłam się ze szczęścia. Może to ograne chwile, ale jakże wspaniałe.

– Tak, Stasiu, jesteś kochany, ale on musiał być piekielnie drogi!

– Niebiańskie uniesienia bywają kosztowne. – Staszek ewidentnie się ze mną droczył. – Ale nie w tym przypadku. Tu nie wartość materialna jest najważniejsza, choć masz oko znawcy – to szmaragd, brylanty i złoto. I piękna przedwojenna robota.

– No to jak?... Skąd?... Przecież... – Pojedynczo te nazwy wywoływały oczywiste skojarzenia – kosztowność. A w sumie?...

No nie, Staszek nawet w zakochaniu i uniesieniu nie gwizdnąłby dla mnie pierścionka. Był etykiem w teorii i w praktyce. A, co też się z tym wiązało, miał skromne fundusze. Bardzo skromne.

– Można powiedzieć, że to praca zbiorowa.

Jezu, nic z tego nie rozumiałam. Chciałam zaręczyn, ale nie takiego osłupienia. I nie zagadki.

– No dobrze, już cię nie dręcę, przecież nie na tym polegają oświadczyzny. Pierścionek podarowała mi, a właściwie tobie, tyle że za moim pośrednictwem pani Jadwiga.

– Jadzia?! – Jeśli miało być jaśniej, to się nie udało. Skąd u Jadzi takie precjoza? I dlaczego miałyby mi je prezentować?

– Tak, nasza sąsiadka, człowiek złotego serca. I złotych pierścionków, jak się okazuje. To pamiątka rodzinna, po jej mamie. Miała dwa pierścionki. Jeden oddała córce, drugi sobie zostawiła. Tamten był z niebieskim kamieniem, ten – jak widzisz – ze szmaragdem. „Właściwie nikomu u nas w rodzinie nie pasowała

ta zieleń. Za to do Klaruni...” Tak powiedziała.

Kochana Jadzia, wzruszyłam się. Brylanty i szmaragd jej nie pasują, to oddaje. Boże, skąd się tacy ludzie biorą na świecie?

– No, trzeba było go odczyścić. I zmniejszyć. Ty masz takie delikatne, szczupłe palce. – Staszek ujął moją dłoń. – Dorota znała rozmiar i ma znajomego jubilera.

No tak, mama wszędzie kogoś zna. Już przy Pawle proponowała kontakt, wtedy jednak to on wziął na siebie te sprawy.

– Zorganizowana akcja! – Byłam naprawdę pod wrażeniem.

– Pospolite ruszenie. – Zaśmiał się Staszek. – Tylko dla pani Elżbiety nie znalazłem zadania, ale nadrobię. W końcu mamy na to całe życie.

I pocałował mnie tak, że na nowo staliśmy się sobotnią atrakcją w parku Jordana. Ktoś nawet zaczął bić brawo, ale nie miałam szans, by się rozejrzeć. Widziałam tylko płową grzywkę Staszka i zielone liście nad nami.

„O zieleni można nieskończenie...”

Rozdział czternasty



– Stresujesz się? – zapytałam, gdy w poniedziałek rano szliśmy do kancelarii. Staszek, w ramach podziękowania – za wyjazd Matyldy i ciotki, i za pierścionek, i za wszystko inne, zaproponował, że pomoże w odmalowaniu sal w hospicjum. Pierwsza grupa dzieciaków w weekend wyjechała na krótkie wakacje, więc teraz był dobry moment. Przez kilka dni miał wraz z dwoma innymi chętnymi do pomocy facetami odświeżyć ściany. Dlatego sprawę ślubu postanowiliśmy ruszyć od razu po niedzieli. Pewnie bym to lekko odwlekała, bo dręczył mnie nieokreślony niepokój. No, może trochę określony: nie byłam częstą bywalczynią w kościele, struktura, hierarchia, zasady i formuły tam obowiązujące były mi obce, więc to oczywiste, że czułam się nieswojo. Miałam też poważną obawę co do terminu. Im więcej o tym myślałam, a myślałam prawie bez ustanku, tym mroczniej to widziałam: porywamy się z motyką na słońce. W urzędzie stanu cywilnego nie byłoby łatwo, a co dopiero w kościele, gdzie z założenia – plan wieczności! – pośpiech nie obowiązuje. Z początkowego entuzjazmu zostały marne strzępy. Mój optymizm w starciu z rzeczywistością okazał się chuderlawy.

– Nie, dlaczego? – Staszek odwrócił się w moją stronę. – To znaczy odczuwam emocje, ale to normalne, w końcu chwila jest niecodzienna.

– No tak, ale wiesz, jeśli się nie uda... – Zatrapek zdecydowanie powrócił. Choć, jak się sama przed sobą szybko usprawiedliwiłam, powód był.

– Więcej wiary, w końcu idziemy do kościoła, to dobre miejsce na ufność. – Wziął mnie za rękę i delikatnie ścisnął palce.

Dla Staszka na pewno było to łatwiejsze, bo z kościołem był bliżej niż ja. Ale ja z kolei byłam blisko ze Staszkiem, więc... Dwa głębokie wdechy, dwa spokojne wydechy. „Klaro Majewska, nie panikuj! Będzie dobrze. Będzie dobrze. Będzie dobrze”.

* * *

Nie było dobrze. Na drzwiach kancelarii wisiała kartka, że w tym tygodniu jest otwarta tylko w piątek. „Z powodu choroby”. Życie wieczne to nie to samo co zdrowie wieczne, ale jakoś mi do głowy nie przyszło, że ksiądz mógłby zachorować. I to w lecie! Jednocześnie w tych grubych, chłodnych murach, gdzie wilgoć i doskonałe środowisko do rozwoju różnych mikrobów, aż się prosiło o jakąś infekcję.

– Jest informacja, że w sprawach pilnych można się zgłosić do pokoju numer pięć w budynku konwiktu. – Skoro jednak postanowiłam krzesać z siebie optymizm, to uchwyciłam się tego zdania.

– Sprawy pilne to namaszczenie chorych lub śmierć – wyjaśnił Staszek.

Cóż, wiedza nie zawsze jest sprzymierzeńcem nadziei.

– No to co my teraz zrobimy?... – Smutno zawiesiłam głos. Już się nastawiłam na tę rozmowę. Chciałam mieć ją za sobą i wiedzieć, na czym stoimy. Kolejne cztery dni oczekiwania nagle wydały mi się nie do zniesienia. Spojrzałam do góry, na strzeliste wieże kościoła. Stał tu od czternastego wieku. Moje dylematy i nerwówka oraz te kilkadziesiąt godzin do piątku to było nic wobec czasu na planie historii. Ziarenko piasku na pustyni – obiektywnie. Ale wobec siebie nie jest się przecież obiektywnym.

– Przyjdziemy w piątek. Dobrze, że czynna od ósmej, to przed hospicjum się wybierzemy. Nie miej takiej smutnej miny, to nie koniec świata, wszystko będzie...

– Matko, patrz! – krzyknęłam cicho, szarpiąc Staszka za rękę.

– Co się stało? – Staszek, któremu nagle przerwałam, był zdezorientowany energią, jaka we mnie wstąpiła.

– Tam! – Wciąż ścisnęłam jego ramię jedną ręką, zaś drugą wskazywałam kierunek, w który powinien skierować wzrok.

– Co: tam? No, budynki. Trawnik. Nie rozumiem...

– Ksiądz! – obwieściłam triumfalnie. Ścieżką okrążającą potężny kościelny gmach spacerował mężczyzna w sutannie. I właśnie skręcił, niknąc za nawą

główną.

– Tak, chyba tak, ale... – Staszek widział to samo co ja, ewidentnie jednak nie znaczyło to dla niego tego samego, co dla mnie.

– Lecimy za nim! – Byłam w euforii.

– Ale jak to: lecimy? Nawet nie wiemy, czy on jest stąd, to znaczy pewnie jest, ale chyba starszy, bo taki zgarbiony mi się wydał, może na emeryturze...

– Staszek, to ksiądz! Ksiądz, rozumiesz? To praca na całe życie. Dopóki żyje, to jest księdzem. I nie choruje, boby sobie tak nie chodził. A w ogóle to po prostu znak! Znak, może nawet palec Boży! – Czułam, że adrenalina ze mnie bucha. Tak bardzo chciałam, żeby nam się udało z tym ślubem, że gotowa byłam się ucześcić najwęższej nitki nadziei.

Staszek przyglądał mi się zdumiony i lekko oszołomiony, ale kiedy schwyciłam jego dłoń i pociągnęłam go za sobą, nie opierał się. Potruchtaliśmy za księdzem. Gdy wzięliśmy zakręt, znowu go zobaczyliśmy – powoli szedł w kierunku bramy. Energicznym krokiem zrównałam się z czarną sylwetką, Staszek był tuż za mną.

– Ekhm, ekhm – odchrząknęłam, żeby ksiądz się do nas odwrócił. Stukot naszych butów na kamiennych płytach tuż za jego plecami widać nie był wystarczająco głośny. Tak, ksiądz musiał być wiekowy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – usłyszałam mocny głos Staszka.

Podziałało. Ksiądz przystanął i wykonał obrót. Zza okularów spojrzały na nas zamyślane oczy. Ksiądz był starszy, niż sądziłam. Na pewno po siedemdziesiątce, a nawet chyba bliżej osiemdziesiątki.

– Na wieki wieków – odpowiedział i znowu ruszył przed siebie.

– Proszę księdza, bo my mamy sprawę – wypaliłam. – A kancelaria zamknięta – dodałam już trochę spokojniej, choć głos mi drżał.

– Ano zamknięta, ksiądz Marek niezdrów. W piątek przyjdźcie, kochani.

Tym „kochani” mnie ośmielił.

– Ale piątek będzie dopiero... – Zabrakło mi słowa, bo źle skonstruowałam to zdanie. „Za późno”, „tak późno”. „Nie, to trzeba inaczej”, pomyślałam.

– W piątek będzie, jak zawsze. – Ksiądz się uśmiechnął. – A co to za pilna sprawa? Jeśli kto chory czy w innej duchowej potrzebie, to ksiądz Adam...

– Ślub. Chodzi nam o ślub. – Zatrapek i nieśmiała Klara zostali za rogiem. Teraz doszła we mnie do głosu determinacja. Zauważyłam, że Staszek przygląda mi się z lekkim zdumieniem. Ale chyba i podziwem.

– Ślub? – Ksiądz przystanął. – No, to w piątek, tak jak napisane, bo...

– Wiemy, proszę księdza, ale nam zależy bardzo na tym, żeby dziś porozmawiać. – Staszek włączył się do dyskusji.

Ksiądz spojrział na niego, potem na mnie, lekko westchnął i wskazał ręką w kierunku muru.

– No, skoro tak. Na dużo spraw mam już czas, na rozmowę też, ale formalności to i tak nie ze mną. Chodźmy.

Usiedliśmy na prostej drewnianej ławce bez oparcia – ksiądz na jednym jej końcu, półbokiem zwrócony w naszą stronę.

– No to słucham, mówcie. – Powiedział to spokojnym, zachęcającym tonem.

– Chcielibyśmy wziąć ślub. – To Staszek.

– Bardzo byśmy chcieli. – To ja.

– Ale dość szybko. – To znowu Staszek.

– Nawet bardzo szybko. – I znowu ja.

– To poważny sakrament. Tu pośpiech nie jest wskazany. Więcej – jest odradzany. – Ksiądz przyglądał się nam badawczo, ale bez niechęci.

– Wiemy, proszę księdza. Ale my podjęliśmy tę decyzję, nieodwołanie. I wcale nie pochopnie, ona się powoli rodziła... – Staszek zaczął wyjaśniać.

„Rodziła”. Ostatnio działałam jak program reagujący na określone słowa.

– I jestem w ciąży – weszłam mu w słowo. Taka wieść w takim miejscu to chyba zawsze nietakt, jeśli dotyczy narzeczonych, ale przecież nawet księża znają życie.

– No tak... – Ksiądz pokiwał głową. I zamilkł.

– Bardzo kocham Klarę. To nie jest płoche uczucie. Jestem odpowiedzialny i uczciwy. A Klara jest cudowną dziewczyną i dobrym człowiekiem.

– Nie pomyślałbym inaczej – zgodził się ksiądz. I znowu zamilkł.

– Bardzo byśmy chcieli być już mężem i żoną. Przed Bogiem, przed naszymi bliskimi. I właśnie też z powodu bliskich – mamy taką historię, że pradziadek Klary się niedawno odnalazł, choć wszyscy myśleli, że on od lat nie żyje. A tu się okazało, że żyje. I przyjedzie niedługo do Polski, tyle że ma ponad dziewięćdziesiąt lat, więc dla niego czas płynie szybciej. – Staszek, niby taki opanowany, ale też się trochę poplątał. Zresztą czy można w kilku prostych zdaniach opowiedzieć to, co się nam przytrafiło?

– Rozumiem. To znaczy trochę rozumiem. To są ważne sprawy, ale najważniejsze jest wasze przygotowanie, wasza wola. Tu wymogi są jasne. I one się nie biorą znikąd. Trzeba się upewnić, przysposobić, nauki odbyć... Pani jest z naszej parafii?

– Tak. To znaczy mieszkam w Krakowie od maja, w mieszkaniu po prababci, która tu chodziła na msze. Na Wiślniej, a moja prababcia to była Emilia Majewska.

Ksiądz się lekko pochylił i jakby coś powiedział do siebie, bo zauważyłam, że lekko poruszył ustami. Potem kiwnął głową, także sobie i swoim rozważaniom, i znowu się wyprostował. Widać było, że nazwisko wydało mu się znajome.

– Ksiądz znał moją prababcie? – zapytałam więc. To by niosło nadzieję. Babcia była prawie święta, taki krewny to zawsze plus w kościele.

– Nie... Nie przypominam sobie, pewnie z widzenia tak, jeśli to była nasza parafianka – odpowiedział ksiądz.

Mina mi zrzędała, nadzieja prysła.

– Choć nazwisko nie jest mi obce. Tak, jestem pewny, że je znam. – Pokiwał głową.

– Ale skąd? – wyrwało mi się. Głupio i nietaktownie było tak ciągnąć księdza za język, ale to była moja szansa na pomyślne załatwienie sprawy, więc uczepliłam się jej.

– No, pewne sprawy są tylko księdzu powierzane. A właściwie ksiądz jest pośrednikiem między wierzącym a Bogiem. Co w konfesjonale wypowiedziane, tam zostaje.

„Z czego babcia mogłaby się spowiadać?“, zastanawiałam się gorączkowo. Żadnych grzechów nie potrafiłam jej przypisać. Mężczyźni – nie. Oszustwa – nie. Nieprzestrzeganie zasad religijnych – nie. Inne podłości – nie. No to co? Musiało być coś takiego, co temu księdzu utkwilo w pamięci, skoro zapamiętał nazwisko. Ale przecież w konfesjonale nikt się nie przedstawia, po to te kratki, żeby ludzi nie peszyć, żeby sobie w spokoju i skrytości powiedzieli, co i komu złego zrobili... Jezusie Przenajświętszy!!! To po prostu niemożliwe, ale jednak musiało się zdarzyć, no bo jak inaczej?!

– Klara, dobrze się czujesz? – Staszek z niepokojem mi się przyglądał. – Zbladłaś.

– Stan błogosławiony ma swoje prawa. – Ksiądz też się przejął. – Może ja wody przyniosę? Albo pan, to będzie szybciej?

– Nie, nie, wszystko dobrze, po prostu ja... Ja... Wiem, że są sprawy, o których ksiądz nie może mówić, nawet na policji chyba nie. Może w sądzie? Zresztą nie wiem i to nie jest ważne – płątałam się coraz bardziej. – Zaraz, chwileczkę, dobrze? – Poderwałam się z ławki, czując niesamowity przypływ sił. Staszek i ksiądz patrzyli na mnie w zgodnym osłupieniu. Przemiana od

mdlejącej ciężarnej do zawodniczki podczas sparingu była błyskawiczna. – Ja muszę na chwilę do...

– Do łazienki? – podsunął zaniepokojony ksiądz. – No to tu, u nas jest, ja zaraz pokażę. – I lekko się podniósł.

– Nie! Nie! – zaprzeczyłam gwałtownie i wyciągnęłam rękę, wykonując ruch wstrzymujący księdza przed wstaniem. – Nie, proszę niech ksiądz tu poczeka ze Staszkiem, ja niedługo wrócę. Dziesięć minut, kwadrans góra. Proszę – dodałam niemal błagalnie.

Widziałam po jego oczach, że nic z tego nie rozumie, podobnie jak Staszek, ale pokiwał głową.

– No dobrze. Ja mam dużo czasu, jeśli to takie ważne...

– Bardzo ważne!

I pognałam do domu.

* * *

Ksiądz odsunął od siebie kartkę i powoli złożył ją na dwa razy, wzdłuż wyprofilowanych linii, pierwszy raz zrobionych ponad dwadzieścia lat temu. Patrzyłam na niego w napięciu.

– Tak. – Pokiwał głową. – Właśnie stąd pamiętam to nazwisko. Ale nic więcej powiedzieć nie mogę, to Panu Bogu wspólnie powierzyliśmy.

Przypadek? Niezwykłe spotkanie? Przeznaczenie? Prawdopodobieństwo, które okazało się nie takie małe?

Siedziałam obok księdza, który spowiadał Rózię. Wśród różnych informacji z tego listu, kartki-spowiedzi, zupełnie wyleciała mi z głowy ta, że odbyło się to w kościele Bożego Ciała. Różia pewnie wybrała to miejsce, bo musiała tu chodzić, gdy służyła u Majewskich. Więc potem, by wyznać to, co tak bardzo obciążało jej duszę i sumienie, choć przecież zupełnie nie było przez nią zawinione, przysłała w znajome mury. I trafiła właśnie do tego księdza, z którym teraz rozmawialiśmy.

Staszek rozpoznał kartkę i kopertę. Też wydawał się poruszony.

– Widzi ksiądz, to część historii mojej rodziny. Bardzo mroczna, podła, bez usprawiedliwienia. Tak mi żal Rózi, choć przecież znam ją tylko z zapisków. Z tego niewysłanego listu i z pamiętnika prababci Emilii, którą w tym kościele żegnaliśmy i w której mieszkaniu jesteśmy teraz ze Staszkiem. A ten odnaleziony krewny, o którym mój narzeczony – wzruszenie się wzmogło, gdy

wypowiedziałam ten wyraz – już księdzu powiedział, to niedoszły mąż prababci. Prapradziadek, ten, który skrzywdził Różię, unieszczęśliwił też tych dwoje, oszukując ich i kłamiąc im, że jedno zginęło na wojnie, a drugie zmoęła choroba. Bo mu się mezalians nie podobał! – Z tych emocji podniosłam głos. – Pradziadek ma przyjechać do Polski. Do swojej córki, którą niedawno dopiero poznał, do jej wnuczki, czyli mojej mamy. I do mnie też. I na grób prababci Emilii. I na nasz ślub. I pewnie żeby tu zamieszkać. To wszystko się tak nagle wydarzyło... To znaczy nie te wszystkie historie, bo one są sprzed lat, ale ich odkrycie. A najbardziej niezwykle w tym wszystkim jest to, że te różne sznureczki tak się splotły. Że mnie poprowadziły w różne miejsca, do różnych osób. Do Stasia też. – Wzięłam Staszka za rękę. – Strasznie namieszały, ale i wiele rozjaśniły. Ja już nie jestem taka, jak byłam kiedyś. Wiele sobie w głowie poukładałam. I w sercu. I już wiem, czego chcę w życiu. I na pewno chcę ślubu ze Staszkiem, bo bardzo chcę z nim być, a jemu zależy, żeby tę decyzję w kościele pobłogosławić. Mnie, co powiem księdzu szczerze, to by zależało mniej, bo mnie nie zawsze z Kościołem po drodze. – Miałam wrażenie, że to wszystko wyrzuciłam z siebie na jednym wydechu. Poczułam się tak, jakbym przebiegła właśnie życiówkę na sto metrów. I jakby mi odcięto prąd. Dałam z siebie wszystko, odsłoniłam się. A teraz czekałam na reakcję księdza. A on milczał. Ale nie tak złowróźnie, tylko w zadumie.

– Bywa, że droga nie prowadzi do Kościoła... Ale jeśli prowadzi do Boga, to już jest dobrze.

– Prowadzi – zapewniłam szczerze. – Tylko widzi ksiądz...

– Dziecko. – Ksiądz wysunął przed siebie dłoń, delikatnie mi przerywając. – Ja jestem w posłudze Bożej od półwiecza. Wiem więcej, niż pewnie myślisz. Dużo rozumiem. I dużo widzę. A przede wszystkim w każdym człowieku dostrzegam bliźniego, przychodzącego do mnie po pomoc i wsparcie, których ja, wspierany siłą Tego – znacząco spojrział w niebo – chcę mu udzielić... To kiedy byście chcieli tę przysięgę przed Bogiem złożyć?

– Trzynastego sierpnia – powiedział Staszek.

– O, to szybko. Kilka tygodni – odparł ksiądz. Ale uśmiech, który miał w spojrzeniu, nie zniknął. – Ja już rzadko sakramentów udzielam, pamiętam jednak, że w księdze mało mamy zapisów na ten dzień. Sierpień – piękny, chętnie wybierany przez młodych, ale trzynasty... Nagle się okazuje, że siła zabobonu silniejsza od miłości i ludzie nie chcą, bo pech. Nawet w dwudziestym pierwszym wieku i dla tych, którzy powinni tylko w swojego Boga wierzyć,

a nie w szklaną kulę i czarnego kota. Jeśli wam to niestraszne, to już za to was polubiłem. Coś wymyślimy.

– O Boże! – krzyknęłam zdecydowanie za głośno i zdecydowanie nieprawomyślnie. – Znaczy, o rany! Cholera! Przepraszam, proszę księdza, ale to jest fantastyczna wiadomość!

– Bardzo księdzu dziękujemy za przychyłność. – Staszek był lepiej obyty w sztuce dysput z księżmi. – My przecież wiemy, że formalnie to zawsze inaczej przebiega, że są rozmaite wymogi, choćby nauki...

– Nauki to bezwzględnie – potwierdził stanowczo ksiądz. – Miłość swoją drogą, ale rozum musi dołączyć.

– Ale to jak? – Nagle zmarkotniałam. – To przecież raz w tygodniu, a tych spotkań z kilkanaście, to się nijak nie zepnie.

– Zaproponuję wam nauki indywidualne. Ze mną. Ja mam dużo czasu, mogę nawet codziennie się spotykać, a skoro mamy siedem tygodni, to tych spotkań może być więcej, niż ustawa przewiduje. – Teraz do sympatii dołączył jakiś chochlik w oku. – No dobrze, to skoro już się zgodziłem i wy też przyjmujecie moje warunki, to chodźmy. Wezmę klucz do kancelarii i tam na spokojnie wszystko sobie omówimy.

Kiedy szliśmy za księdzem do kancelarii, po osłonecznionej stronie kościoła, obiecałam sobie solennie, że już nigdy, przenigdy się nawet nie zająknę o tym, że mi Mojry pecha w życiu przynoszą.

Rozdział piętnasty



- No nie wierzę! – Anka była pod wrażeniem.
- Twój ateizm nie jest dla mnie tajemnicą. – A ja byłam w wyśmienitym humorze. – No to słuchaj dalej: wiesz, kogo zaproponowaliśmy na świadków?
- Na pewno nie mnie – odpowiedziała gorzko. – Choć to akurat rozumiem, ja nawet nie jestem czarną owcą, tylko w ogóle jestem poza stadem.
- Racja. Ale wyobraź sobie, że czarna owca została zaakceptowana. – Tak, ostatnie godziny były festiwalem cudów.
- Jak to czarna? Wtedy mówiłaś, że pewnie tę twoją sąsiadkę Jadzię poprosisz, bo bardzo ją lubisz, i że ona jest taka życzliwa i ostatnią koszulę by oddała...
- Jezu, a o tym to całkiem zapomniałam! Wiesz, że mam pierścionełk zaręczynowy? – Z przyjemnością przyglądałam się swojej lewej dłoni.
- No i fajnie, ale dlaczego ty tak skaczesz z tematu na temat? Teraz było o świadkach...
- O Jadzi, zgadza się. A ten pierścionełk to właśnie od niej. – Zielony blask był silniejszy niż zieleń roślin na parapecie, przy którym stałam.
- Myślałam, że to Staszek się oświadczał. – Anka już wracała na ring.
- No bo się oświadczał. I zanim się wyłośliwisz, że golec, to ci jeszcze powiem, że już ma pół etatu historyka w liceum społecznym, a do tego etykę.
- No, to krezus. Co wy z tą kasą zrobicie?
- Gdybyśmy się nie znały od zawsze, mogłabym pomyśleć, że to zazdrość przez moją przyjaciółkę przemawia. Ale ona taka była – ciągle ironiczna, trochę szorstka, choć w środku – cudowny człowiek.

- Wesele. I może nawet cię zaprosimy – odpowiedziałam uprzejmie.
- Nas. Zośka wciąż przyssana.
- Was. Tomek też może dołączyć. – Byłam dziś chodzącą łaskawością.
- A gdzie to będzie?
- No, jeszcze się zastanawiamy. U nas mało miejsca, u babci, czyli w Nowej Hucie, to jakoś nie po drodze, no i nazwa taka mało romantyczna. Wynajem lokalu drogi, zresztą termin taki, że tylko jakaś spelunka by nam została. Chyba najpoważniej myślimy o Poziomce.
- To ten bar z ceratą na stolikach i emerytami? W jakiej kategorii wygrał z Nową Hutą? – zapytała z zainteresowaniem Anka.
- Nazewnictwa. I bliskości. No, jakoś by się go zmieniło – obrusy, kwiaty, przecież wiele nie potrzeba. Wesprzyj, nie kpij – dodałam łagodnie.
- Wspieram. Choć na odległość – zapewniła Anka, już zwyczajnym tonem. – Ładny gest miała pani Jadwiga. A pierścionek też ładny?
- Śliczny! – Znów popatrzyłam na palec serdeczny. – Szmaragd i brylanty.
- U, la, la! A skąd takie precjoza u starszej, niezbyt majątnej pani? – Anka szczerze się zdziwiła.
- Z pamiątek rodzinnych. W Krakowie ciągłość materialna pokoleń jest zdecydowanie silniejsza niż w Warszawie. Mieszkania, domy, księgozbiory, biżuteria, zastawy, zdjęcia – to wszystko jest tu przekazywane z pokolenia na pokolenie. Nic nie zaginęło i nie zostało zniszczone, czasy wojny pod tym względem były łaskawsze. To po babce Jadzi. A Jadzia twierdzi, że go nigdy nie nosiła, bo jej kolorystycznie nie pasuje do oczu i do cery, córce już jeden dała, no to po co jej ten?
- Mogłaby sprzedać na przykład – podsunęła Anka.
- Pewnie tak. Ale często powtarza, że ile do życia potrzebuje, tyle ma. Mówię ci, ona jest ulepiona z samego dobra!
- Chyba tak... Cieszę się, że ją poznam. Nawet w tej garkuchni... No dobra, a drugi świadek? Ta czarna owca? Kogo zaproponowaliście?
- Pana Tomka.
- Jaja se robisz. On jest...
- Gejem jest. I krewnym Staszka. I superczłowiekiem. I to dzięki niemu się poznaliśmy. Chyba starczy powodów?
- Jak dla mnie to aż za dużo. Ale w kościele?... No nie wmówisz mi, że polski Kościół jest w stanie zaakceptować ludzi o odmiennej orientacji seksualnej. I to na miejscu dla świadka ślubu!

- Czy Kościół, to nie wiem, ale ksiądz Szczepan tak – odparłam spokojnie.
- Znaczy, że mu powiedzieliście? – Anka przeżywała dziś serię zdziwień.
- No a jak sobie wyobrażasz? Sakrament, przysięga przed ołtarzem, a to wszystko otoczone małymi kłamstewkami.
- Przemilczeniami raczej. Przecież sam z siebie by was nie zapytał, czy świadek woli mężczyzn... Ale masz rację. Czytałam niedawno jakiś artykuł w necie i tam było o tym, że czasy tak gnają do przodu, obyczajowość się zmienia, a ludzie wciąż biorą śluby kościelne. I jak godzą codzienność z niezmiennymi wymogami. Choć widzę, że i wymogi mogą ulec poluzowaniu.
- Zrobiła znaczącą przerwę. – No, ale wracając do tego artykułu, to najciekawsza była dyskusja pod nim. Wiele było komentarzy w stylu: „Sfałszowałam podpis na zaświadczeniu o spowiedzi”, „Udało mi się unieważnić poprzedni ślub kościelny, choć sam czułem, że to dęta sprawa”, „Koperta pomaga”. No, powiem ci, że nawet ja czułam niesmak. Ludzie są niepoważni. I wobec siebie nieszczerzy. Bo albo robisz coś z przekonaniem, albo sobie odpuść. Więc w sumie to wasza sytuacja jest taka wzruszająca, bo to wszystko przy odkrytych kartach.
- Tak! Mnie też to wzruszyło! Ten ksiądz, jego przychylność, chęć pomocy. Niby to powinien być standard, ale przecież tak nie jest. Szkoda, że cały Kościół tak nie wygląda.
- Szkoda. Mówię ci, kobiety by odmieniły oblicze Kościoła. No dobra, ale nie pora teraz na fantastykę. To co – wpisuję trzynasty sierpnia w kalendarz, tak?
- Tak – potwierdziłam.
- O, patrz, nawet nie wykreśliłam poprzedniego wpisu! No i super, bo nie lubię gryzmolenia i mazania. Bardzo dobrze się to wszystko składa. Zupełnie niespodziewanie, ale naprawdę dobrze. Przechytryłaś te Mojry, nie ma co.

* * *

Staszek prosto z kościoła pojechał do hospicjum, odmalowywać pokoje. Obiecał, że dziś wróci o „ludzkiej porze”, bo mieliśmy odwiedzić Tomka i Jadzię, żeby ich poinformować o świadkowaniu. Właściwie to zapytać o ich chęci, bo zgłosiliśmy ich dość niecnie, „bez żadnego trybu”, jak to ujął kiedyś pewien polityk, który się wepchał na mównicę. Wcześniej tak sobie rozmawialiśmy, ale niezobowiązująco. A teraz usankcjonowaliśmy to niezobowiązanie, jeszcze nie informując naszych świadków, że to się właśnie

dokonało. Nie spodziewaliśmy się po prostu, że już podczas pierwszej, rozpoznawczej – jak nam się wydawało – wizyty, trzeba będzie ustalić wszystkie szczegóły.

Zatem Staszek poszedł na przystanek tramwajowy, a ja powolutku szłam w kierunku Wiślniej.

Kiedy skończyłam rozmawiać z Anką, wybrałam numer mamy.

– Cześć, mamó. Co tam słychać?

– Cześć, małpeczko! Deszcz słychać. Niesamowite, ile wody jest w stanie wchłonąć tutejszy trawnik.

– To dobrze, że pada. U nas susza i duchota. Ciężko czasem oddychać.

– Może to z powodu ciąży ci tak duszno? – zaniepokoiła się mama.

– Nie, to jeszcze nie ten etap, żebym miała uciśniętą przeponę. Naprawdę upał daje się nam we znaki. Wszystkim.

– Pewnie tak. Choć przyznam ci się, że chętnie bym go doświadczyła. Czuję się nasiąknięta wilgocią jak gąbka.

– Ale chyba niedługo wracasz, co?

– Tak. Planuję we czwartek. Wolałabym wszystkie szczegóły związane z przylotem dziadka do Polski omówić z nim osobiście, nie przez telefon, a do tego potrzebuję potwierdzenia od ciebie co do daty ślubu. I normalnie aż się boję zapytać. – Głos mamy zabrzmiał rzeczywiście tak, jakby się bała. Chyba po raz pierwszy wyłapałam u niej taką nutę.

– Niepotrzebnie – oznajmiłam radośnie. – Ślub będzie trzynastego sierpnia o trzynastej.

– Nie żartujesz sobie ze mnie? – Mama porzuciła lęk na rzecz niedowierzania.

– Nie, no skąd, naprawdę o trzynastej, tak się msze układają po prostu – zapewniłam szybko.

– E, że dwa razy trzynaście, to mnie nie rusza. Ale że ten kościół wam się udało załatwić! No, fiu, fiu! I to tak po prostu? – Mama, która niczemu i nikomu się nie dziwiła, wyraźnie miała problem, by uwierzyć w tak fortunny dla nas przebieg wypadków.

– Anka też była zdumiona. Ale naprawdę, mamó. I nie ma w tym żadnego triku, po prostu fajny ksiądz nam się trafił. Taki bardzo ludzki. Zresztą – i w to już możesz nie uwierzyć, ale to również prawda – to ten sam ksiądz, którego spotkała Różia, kiedy poszła się wypowiedzieć z tego, co jej prapradziadek zrobił.

– No to w tym już musi być palec Boży! – wykrzyknęła mama.

- Przecież ty nie wierzysz – przypomniałam Dorocie stan jej światopoglądu.
- No ja nie wierzę i dlatego mnie się takie historie nie przytrafiają. A ty widać naprawdę tak, skoro tak to gładko poszło. I to właśnie z tym księdzem! – Mama potrafiła znaleźć wytłumaczenie w każdej sytuacji. – Ale zaraz, zaraz, skąd ty wiesz, że to on? W tym liście nie było konkretów, znaczy nazwiska czy tam imienia tego księdza. – Nagle odezwała się w niej czujność.
- Kiedy się przedstawiałam, powiedziałam, że jestem wnuczką Emilii Majewskiej i że mieszkam na Wiślniej. Pewnie Różia wszystko ze szczegółami z siebie wyrzuciła, więc zapamiętał. Ale i tak pasuje mi twoja teoria, mamó. To co, jesteśmy umówione? Właściwie umówieni? Przekażesz dziadkowi zaproszenie? To znaczy my mu jeszcze wyślemy ze Staszkiem, żeby było tak oficjalnie i ładnie, no ale to już będzie *pro forma*.
- Pewnie. Nie wydaje mi się, żeby mu nie pasowało. To jeszcze ponad sześć tygodni, zdąży się przygotować. A innych obowiązków przecież nie ma. Zresztą ja tu jeszcze będę przez kilka dni, najwyżej przesunę wylot i pomogę mu się spakować, pozłatwiać jakieś sprawy. A, słuchaj, czy my już wiemy, jak z tym mieszkaniem dziadka w Polsce?
- No nie wiemy. – Westchnęłam po raz pierwszy od wyjścia z kancelarii. – To wszystko jest takie płynne... W tym tygodniu na pewno pojedę do Olkusza, do babci i pana Kazimierza. Jeśli babcia tam zostanie, to może dziadek do nich? Oczywiście jeśli pan Kazimierz się zgodzi. Może też być taki wariant, że oni tam, a wtedy wolne jest mieszkanie babci. I tam by dziadek mógł się rozgościć, no ale z kimś, to znaczy z tobą, prawda?
- Jasne, nie ma problemu. Dobrze nam się dziadkiem mieszka. Tylko tak na dłuższą metę to trzeba będzie coś wiążącego postanowić. Bo bez sensu mieszkanie w Warszawie trzymać puste.
- Fakt. No ale to już poważniejsza decyzja. – Zawahałam się.
- I kto to mówi? – Mama głośno się roześmiała. – Ta, która się przeprowadziła, zmieniła pracę i zaraz zmieni stan cywilny! Pomyślimy i wymyślimy coś. Przypominam ci tylko, że ja już też byłam gotowa się przenieść do Krakowa. Na razie się tym nie martw, zresztą masz pewnie sporo innych spraw do załatwienia.

* * *

Fakt. Miałam całe mnóstwo spraw do załatwienia – formalnych i przyziemnych.

Choć i tu byłam szczęściarą, bo najbardziej paląca kwestia, czyli moje papiery z parafii w Warszawie, miały zostać dosłane pocztą na życzenie księdza Szczepana. Jeszcze przy nas zadzwonił i o to poprosił. Trochę się denerwowałam, bo na pewno było tam odnotowane, że podczas wizyt duszpasterskich zwykle nas nie było w domu, że mama wprost się odcina od wspólnoty wierzących, a ja... no cóż, może się załapywałam na mierny, bo w końcu wymagane sakramenty przyjąłam, ale niewiele ponad to. Staszek miał swoje dowieźć, bo i tak się wybieraliśmy do Witowa, żeby powiedzieć ciotce i Matyldzie o ślubie.

Matylda...

Matylda wciąż wywoływała w mojej duszy zamęt. Mniejszy niż na początku, ale jednak obecny. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tego naszego wspólnego życia. Jadzia uspokajała, że ułożymy sobie to wszystko, że będzie dobrze. I zapewne miała rację, bo przecież chcieliśmy to wszystko ładnie posklejać. A mimo to czasem w nocy przychodziły do mnie różne lęki. Związane z samą Matyldą i opieką nad nią, ale też takie, które jakoś się z nią łączyły.

Na przykład o zdrowie naszego dziecka.

Albo o to, czy przypadkiem jednak w Staszku nie ma nic z jego ojca. Może jest, tylko później się ujawni?

Złość na przyszłego teścia, którego nie poznałam i nie poznam, bo Staszek stanowczo odmówił zaproszenia go na ślub. Gdyby był normalnym ojcem, to on by się zajął Matyldą. A tak to Staszek musiał od dzieciństwa brać na swoje barki obowiązki, którymi dzieci nie powinny być obarczane.

Tak, nocą przychodziły do mnie takie myśli, których w dzień starałam się do siebie nie dopuszczać. Ale, i to był mój sukces i moje nad nimi zwycięstwo, coraz lepiej sobie z nimi radziłam. Jadzia nazywała to „terapią przez osvajanie”.

W ogóle oswajałam życie. Właściwie, gdy się nad tym zastanowić, to cała nasza egzystencja polega na poznawaniu nowego. Raczkowanie, chodzenie, samodzielne jedzenie, wizyty w toalecie już bez asysty, pisanie, czytanie, matura, studia... No i niby jesteśmy uformowani, dorośli już nie tylko przekroczoną osiemnastką, lecz przecież wciąż w drodze. Angażujemy się w poważne związki, bierzemy śluby, zapraszamy dzieci na świat, rozwodzimy się, podejmujemy ważne decyzje zawodowe, opiekujemy starzejącym się rodzicami, opłakujemy przyjaciół, zmagamy się z własnym starzeniem, zastanawiamy, co i czy w ogóle coś po drugiej stronie nas czeka. To są nowe sytuacje. Wydarzają się nam po raz pierwszy. I nie mamy do nich klucza – trzeba

je poczuć i poukładać w głowach i w sercach. To może być deprymujące, jak wszystko, co się zdarza po raz pierwszy. I trudne, także obiektywnie. Ale i zwyczajne – przecież życie polega na ciągłym dzianiu się. I na różnych emocjach – od łez do radości.

* * *

– Podobno zapytano kiedyś Czechowa, wspaniałego pisarza historii ludzkich, czym jest życie – powiedziała Jadzia, krzątając się po kuchni. Przyszliśmy oficjalnie ją poinformować o tym, że jej kandydatura na świadka została przyjęta w kościele, co ją ucieszyło, po raz kolejny zresztą, i wolę – też ponownie – potwierdziła. A potem się uparła, że zanim pójdziemy do pana Tomka, to ona ugości nas plackiem z truskawkami. Nie opieraliśmy się zbytnio. Teraz zaś rozmowa przeskoczyła na tematy najważniejsze, naturalne w obliczu przyszłego ślubu i przeszłych wydarzeń. – Wydawać by się mogło, że od kogoś takiego usłyszysz najpełniejszą definicję życia. A on odpowiedział: życie to po prostu życie. Równie dobrze można by zapytać, co to jest marchewka – to po prostu marchewka. Tę dykteryjkę usłyszałam wiele lat temu, kiedy zaczynałam pracę w teatrze. Aktorzy ją sobie opowiadali. Wtedy nie zrozumiałam, nawet mi się to wydało jakieś niepoważne, że taki pisarz i nagle jakby słów mu brakło. No ale nie brakło i teraz sobie myślę, że to najlepsze podsumowanie: życie polega na życiu. Tylko tyle i aż tyle. Więc – Jadzia sięgnęła do kredensu i wyjęła z niego dwa kieliszki. Jeden postawiła przed sobą, drugi przed Staszkiem. Mnie podsunęła filiżankę i uśmiechnęła się przepraszająco – opijmy tę prawdę Czechowa i tę waszą miłość. – Sobie i Staszce nalała ciemnoczerwonego płynu z karafki. – Wiśnióweczka. Prima sort, produkcja własna. – Uśmiechnęła się. – A dla ciebie, córciu, sok z malin. Też własnoręcznie wyciskany. No, niech się wam darzy, żyjcie pięknie!

* * *

Tomek akurat miał klientów, więc się przywitaliśmy i usiedliśmy na sofie. Przypomniał mi się majowy dzień, kiedy po raz pierwszy się tu zjawiałam. „Sprzedaję, wynajmuję, rany boskie, co ja tu właściwie robię?”, te myśli były jak ping-pong w mojej głowie. Dwa miesiące, a jakby wieki minęły. A jeszcze tyle przede mną, przed nami...

– No, to już, kochani. – Z zamyślenia wyrwał mnie pogodny głos Tomka. – Chyba przynieśliście mi szczęście, bo klienci się zdecydowali. Mieszkanie piękne, na Grodzkiej, jasne, ciche, kamienica po remoncie. No cudo! I jak to cudne rzeczy, drogie. Tak, tak, są rzeczy do kupienia, i wtedy zapraszam do mnie, i takie, które się bez pieniędzy dzieją i równie zachwycają albo nawet bardziej – to wy. A! – krzyknął nagle, a ja aż podskoczyłam. – To zresztą byli ci sami klienci, którzy oglądali Wiślną 13 i, przy okazji, niejako w bonusie, wdzięki właścicielki – dodał rozpromieniony.

– Nie poznałam ich, bo tylko plecy widziałam, a potem się zamyśliłam. Ale to może lepiej... – Przypomniało mi się, jak ociekająca wodą z kąpeli przywitałam kupujących zawinięta w kusy ręcznik, a potem powiedziałam swojemu agentowi, że jednak nie sprzedaję mieszkania. Właściwie cudem było, że oni nie wybrali innej agencji, a pan Tomek nie wykreślił mnie z listy swoich klientów czarnym mazakiem.

– Ach, pani Klaro. – Agent od zadań specjalnych się rozpromienił. – Znaczą: Klaro, jeszcze nie przywykłam do tej miłej zmiany... Widać, tak miało być. Zresztą ja nie jestem dzieckiem, żeby się ciągle obrażać, a ta historia była w gruncie rzeczy zabawna. No, i co najważniejsze, moi klienci wybrali odpicowane lokum, są zadowoleni, że jednak nie muszą się męczyć z remontem, a ja mam większy zysk. No po prostu idealnie. – Klasnął w dłonie. – Co do picia? Dla ciebie to pewnie herbata owocowa? A może zielona lepsza? – zwrócił się do mnie. – Muszę się doedukować kulinarnie, jeśli chodzi o przyszłe mamy.

– Owocowa będzie okej, dziękuję – odparłam.

Tomek kiwnął głową.

– A ty chyba kawa, bo wyglądasz na wyżętego, kochany. – Spojrzał z troską na Staszka. – Nie za dużo sobie wzięłaś na głowę? Zaharowany i schorowany mąż to tylko troska dla żony.

Fakt. Staszek, mimo werwy i entuzjazmu, wyglądał na zmęczonego. Praca dla Tomka to był budowlany maraton, teraz w hospicjum również się nie oszczędzał.

– E, no daj spokój... I kawy też daj, na pewno mi przywróci błysk w oku. Chociaż myślałem, że go widać, skoro przychodzimy do ciebie z tym, z czym przychodzimy.

– A z czym? – Tomek zgrabnie się przemieścił od szafki do ekspresu. – Zapraszam do naszego reprezentacyjnego stoliczka. – Postawił przede mną pachnący malinami i różą napar w pięknym porcelanowym kubku, a przed Staszkiem designerską filizankę z aromatyczną kawą. Sam też był, jak zawsze,

bardzo miły dla oka: kolorowy, elegancki, ale z nutą oryginała.

– Z potwierdzeniem, że będziesz naszym świadkiem.

Tomkowi nieznacznie zadrżała ręka, gdy stawiał drugą filiżankę – dla siebie. Do tej pory widziałam go zawsze w wyśmienitym nastroju i pełnego luzu, który nie miał w sobie nic z braku ogłady czy lekceważenia, wręcz przeciwnie, był kulturalną afirmacją życia, ale bez pokazywania głębszych emocji. A teraz coś się odsłoniło.

– Naprawdę? – zapytał i lekko odchrząknął. – Jestem wzruszony, szczerze wzruszony. I to ślub kościelny? – Upewniał się.

– Tak. Też się jeszcze szczypiemy. – Uśmiechnął się Staszek.

– Nie sądziłem, że czegoś takiego dożyję. Prostszej, bo ludzkiej akceptacji czasem brakuje, a tym bardziej w Kościele. Choć właściwie powinno być odwrotnie, bo to Kościół jest, znaczy powinien być, zapalnikiem dobra i miłości bliźniego. No ale praktyka bywa daleka od tego pięknego ideału... I tak po prostu, po takiej informacji, ksiądz się zgodził? Gdyby to był ktoś inny, tobym mógł pomyśleć, że nie powiedział całej prawdy, ale ty, Stachu, to chodząca uczciwość.

– Powiedzmy, że trafiło nam się z tym księdzem jak z szóstką w totku. I nic nie zapowiadało takiego sukcesu, bo ksiądz Szczepan ma około osiemdziesiątki.

– O, a to bywa mylące – ożywił się Tomek. – Mnie ostatnio wiozł taksówkarz. Bardzo rozmowny. Powiedział, że ma siedemdziesiąt trzy lata, zresztą nie musiał mówić, widać było, że sobie zapracował na wiek. I tak od razu zaczął mi opowiadać o różnych sprawach. Że korki, spaliny, że wybory, że źle. I że to dlatego, że rządzi nami szatan. Od razu sobie wtedy pomyślałem: „Oho, to będzie jazda”. A on mi tłumaczy, że tylko szatan tak by mógł ludziom namieszać w głowach, żeby się brat z bratem nienawidzili, opluwali, gnębili. „I to o co? Dlaczego tak?”, on mnie pyta i zaraz sam sobie odpowiedzi udziela: „Bo inny kolor skóry? Bo wiara inna? Albo miłość inna? A jakie to ma znaczenie? Ważne, czy człowiek ma dobro w sobie”. Byłem w szoku. I teraz też jestem, nawet większym. I strasznie, ale to strasznie się cieszę! – Tomek się poderwał i mnie uściskał, a potem wylewnie poklepał Staszka po plecach. – A kiedy to? – Znowu usiadł przy stoliku i wyciągnął z kieszeni marynarki swój bajerancki telefon.

– Trzynastego sierpnia – powiedziałam.

– Fantastycznie. Na przekór uprzedzeniom. Brawo wy. – Tomek wstukał datę w telefon. – No to co teraz? Jaki plan? W kościele na pewno muszę się zjawić, garnitur kupić, ale to gdy się dowiem, co młodzi na siebie włożą. – Spojrzał na

nas pytająco, a my bezradnie wzruszyliśmy ramionami. – Kwiaty, zaproszenia... A przyjęcie gdzie? – I znowu spojrzenie, i znowu nasze ramiona lekko do góry i na dół, a na twarzach przepaszające uśmiechy. Byliśmy nieprzyzwoicie nieprzygotowani jak na wyśrubowane standardy estetyczne Tomka.

– Wiesz, to wszystko jest absolutnie na świeżo, dopiero co byliśmy w kościele, bo to najważniejsze, a resztę zaczniemy ogarniać. Tyle tylko, że... no, sam wiesz, jak się sprawy mają. Luksusów i ekstrawagancji nie będzie, bo czas finansowych sukcesów wciąż przed nami. – Staszek się uśmiechnął, ale z drobiną smutku.

– Patrz, zupełnie zapomniałem, że my się jeszcze nie rozliczyliśmy. – Tomek klepnął się po udzie opiętym džinsami. – No co mi nie przypominasz?

Staszek wpatrywał się w niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie sędzę. Wszystko jest okej, bo tamta kasa ma być na poczet zaszłości. I tak jeszcze sporo zostało do oddania, bo...

– Nie, nie, wszystko ci się pokiełbało, stary. Mówiłem, że jesteś zmęczony. Klara, kochana, zadbaj o niego, bo jest gorzej, niż myślałem. – Tomek powiedział to z pełnym przekonaniem i wyraźną nutą współczucia. – Poczekajcie chwilę. – I energicznym krokiem podszedł do biurka. Wyciągnął z kieszeni portfel i położył go na blacie. Potem się schylił i otworzył szufladę. Wyjął z niej kolorową teczkę. Kucnął, tak że straciliśmy go z pola widzenia. Zauważyłam tylko, że sięgnął po portfel. Po chwili portfel znowu wylądował na blacie, za to teczka zniknęła. To wyglądało przedziwnie – jak teatr kukielkowy dla dzieci, tyle że bez głosu.

Spojrzeliliśmy ze Staszkiem po sobie.

– Nie mam pojęcia – szepnął mój narzeczony.

– Ja też. – Pokiwałam głową.

Dobrze dobraliśmy świadków – Tomek i Jadzia to były dwa oryginały. Kolorowe ptaki, wyfruujące z siatki konwenansów.

– Wybaczcie, że tak na waszych oczach – zaczął przepaszającym tonem Tomek, gdy znowu się pojawił przy naszym stoliku – ale się nie zapowiedzieliście – dodał tonem przygany i lekko grożąc nam placem. – Kochani, jesteście cudowni! Młodzi, mądrzy, zakochani. Razem przeniesiecie góry i zdobędziecie szczyty, co tam będzie trzeba! A ja wam będę zawsze kibicował. I będę superwujkiem. No, bo się rozkleję!

Oboje wstaliśmy, a on najpierw mnie wyściskał, ale z wyczuciem, a potem zrobił szczodrego misia Staszekowi.

– A to prezent ode mnie. Symboliczny. To na nową drogę życia, zapłata za ostatnio wykonaną robotę.

– Ale przecież ja mam u ciebie dług. Jeszcze kilkanaście ty... – zaczął Staszek.

– Historycy to nogi z matematyki. Wszystko policzyłem. I na czysto wyszło tyle.

Staszek otworzył czerwoną kopertę i wyciągnął z niej błyszczącą jednogroszówkę.

Zdążyłam tylko pomyśleć, że Tomek jest niesamowitym facetem. Taki prezent, tyle kasy, a to wszystko z dobrego serca. A potem, bez oporów, bez wstydu, za to z wielkiej radości i ulgi się rozpłakałam. W końcu ile szczęścia jednego dnia można unieść bez łez radości?

Rozdział szesnasty



Kiedyś próbowałam sobie wyobrazić, jak to może być, jak to będzie. I nie potrafiłam, choć to przecież nieuniknione, na pewno się wydarzy, i – wedle biologicznego prawdopodobieństwa – nastąpi za mojego życia.

Śmierć rodziców to nie tylko utrata kogoś bliskiego, najbliższego. To trzęsienie ziemi, które sprawia, że od tej pory grunt pod stopami będzie mniej stabilny. Znikają ci, którzy kochali bezwarunkowo, dając oparcie zawsze i w każdej sytuacji. Nikt i nigdy nas tak nie pokocha, bo przecież inne relacje i inne miłości innymi nićmi są splecione. Nikt nie będzie już opiekunem, nauczycielem, gwarantem bezpieczeństwa – w jednej osobie. Gdy umiera rodzic, kończy się epoka bycia dzieckiem; tu metryka nie ma znaczenia – sierotą można się czuć w każdym wieku.

Tak się myśli i przeżywa, kiedy ma się zwyczajnych, czyli dobrych rodziców. I na pewno takie lęki i ból towarzyszyły Staszce, kiedy odchodziła jego mama.

Ale teraz...

Ciotka przywitała nas z wymuszonym uśmiechem – od razu oboje zauważyliśmy, że coś się wydarzyło.

– Do kuchni chodźmy – powiedziała tylko, głową wskazując na Matyldę, która usiadła przy stole, żeby obejrzeć przywiezione przez nas farby, kredki i bloki.

– Ojciec nie żyje. – To było drugie wypowiedziane przez nią zdanie.

Straszne słowa skierowane do Staszka. „Ojciec nie żyje”, czyli „Twój ojciec nie żyje”. Ale zabrzmiały tak, jakby była mowa o czyimś ojcu, jakimś obcym

człowieku. Tak z ust ciotki wyszły i tak je Staszek odebrał.

Stał przy piecu; spojrział na ciotkę, potem na mnie, a później się zapatrzył w okno. Żadne z nas się nie ruszyło. Ani oni do siebie nie podeszli, ani ja nie zrobiłam kroku. Gdyby w tej przekazanej informacji była nuta dramatyczna, gdyby Staszek przyjął ją boleśnie, to przytulenie go byłoby odruchem. Ale on stał niewzruszony, a ja nie miałam pojęcia, jak zareagować. Jak towarzyszyć komuś, kto powinien się rozpaść na tysiące kawałków rozpacz, a stoi wyprostowany i twardy jak skała?

Nie wiem, ile tak tkwiliśmy, każde ze swoimi myślami, pewnie kilka minut, choć dla mnie to była wieczność. W końcu Staszek się odezwał:

– Jak to się stało?

– Gienek, Gienek Gąsior mi powiedział. Znalazł go, kiedy wracał z pola. Z początku myślał, że jak to bywało, przy płocie odpoczywa. Ale podszedł i od razu coś go tknęło. „Widziało mi się, że tym razem to już może być inna historia”, tak mi powiedział. Na pogotowie zadzwonił, ale za czym przyjechali, to ze dwadzieścia minut przeszło. Tylko podobno ten lekarz z karetki twierdził, że sprawa była i tak bez szans. No, zresztą on znał Mietka i już wcześniej mówił, że bez szans, bo... – Ciotka zawiesiła głos, machnęła ręką i się przeżegnała.

– A kiedy to było? – zapytał Staszek.

– Wczoraj pod wieczór. Jużem nie dzwoniła, bo jak taką informację podać przez telefon? Nawet jeśli... no ojciec jednak. A skoro żeście się zapowiedzieli na południe dziś, to postanowiłam poczekać. Ze śmiercią już pośpiechu nima...

I znowu zamilkli.

Czułam się przedziwnie. Zbędna? Nie na miejscu? Zupełnie nieprzygotowana. Moja reakcja powinna zależeć od emocji Staszka, a on je starannie ukrył. Bo przecież nie mógł nic nie czuć, jeśli umarł jego ojciec. Choć jeśli jego ojciec był taki, jaki był, to może jednak mógł?...

– No, Tylka o niczym nie wie. – To znowu ciotka.

Teraz, wreszcie, jakiś miśsień na twarzy Staszka zadrżał.

– Ja jej powiem, dobrze zrobiłaś, że poczekałaś z tym na mnie. – Staszek podszedł do ciotki i ją przytulił.

– No, to może wy sobie chwilę chcecie porozmawiać, ja pójdę do warzywnika, a jak wrócę, to się wezmę do obiadu. Życie toczy się dalej. – Pokiwała głową i wyszła.

– Życie toczy się dalej – powtórzył Staszek. Teraz patrzył na mnie, ale wciąż nie potrafiłam wyczytać z jego twarzy, co się dzieje w jego sercu i głowie.

Zapytałam więc wprost:

– Stasiu, nie wiem, co powiedzieć. I co zrobić. Czy mam cię pocieszać? Czy przygarnąć? Jak ty się czujesz?

A on jakby dopiero wtedy się ocknął. Usiadł na zydłu i oparł się przedramionami o blat stołu. Tkwił tak przez kilka chwil, przejeżdżając dłońmi po twarzy. Zajęłam miejsce po drugiej stronie. Nic nie mówiłam, czekałam, aż on się odezwie. Czułam, że w środku dygocę.

W końcu Staszek podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Właściwie to nie czuję nic. I to jest jeszcze gorsze, niż gdyby mnie bolało. Chociaż właściwie nie, coś jednak czuję. Ulgę. Ulgę, że to się wreszcie skończyło. Rozumiesz, Klara? Czuję ulgę, że mój ojciec umarł.

I dopiero wówczas się rozszłochał.

* * *

Potem było równie trudno: dziwnie i nieokreślenie. Staszek poszedł do Matylidy, która wciąż zajmowała się przywiezionym przez nas prezentem. Rozłożyła na stole bloki, kredki, flamastry i zabrała się do rysowania. Staszek się przysiadł i zaczęli rozmawiać. Najpierw chyba o obrazkach, bo coś wspólnie oglądali, a Matylida co i rusz pokazywała mu jakieś elementy nowej kolekcji plastycznej. Patrzyłam na nich z kuchni, przez korytarz. Nic nie słyszałam, mogłam tylko oglądać tę scenę jak pantomimę. Matylida była nieustająco pogodna. Staszek początkowo odpowiadał uśmiechami na jej uśmiechy, a później przybliżył się do niej, lekko nachylił i coś powiedział. Zapewne to, co jemu przekazała ciotka. Matylida patrzyła na niego, a potem zaczęła o coś pytać. Bez łez, bez smutku, jakby tylko domagała się wyjaśnień w jakiejś teoretycznej sprawie. Staszek odpowiadał. Równie dobrze można by pod tę scenkę podłożyć dialogi o zabawie w lesie albo zajęciach w szkole. Czy w tym wieku dzieci rozumieją, czym jest śmierć? Czy może raczej dopiero przeczuwają? A jeśli są „inne”, jak Tyśka? To jak to sobie tłumaczą? A może nie tłumaczą, tylko przyjmują do wiadomości i już? W każdym razie siostra Staszka nie wyglądała tak, jakby świat się jej właśnie zawalił. No ale ojciec nigdy nie był jej całym światem...

Staszek wrócił do kuchni.

Spojrzałam na niego pytająco. Często dziś czułam, że brakuje mi słów.

– Nie wiem, naprawdę. Kiedy umarła mama, było zupełnie inaczej. Mimo że chora, siedząca, leżąca, ale była obok, wciąż obecna. Gdy przyjechało

pogotowie, a potem samochód z zakładu pogrzebowego... No, to była rozpacz, jakby Tyśce kawałek życia siłą wyrywać. Wciąż potem pytała, gdzie jest mama i kiedy wróci. Teraz coraz rzadziej, ale czy to znaczy, że rozumie, czy że raczej się pogodziła, to ja nie wiem. No, a z ojcem... – Zawahał się. – To jak wszyscy chyba – był, ale jakby go nie było. A teraz go nie ma. Różnica dla nas niewielka.

– Stasiu... – Chciałam coś powiedzieć, bo zobaczyłam, że grdyka znów mu drga. Jak to czasem emocje idą na przekór wypowiedzanym słowom. – Nie wiem, co robić. Czego ode mnie oczekujesz. Jak mogę pomóc. No i jak to dalej będzie... Bo na przykład ślub...

Tak, pomyślałam o tym, kiedy on był z Matyldą. Żałoba chyba powinna obowiązywać. Może nie rok, ale czy ślub w miesiąc po pogrzebie to będzie w porządku?

– Ślub się odbędzie, żadnych zmian – odparł szybko. – To nasze życie. On się z mojego sam wypisał, to dlaczego miałyby teraz na nie wpływać? I jeszcze na twoje. Nie, nie, nie, mowy nie ma.

– Na pewno? – zapytałam, bo czułam, że powinnam zapytać. Właśnie: powinnam. Mnie też się udzielił ten nastrój – przyjąłam informację o śmierci przyszłego teścia i już. Starłam się trzymać wytycznych na czas żałoby, wyłączając z tego procesu emocje.

– Na pewno. To byłoby wbrew temu, co czuję. Wbrew, ja wiem... poczuciu sprawiedliwości? To już prędzej śmierć mamy mogłaby odroczyć nasz ślub. Ale przecież ona byłaby szczęśliwa, że cię poznałam, nie chciałyby, żebyśmy zwlekali. Chciałyby, żebym znalazł kogoś dobrego, mądrego, żebyśmy zbudowali prawdziwy dom.

– Ale po co budować, skoro stoi? – Odwróciliśmy się w kierunku korytarza. Ciotka wróciła. Miała wiklinowy kosz z warzywami w rękę, ale na pewno nie zbierała ich tak długo. Pewnie chciała dać nam czas na pobycie razem. – Dopiero co przyszałam i tak od razu ze sieni usłyszałam, że wy o domu, nie żebym jakoś podsłuchała... No to się pytam, bo przecie chałupa jest. Ja to tam już dawno nie zaglądałam, no i z zewnątrz widać, że remont by się zdał, ale to piękne, zdrowe drzewo było, i nadal jest. Żal by zostawić na zmarnowanie. Toć nie tylko ojcowizna, ale i matczyzny spadek...

– My nie o tym rozmawialiśmy. Ten dom to był w przerośni, w znaczeniu własne życie, rodzina. Bo przyjechaliśmy po to, żeby ciotkę zaprosić na ślub. Już tak oficjalnie, z konkretnym terminem. No ale na miejscu...

– O, to jest i radość. Tak powinno być w życiu. – Ciotka się uśmiechnęła. –

Nowe idzie. I zaraz pewnie dzieci się posypią... A jak dzieci, to będzie dobrze. Zawsze jest dobrze, jak się dzieci rodzą.

* * *

Kiedy dom został już bez lokatora, mogliśmy go obejrzeć na spokojniej, choć to może niewłaściwe słowo w tej sytuacji.

Staszek chodził po pokojach w milczeniu; czegoś dotknął, coś przełożył, jakieś drzwiczki domknął, którąś szufladę wysunął. Sprawiało to wrażenie surowej inspekcji a nie czułego pożegnania. Do czasu, gdy w salonie podniósł z kredensu niedużą ramkę z czarno-białym zdjęciem. Stał z szybki warstwę kurzu i przysunął fotografię bliżej oczu.

– Miałem ze cztery lat może. Zima była, okrutne mrozy, zasy na dwa metry. Ojciec po odśnieżeniu wziął mnie na barana, żebym mógł coś spoza tego białego muru zobaczyć. Czułem się wtedy taki... bezpieczny, zaopiekowany. I dumny! Tata nas odkopał, uratował z opresji, a teraz dziarsko wrzuca mnie sobie na ramiona. Z takim tatą to mogę wszystko! – Staszek zacisnął dłoń na drewnianym obramowaniu. – On mi to wszystko mógł dać, a wszystko mi zabrać! A teraz sobie po prostu umarł! Umarł i go nie ma! I już nie będzie. Pewnie byłem dumny, ale miałem gdzieś w sobie tę iskrę nadziei, że on może się zmienić, że kiedyś przestanie pić i wróci do nas, tak naprawdę, a nie tylko ciałem i cuchnącym alkoholem oddechem... Teraz nie mam niczego. Poza tym okropnym poczuciem ulgi, że już się nie muszę szarpać – ani ze sobą, ani z nim.

Drugi raz tego dnia Staszek stał i szlochał jak małe dziecko. Ramiona mu się trzęsły, broda podskakiwała, po policzkach płynęły łzy.

Podeszłam i mocno go przytuliłam. Bardzo mocno. W pierwszym odruchu chciałam powiedzieć, żeby nie płakał, bo tak się przecież uspokaja ludzi w smutku: „No, nie płacz już”, ale właściwie dlaczego miałby nie płakać? Że wiem, co czuje, też nie powiedziałam, bo przecież nie wiem, mogę tylko próbować sobie wyobrazić. Że będzie dobrze? To strasznie odległa pociecha. Więc wyciągnęłam jedyne koło ratunkowe, które miałam: „Kocham cię”.

* * *

Gdy następnego dnia wracaliśmy do Krakowa, oboje przez większość czasu byliśmy milczący. To nie była jednak dzieląca cisza, cisza, która krępuje

i domaga się zagłuszających słów.

Wieczór spędziliśmy we dwoje w domu rodzinnym Staszka. Na oglądaniu, porządkowaniu i przede wszystkim oswajaniu. Staszka – z jego bolesnymi wspomnieniami, ze smutkiem, mnie – z kawałkiem jego życia, który do tej pory był przemilczany.

W środku sporo jeszcze było śladów obecności matki: doniczki z kwiatami, ręcznie szyte poduchy i kapy, obrazki na ścianach, kolorowe chodniki na podłogach. Bardziej jednak rzucały się w oczy zaniedbania ostatnich miesięcy: brudna łazienka, kłęby kurzu, lepka podłoga w kuchni, oberwana zasłona, przypalony garnek na zatłuszczonej kuchence.

– Żal mi tego domu – odezwał się Staszek, jakby czytał w moich myślach. – Ten syf, zapuszczenie to jakby obraz tego, co się tam wydarzyło. A przecież początki były takie, jak na tej fotografii. Może głupie, że to tak boli, w końcu to tylko rzeczy, ale... – I zapatrzył się na drogę.

– Stasiu, słuchaj. – Coś mi nagle przyszło do głowy. – A gdyby tak dać temu domowi szansę na drugi początek, też dobry? Żeby go tak... odczarować?

– To znaczy? Kto by miał tam zamieszkać? – zdziwił się Staszek, bo wczoraj ustaliliśmy z ciotką, że Matylda od września będzie z nami, w Krakowie.

– Na razie to pewnie nikt... Przyszło mi po prostu do głowy, że moglibyśmy trochę tam posprzątać, coś odmalować, jakieś drobne naprawy zrobić i tam zaprosić gości po ślubie. Oczywiście żadne wesele, skąd, tylko spotkanie najbliższych. To kawałek, ale damy radę. No i będziemy mieć tu sporo miejsca i czasu. I jeszcze sobie pomyślałam, że pradziadek na pewno się ucieszy, w końcu stąd do Jabłonki już niedaleko, a góry jeszcze bliżej. Sam zresztą mówiłeś poprzednim razem, że gdybyś tylko mógł, tobyś się zajął domem.

– Elegancko to tu niespecjalnie będzie – zauważył Staszek, widziałam jednak, że się ożywił. – Ale może to dobry pomysł? Może właśnie tak, na przekór przeszłości? Rzeczywiście, tak wtedy chciałem.

– To na pewno dobry pomysł – ucieszyłam się. – Jeszcze są wakacje, masz, to znaczy mamy, bo ja też się włączę, czas na pracę...

– Tylko pieniędzy brak – przypomniał Staszek i sposepniał.

– Ja jeszcze mam jakieś oszczędności. Na taką estetykę to wystarczy. A potem... potem to będzie potem. Pomyślimy, zobaczymy. Już mnie życie nauczyło, żeby nie robić dalekosiężnych planów. Kilka tygodniu do przodu to i tak maksimum, jak pokazuje nasza historia.

– Zgoda – odpowiedział Staszek. I dodał: – Kocham cię.

Ta wyprawa w góry okazała się bardzo trudna, ale odbyliśmy ją razem. I razem bezpiecznie zeszliśmy w dolinę.

Rozdział siedemnasty



– Bardzo mi przykro, Klaruniu, naprawdę. Ucałuj ode mnie Staszka. – Babcia była szczerze zasmucona wieścią o śmierci Skarłata seniora.

– Ucałuję. Choć wiesz, ta relacja między nimi była trudna.

Stałam w naszym mieszkaniu na Wiślnej, wyglądając przez okno w salonie na ulicę. Jutro miałam jechać do Olkusza, ale teraz się zastanawiałam, czy nie przełożyć tej wizyty. Może nie powinnam zostawiać Staszka?... Pierwotnie on miał mi towarzyszyć, ale wszystko się zmieniło.

– To i emocje teraz trudniejsze. Sprzeczne, bardziej człowiekiem miotają. Wiele czasu musi upłynąć, żeby to sobie poukładać. Naprawdę mi żal tego chłopca. Dobrze, że ma ciebie. I że to małe w drodze. A właśnie, jak sprawy ze ślubem? Jakoś do przodu?

No tak, babcia i pan Kazimierz wszystkiego mieli się dowiedzieć jutro, ale skoro już rozmawiałyśmy, a jutrzejsze plany stały pod znakiem zapytania, to postanowiłam nie ogłaszać tego uroczystości, tylko zwyczajnie, przez telefon.

– Ach, no widzisz, babciu, chciałam to zostawić w tajemnicy do jutra i tak ładnie, osobiście, razem ze Staszkiem, no ale będzie inaczej: ślub trzynastego sierpnia o trzynastej w kościele Bożego Ciała.

– No to fantastycznie, Klaruniu! Bardzo się cieszę! Jakiś życzliwy ksiądz musiał się wam trafić! Ja to zresztą często powtarzam, że garstka tych, co się powinni wstydzić przed Bogiem i ludźmi, psuje dobrą robotę reszty. A który to? Bo może znam. Nie ten, co pogrzeb prowadził?

– Nie, tamten to był młody – przypomniałam sobie księdza na mszy

pogrzebowej.

– Po pięćdziesiątce, ale to miłe z twojej strony, że tak go nazywasz – powiedziała babcia. – Myślałam, że on, bo chyba to jego obowiązek?... Jakieś zmiany? Ksiądz Marka nie ma?

– A, to on jest Marek. No to wszystko w porządku, chory jest. To znaczy może właśnie nie do końca w porządku, skoro leży w łóżku, ale to wirus czy przeziębienie, nic mu nie będzie. Zamiast niego będzie ksiądz Szczepan.

– Szczepan?... – zamyśliła się głośno babcia. – To ja chyba nie znam.

– Od dawna jest w parafii, pewnie go kiedyś widziałaś. Wiekowy, dlatego o tym Marku powiedziałam, że młody. Ksiądz Szczepan ma z osiem dyszek.

– To może nie rozumiał, czego od niego chcecie, i tak łatwo się zgodził?

– Zgodził się, bo jest w porządku. I jako człowiek, i jako ksiądz. I... – Nagle się zawahałam. Może akurat o tym nie powinnam opowiadać babci przez telefon? Może wcale nie powinnam? „Żadnych silnych wzruszeń”, napominał lekarz. A ta informacja niosła ze sobą całkiem spory ich tobolek.

– I co?... – dopytała jednak babcia.

Zatem drogi odwrotu już nie było. Babcia w mig by przejrzała moje *ad hoc* wymyślane kłamstwo.

– Widzisz, babciu... – zaczęłam powoli. – Tylko się nie denerwuj – a to wypowiedziałam w trybie karabinu maszynowego, co oczywiście przyniosło odwrotny od zamierzonego skutek.

– No to już się zdenerwowałam – odparła babcia, niby to żartem, ale wyłapałam nutę niepokoju. – Co się stało?

– Nic takiego. To po prostu ten ksiądz, który spowiadał Rózię. Jakoś mi wtedy umknęła nazwa kościoła z listu.

– Ja też o tym zapomniałam... No to niezwykła sprawa, naprawdę. A on coś wie o jej losach? I jak się w ogóle o tym dowiedziałaś? – Babcia zaczęła mówić coraz szybciej.

– Babciu, ale ty się nie denerwuj – upomniałam ją. – Pamiętasz, co lekarz mówił?

– Ja się nie denerwuję, jestem po prostu zdumiona. I poruszona. Ale nie będę mdleć. Zresztą – lepszego opiekuna, niż tu mam, trudno sobie wymarzyć, więc gdyby...

– Ani mi się waż! – Nawet żart nie był w stanie przyćmić strachu, jaki przeżyłam, kiedy znalazłam babcię nieprzytomną w jej łazience.

– Skoro zabraniasz tak kategorycznie... To jak to było?

– Skojarzył nazwisko babci, gdy powiedziałam, że odziedziczyłam po niej mieszkanie. A potem z rozmowy wywnioskowałam, że Różia musiała je podać, kiedy wszystko, wszyściutko – jak to na spowiedzi – mu wyznała. Pobiegłam do domu po list, on przeczytał, pokiwał głową, potwierdził. I więcej nie wiem, bo tajemnica konfesjonału.

– Czyli o losie Rózi też nic?

– Nic. Ale już na koniec rozmowy pytałam, jak mogłabym ją znaleźć. Znaczą jej grób. Obiecał, że pomoże.

– O, to dobrze. – Westchnęła babcia. – Powiem ci, że jakąś ulgę by mi to przyniosło, gdybym się pomodliła przy jej grobie. I, o tym też pomyślałam, gdyby na koniec mszy ksiądz nie tylko was, młodych, polecił modlitwie, lecz także gdyby się pochylił też nad tymi, którzy odeszli: babcia Emilia, Różia, ojciec Staszka, dziadek Jan...

– Ojciec Staszka to jeszcze rozumiem, ale Jan Majewski?! Babciu, no co ty! Ofiara i kat razem!

– Żeby ich polecił Bogu. To jedna intencja. A druga – żebyśmy potrafili wybaczyć. Bo oni nie żyją, im to już nasze bolesne myśli i zła krew obojętne. Ale my, a przede wszystkim wy, młodzi, musicie iść bez takiego bagażu. Żal trudno się niesie.

Pewnie tak, babcia miała rację, ale czułam jakiś opór. Milczałam.

– Widzę, Klaruniu, że to trudne. To zostawmy teraz, dobrze?

– Dobrze. Przepraszam, zdenerwowałam się. Ostatnio dużo się dzieje, nerwy na wierzchu.

– To je przykryj. Teraz zwłaszcza. A powiedz jeszcze, kiedy pogrzeb? Pojechałabym, oboje z Kaziem byśmy pojechali. Dla Staszka, żeby wsparcie czuł.

– A tu komplikacja, bo nie tak od razu. Okazało się dziś rano, że musi być sekcja. Niby jasne, że pił, nawet lekarz z pogotowia go znał, ale dokładny powód trzeba podać. I osoby trzecie wykluczyć.

– No to sprawdzą. Pewnie, że miłe to nie jest, ale skoro tak być musi... Kilka dni się przesunie pożegnanie, ale do ślubu i tak jeszcze kawałek.

– Do ślubu tak, ale obóz Matyldy niedługo. A w tym układzie pogrzeb będzie właśnie wtedy, gdy ona będzie dojeżdżać nad morze. A ciotka z nią.

– Może to by nawet lepiej było? – zawahała się babcia. – To w sumie nieduże dziecko.

– Na pogrzebie mamy była i źle to zniosła, zwłaszcza opuszczanie trumny do

grobu. Podobno przez kilka nocy budziła się z krzykiem.

– Ach, no widzisz. To chyba jest podpowiedź.

– Pewnie tak... A zmieniając temat: obiad po ślubie odbędzie się w Witowie.

W domu rodzinnym Staszka.

– Przyjemnie! Ale daleko. To pewnie z kolacją i śniadaniem? – Zaśmiała się babcia.

– Myślimy, jak to zorganizować. Na razie się skupimy na odgruzowaniu i odświeżeniu. Staszek dokończy prace w hospicjum i pojedziemy do Witowa.

– Tylko bez szaleństw, pamiętaj – zatroszczyła się babcia.

– Jestem najmniej szaloną Majewską – zauważyłam.

– To był przytyk do Kazika?

– Skąd! – zaprzeczyłam. – Choć depczesz mi po piętach. No i obie zostawiłyśmy w tyle mamę.

– Och, nasza Dorotka. – Z czułością westchnęła babcia. – Na samym początku, kiedy tylko wróciła do Warszawy, to nawet pomyślałam, że pewnie zaraz ktoś nowy się pojawi. No ale nie. I nikogo nie widać na horyzoncie. A Dorotka wcale nie wygląda na niespełnioną, poszukującą. Wręcz przeciwnie, mam wrażenie, że jest teraz spokojna, taka wyważona... Ale i szczęśliwa. Byłam pod wrażeniem tego, jak się zajmowała dziadkiem – z takim oddaniem, czułością. Jakby gdzieś ta jej trzpiotowatość uleciała.

– No wiesz, babciu, pewne sprawy się zmieniają. Biologia też ma tu coś do powiedzenia – zauważyłam. Trochę złośliwie, bo jakoś mnie zakłuło to zajmowanie się dziadkiem. I to, że babcia tak mamę gloryfikuje. Nade mną się tak mama nie trzęsła, kiedy byłam mała.

– E, ja bym tego nie sprowadzała do poziomu biologii. Jestem w takim wieku, że już powoli zapominam, jak to było przed menopauzą, a powiem ci, że emocje i uczucia, jakie teraz mam, nie pasowałyby ci do pani z kokiem. A tak przy okazji, to mam teraz krótkie włosy. Jak ta aktorka brytyjska Judi Dench. Doskonała zresztą. Ze starszych rzeczy to jej pewnie nie znasz, ale z Bonda to już chyba tak.

Babcia jak aktorka Bonda? Do głowy od razu przyszły mi te wszystkie długonogie piękności, które prędzej czy później lądowały z superagnetem w łóżku. Ale jak babcia miałyby się na nie wystylizować?

– Słyszę, że nie kojarzysz. To ta starsza pani, która grała szefową wywiadu.

– Ach, no teraz jasne! Ta tajemnicza M? To fajnie, masz taką ładną twarz. W sumie to nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłaś.

– Kazio mówi to samo. Jest zachwycony mną. Znaczą fryzurą. – Babcia chyba się zaczerwieniła, w każdym razie jej głos tak zabrzmiał. – No dobrze, kochanie – zaczęła nowy wątek, już zwyczajnym tonem. – To jak my się umawiamy? Będziesz dawała znać, prawda?

– A jak twoje zdrowie? – Nagle się ocknęłam, a to przecież była istotna sprawa. My tu o fryzurach, a niedawno babcia była blada jak szpitalna pościel.

– Jest bardzo dobre, zapewniam cię. Wszystko jest w głowie. No, może nie wszystko, ale dużo. Moja głowa zaś ma się teraz wyśmienicie, a wraz z nią i reszta ciała. Nawet biodro! Zatem czekamy tylko na jakiś sygnał i jesteśmy do dyspozycji. – Babcia nie tylko się obcięła na szefową wywiadu. Ona teraz nią była.

– Będę o wszystkim donosić, jak panna Moneypenny – zameldowałam więc posłusznie.

Panna Moneypenny była osobistą sekretarką M. W pierwszych powieściach i filmach traktowana marginalnie, ale z czasem jej rola się rozrastała. I nawet została porucznikiem. A sama M była fenomenalna. Początkowo zresztą myślałam, że M jest facetem, no bo jakby mogło być inaczej? Kobieta rządzi wywiadem? A dlaczego właściwie nie? To się sprawdzało – i w filmie, i w naszym życiu. Seniorka rodu Majewskich była naprawdę super.

„Sto lat bez mężów”. Anka na pewno by mi teraz wytknęła te moje łzawe rozpaczę, gdy Paweł mnie porzucił. Czemu ja tak gloryfikowałam facetów, i to tylko dlatego, że byli facetami? Nie to, żeby teraz wahadło się wychyliło w drugą stronę i zaczęłam myśleć skrajnie feministycznie.

Wreszcie chyba zaczęłam myśleć rozsądnie.

Patrzyłam na ruch uliczny i trzy nasze lipy.

Szarość, kolor, zieleń.

I pomyślałam, że ten obrazek przypomina życie: trochę ruchu, trochę ostoi. Coś się zmienia, ktoś zawsze jest opoką.

A ja byłam tam, gdzie powinnam być.

Rozdział osiemnasty



Kolejne dni były jak nowe obrazki w kalejdoskopie. Nie chodziło o to, że takie kolorowe i wesołe, tylko że z garstki szkiełek powstawały nowe układanki. Tymi szkiełkami byliśmy my – ja i wszyscy moi bliscy, a obrazki to sytuacje, które się wydarzały.

Mama przesunęła wylot o cztery dni, żeby pomóc dziadkowi we wstępnej segregacji rzeczy. Plan był taki, że dziadek przylatuje kilka dni przed naszym ślubem, spotyka się z nami, by poznać swoją wnuczkę wcześniej niż w kościele, spaceruje po Krakowie, jedzie do Olkusza, gdzie zostaje do trzynastego. Stamtąd do Krakowa, skąd zabieramy go do Witowa, gdzie też spędzi kilka dni, a potem... No właśnie. Decyzja, że zostaje w Polsce, zapadła. Mama opowiadała, że Emily, z którą się regularnie poznawały na Skypie, powoli akceptowała ten wybór ojca. „Rozumiesz”, śmiała się mama, „dziecko musi zaakceptować decyzję taty. Zwykle to bywa na odwrót, rodzice mają problem z wyborami dzieci”. Zwykle, ale ta sytuacja była z gatunku niezwykłych. Nową i bardzo miłą informacją była wiadomość, że z bardzo dużym prawdopodobieństwem Emily przyleci na mój ślub. Mamą ją spontanicznie zaprosiła, a ona się spontanicznie zgodziła. Odnosiłam wrażenie, że one są do siebie podobne. Cóż, dzieliły pulę genów.

Anka wspierała mnie telefonicznie. Codziennie prawie dzwoniła, żeby zapytać, jak się mamy, zwłaszcza jak Staszek (o tym za chwilę), jak przygotowania do ślubu (skromnie), jak remont w Witowie (wcale jeszcze), jak prace w hospicjum (tu pełny sukces, bo na ukończeniu).

Jadzia wyděbiła od Staszka numer telefonu do ciotki. Pod pozorem poznania telefonicznego i przekazania kondolencji, ale szybko się okazało, że cel był inny – wspólne przygotowanie weselnego menu. Powiedziała mi po fakcie, dając do akceptacji jadłospis. Pomyślały o wszystkich: niejedzących mięsa, ograniczających tłuszcze, lubiących potrawy mączne, spragnionych polskich smaków. Nasze, znaczy Staszka i moje, długi wdzięczności wobec Jadzi i ciotki rosły. Dobrze, że choć bez oprocentowania, bo na pewno byśmy się nie wypłacili.

Staszek po tygodniu dostał zgodę na pochowanie ojca. Mieczysław Skarłat zmarł z powodów naturalnych, jeśli oczywiście picie na umór można uznać za powód naturalny. Ostatecznym zabójcą okazała się niewydolność nerek.

W oczekiwaniu na ten dokument Staś pojechał do Witowa, żeby załatwić sprawy na cmentarzu i w kościele. I w jednym, i w drugim przypadku odbyło się to niestandardowo.

W kościele, bo równocześnie poprosił o potwierdzenie papierów do ślubu, a na cmentarzu, bo ojciec miał być pochowany w innym grobie niż matka Staszka. „Kiedy mama umarła, to umyślnie prosiłem o włożenie trumny do grobu dziadków, czyli jej rodziców. Tam już tylko jedno miejsce było wolne, więc wiedziałem, że ojciec będzie leżał sam. I wtedy miałem z tego mściwą satysfakcję, bo on nawet na pogrzeb żony przyszedł zawiany”. Zapytałam, co teraz czuje, czy by zmienił tę decyzję. Odpowiedział, że nie. Ale nie ma w nim już tej satysfakcji, tylko złość – nie o to, co ojciec zrobił, a o to, czego nie robił. I że to pewnie przejdzie – najpierw w smutek, a potem we wspomnienie.

W tym trudnym procesie pomagały mu rozmowy z księdzem Szczepanem – kolejny obrazek z naszego wspólnego kalejdoskopu.

Między pracą w hospicjum, wizytą w Witowie, szukaniem pracy a kupowaniem materiałów na remont oboje ze Staszkiem chodziliśmy bowiem na spotkania do Bożego Ciała. Właściwie to w okolice kościoła, bo ksiądz, co mnie cieszyło, ponieważ było mi bliskie, też lubił spacerować. I wbrew pozorom (tak, pozory są do bani) miał naprawdę dobrą kondycję. A chodzić musiał podwójnie, ponieważ spotykał się z nami oddzielnie. Wydawało mi się to dziwne, to znaczy nietypowe, bo w zwyczajnym trybie do kościoła przychodziły pary. Ale ksiądz Szczepan nie był typowy.

Teraz właśnie szliśmy bulwarami w stronę mostu Powstańców Śląskich. Dziś był mój dzień „przygotowawczy”.

– Właściwie to powinienem pani narzeczonemu odradzać ślub – powiedział,

gdy mijaliśmy kościół Na Skałce.

– No jak to?! – wyrwało mi się. – Ale dlaczego? Bo nie chodzę do kościoła... często? – To „często” dorzuciłam już w rozpacz.

– A, to jak to się mówi, że stół i nożyce, co? – Ksiądz Szczepan się uśmiechnął, nieobrażony moim trochę nieprzyjaznym tonem. – Nie, mnie to nie zraża, my sobie na razie o relacji z Bogiem mówimy, do kontaktów z jego wysłannikami to jeszcze dojdziemy. Zresztą jeden z nich tu właśnie jest... Mnie chodziło o ślub brany podczas żałoby, gdy są duże emocje. Człowiek w emocjach powinien dać sobie czas. I w tym czasie o niczym ważnym nie decydować. Bo on nie jest wtedy sobą. Te emocje muszą przez niego przejść, on je musi przerobić. I bywa, że z takich przeżyć człowiek wychodzi inny. Staszek pewnie też się trochę zmieni.

– Ale nie tak, żeby nie chcieć ślubu. – Nadal byłam poruszona.

– I ja myślę, że nie tak, dlatego jednak mu nie doradzam, by poczekał z sakramentem. My sobie o tym rozmawiamy. I o nim, znaczy o Staszku. Młodzi ludzie to teraz mają łatwo. Ja nie chcę uogólniać, to by mogło być krzywdzące dla tych, którym los się inaczej ułożył. Ale gdy tak sobie patrzę, u nas w kościele na przykład, to dla tych młodych największy kłopot, jak gości usadzić przy stole weselnym. Albo panny młode się wciąż oglądają, czy tren niezdeptany, czy makijaż się trzyma. Oni wchodzą w to wspólne życie, życia w ogóle nie znając. I potem, kiedy się zaczynają różne rzeczy wydarzać, a zawsze się wydarzają, gdy się problemy pojawiają, to jest wtedy prawdziwy test dla związku. I różnie go zdają, różnie... Coraz więcej osób się stara o unieważnienie ślubu... No a wy to z tej drugiej strony zaczynacie – już na starcie macie różne problemy, sprawy przeszłe, obowiązki. Można to traktować jak kulę u nogi, jak balast i starać się szybko zrzucić. A można jak doświadczenie, które pomoże wam we wspólnym życiu.

– A jak ma pomóc? – zapytałam, już nienasrożona.

– Doświadczenie, nawet takie, które boli, to zawsze szansa na rozwój.

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni?... – raczej zapytałam, niż stwierdziłam.

– E, co z tego, żeś żywy, skoro nie wiesz, po co ci to życie? Wzmocnić to się trzeba samemu. A gdy się człowiek sam wzmocni, to może wesprzeć tego drugiego czy tę drugą. Po to właśnie jest małżeństwo – żeby się wspierać, po równo.

– Ksiądz jest za równouprawnieniem. – Popatrzyłam z podziwem.

– A jestem. No, a wracając do tego wzmacniania i pani narzeczonego. On

najpierw sam musi przerobić to, co mu się teraz przez serce przewala, żeby potem być dla pani i z panią. Dlatego mówiłem, że się w takich sytuacjach zaleca odroczenie. Ale on sobie dobrze radzi.

– Nie wiem, czy tak do końca sobie radzi. – To nie było strategiczne zagranie, bo raczej przemawiało za odraczeniem, ksiądz Szczepan całym sobą zachęcał jednak do szczerości. – Dużo go to kosztuje, miota się. Czasem płacze z tęsknoty za ojcem, czasem go przeklnie.

– I tak ma być. Najważniejsze, że od tego nie ucieka. Bo nie można uciekać, on niedługo też będzie ojcem, będzie mężem. Ważne, żeby czuł w pani wsparcie.

– Czuje, na pewno. Wie, że go kocham – zapewniłam żarliwie.

– W to nie wątpię. Mnie chodzi o to, by to wsparcie było bezwarunkowe, no pomijając moralnie nieakceptowalne czyny, ale to przecież nie ten przypadek... I – to ważne – ja to zawsze powtarzałem młodym, gdy prowadziłem katechezy przedślubne: nie chcecie się zmieniać na siłę. Ani siebie wbrew sobie, ani tej drugiej osoby. Przecież chcecie być ze sobą właśnie dlatego, że jesteście tacy, jacy jesteście. No więc tak mówiłem, a potem i tak przychodzili i się żalili: „Bo, proszę księdza, ja myślałam/myślałem, że po ślubie ona/on się zmieni”. No ludzie! Tu i Bóg wam nie pomoże! Więc... Zaraz, zaraz, bo się trochę zgubiłem, chyba za daleko odeszliśmy.

– Do Starowiślniej – podpowiedziałam.

– A, to wiem, przecież znam te tereny jak własną kieszeń. W mówieniu się zgubiłem. A, już mam – bądźcie ze sobą i dla siebie. W mądry sposób. No, ale wy mądrzy jesteście, to wam się to uda. O, a tu, zaraz za rogiem, jest taka lodziarnia. Najlepsze lody w Krakowie, niektórzy to nawet na Polskę tę najlepszość rozciągają. Chodźmy, ja zapraszam. To moja słabość, taką można mieć.

Musiałam mieć naprawdę głupią minę, bo ksiądz dodał:

– Poziomkowe nawet mają.

Poziomkom nigdy nie odmawiałam.

Rozdział dziewiętnasty



Misiek był lekko sfatygowany, zapewne od częstego prania. Był też chyba wiekowy. Ciotka powiedziała, że przywiozła go Tyśce z pięć lat temu z Zakopanego. Znalazła go w jakimś second-handzie. „Taki inny od tych naszych sprzedawanych na Krupówkach. Jakby dostojniejszy”. Fakt – miś był bardzo brytyjski, mało góralski. Tyśka go pokochała, spała z nim, nawet jeszcze teraz. To znaczy teraz już nie, bo teraz miś siedział przy drewnianym krzyżu na grobie Mieczysława Skarłata.

Żeby dać Matyldzie możliwość pożegnania się z ojcem, za radą psycholożki z hospicjum Staszek poprosił ją, by napisała do niego list. Potem wspólnie zakleili kopertę, a Staszek schował ją do kieszeni marynarki, w której ich ojciec miał być pochowany. Już ten obrazek sprawił, że skapnęło mi kilka łez. A teraz płynęły nieprzerwanym strumykiem.

Dziecięca przytulanka pod krzyżem wetkniętym w kopiec ziemi. Wśród kwiatów, wstęg, zniczy.

Nie płakałam z powodu ojca Staszka. To znaczy nie tylko z jego powodu płakałam. Przestałam myśleć, że był zły i nie interesował się rodziną. To był kres jego drogi; gdzieś, kiedyś, wcześniej miał zwyczajne życie. Tak przecież pomyślałam, gdy podszedł do mnie pod Wawelem, by poprosić o piąta na alkohol, a ja nie miałam pojęcia, że to ojciec mojego ukochanego. A potem splot okoliczności sprawił, że zaczął się staczać. Bliscy stali się ofiarami tej sytuacji, ale on też był ofiarą. Ksiądz Szczepan miał rację – w każdej sytuacji, w każdym człowieku szukaj dobra. Szukanie zła będzie cię niszczyć.

Podobnie powiedziała babcia, ale, jak na razie, to szukanie dobra nie dotyczyło Jana Majewskiego. Może kiedyś.

Więc płakałam trochę z powodu mojego teścia-nieteścia, z powodu Staszka, którego los tak poturbował, z powodu Matyśki, która z pól sieroty stała się sierotą, a przecież była dzieckiem. I zawsze nim będzie w jakimś stopniu.

Tu też rozmowy z księdzem pomogły. „Niech się pani nie skupia na tym, że pani musi ją pokochać. Nawet na lubieniu niech się pani nie skupia. Najpierw to trzeba zaakceptować, jaka jest, a potem można próbować tymi wszystkimi uczuciami obdarzać”.

Anka, której opowiadałam o spotkaniach z księdzem Szczepanem, trochę mi chyba nie dowierzała. „Jak ksiądz Mateusz. Normalnie półświęty”. Jeśli chodziło o wygląd, to jak kulą w płot, ale rzeczywiście, ksiądz Szczepan był powołany do mądrego służenia ludziom.

Mama nie negocjowała wspaniałości księdza Szczepana, tylko twierdziła, że jest wyjątkiem, który potwierdza regułę.

Babcia zaś powiedziała, że chętnie się z nim spotka przed ślubem, by porozmawiać o tych intencjach. Zresztą w ogóle chętnie z nim rozmawia.

Babcia... Wyglądała tak dobrze. Mimo smutnych okoliczności, ciemnego ubrania, niedawnego pobytu w szpitalu. Nie wiem, jak pan Kazimierz wyglądał przed poznaniem babci, ale też z przyjemnością się na niego patrzyło. A na nich razem – och! Ciepło mi się robiło na sercu. Byli jak wykrojeni z jednego kawałka: czuli dla siebie, troskliwi, uważni.

Sam pogrzeb był, jak to pogrzeb, smutny. Przyszło dużo znajomych, sąsiadów, kilkoro z dalszej rodziny, bo bliższej, ciotki nie licząc, Skarłatowie nie mieli. Ksiądz oględnie powiedział, że „nasz brat Mieczysław przegrał z podstępą chorobą”. Słowa: „alkohol”, „nałóg”, „uzależnienie”, nie padły. A szkoda, bo wypatrzyłam kilku takich, którzy podobnie chorowali...

Po mszy przeszliśmy na pobliski cmentarz. Grób dziadków Staszka znajdował się w rogu. Obok, na wąskim kawałku ziemi między płytą a kamiennym ogrodzeniem, udało się wykopać dół – akurat na tę jedną trumnę.

A teraz, trzy dni później, ponownie przyszliśmy tu ze Staszkiem. Staszek zapalił nowy znicz i się pomodlił. Ja patrzyłam na miśka i cicho chlipałam.

– Sama już nie wiem dlaczego – wysiadałam, gdy mnie Staszek przytulił. – Tak po prostu. Ze smutku, może trochę z lęku.

– Przed czym?

– Żebyśmy dobrze przeżyli życie. Niczego nie zepsuli. – Popatrzyłam na

niego.

– Nie psujemy, naprawiamy – odparł Staszek. – Dosłownie i w przenośni. I dobrze nam idzie.

– Mama obiecała, że pomoże. – Wytarłam nos. Już o siódmej rano wysłała SMS, że wyjeżdża z Warszawy. Znając jej tempo, przed pierwszą tu będzie.

– Cieszę się, naprawdę ją polubiłem, choć jest, no... nietypowa. – Staszek się uśmiechnął. – Chodźmy. Mieliśmy jeszcze zrobić jakieś zakupy, a byłoby głupio, gdyby Dorota zastała zamknięte drzwi.

Wytarłam oczy. Jeszcze raz spojrzałam na miśka. Wzięłam kilka oddechów.

– No chodźmy – powtórzył cicho Staszek. – Życie nas woła.

* * *

Mama rzeczywiście dotarła do Witowa w ekspresowym tempie. Jakim cudem od kilkunastu lat nie zapłaciła żadnego mandatu za przekraczanie prędkości, nie miałam pojęcia. Tylko się z nami przywitała i od razu poszła na cmentarz. Staszek powiedział, że myśmy już byli, a ja powinnam sobie dawkować i wysiłek, i emocje, ale on ją zaprowadzi. Mama odmówiła, twierdząc, że woli być sama, wystarczy jej tylko wytłumaczyć, gdzie grób, i sobie poradzi.

Wróciła po półgodzinie. Widać było, że jest poruszona.

– No, to już teraz wiem, dlaczego nie chciałeś Klary ponownie tam zabierać. Powiem wam, że ten misiek mi złamał serce. Och!... Żałuję, że jeszcze nie poznałam twojej siostry. I ciotki. No ale nadrobimy to wszystko przecież. To teraz mnie oprowadźcie.

– Zaczniemy od domu. A resztę to może obejrzyjecie podczas spaceru? Trochę tego jest, a ja bym chciał dziś pójść ostro do przodu z robotą. Dziewczyny wracają za kilka dni, a za trzy tygodnie powinno tu być pięknie. Takie są podobno oczekiwania pańien młodych.

– E, ta już nie taka młoda. – Mama czule mi poczochnęła włosy, jak w dzieciństwie. – Wystarczy, że będzie po prostu ładnie.

– Dzięki, mam. – Przyczesalam się ręką, udając oburzenie.

– No żarcik. Ale na pewno będzie ładnie, zresztą ja wam w tym pomogę. A sukienkę to ty już masz? – zapytała nagle, zupełnie zmieniając temat.

– Nie mam. Ale to nie problem, bo przecież nie będę kupować w salonie, tylko w jakimś sklepie. Nawet się trochę rozglądałam, tylko nic mnie nie urzekło. Na początku sierpnia wracam do Krakowa i wtedy będę szukać.

– Wszystko na wariackich papierach. – Westchnęła mama. I dodała z uśmiechem: – I to mi się podoba.

* * *

Nie tylko ekspresowe tempo naszego ślubu podobało się mamie. Dom także. Każdy kąt, każdy mebel, każdy wręcz bał oglądała z entuzjazmem. „Piękne, naturalne, oryginalne, ach, ludowe” – wszystko znajdowało jej akceptację, jakby nie dostrzegała niedoróbek, zniszczeń, rzeczy do poprawek. Fakt, dom się trochę zmienił od śmierci ojca Staszka. Sporo uprzątnęliśmy, wynieśliśmy. Zdjęliśmy bure i brudne zasłony z okien, poplamione obrusy i dwa poprzecierane dywany też wylądowały w workach na śmieci. Przejaśniało, przetarło się. Staszek chciałby wyremontować łazienkę, bo tu nawet szorowanie niewiele dało, ale na taki wydatek nie mogliśmy sobie pozwolić. Wziął się więc na początek za szlifowanie blatów i szafek, żeby je odmalować. Były ciemnobrązowe i lepkie od tłuszczu, miały być – kremowe. I czyste. O naprawę dachu poprosił znajomego dekarza, on miał być pomocnikiem. W następnej kolejności na reperację czekały rynny i drewniane elementy na tarasie. Lista remontowa była oczywiście dużo dłuższa, ale to było niezbędne minimum. I nasze finansowe maksimum.

Staszek poszedł ze szlifierką do kuchni, a ja z mamą – na włości.

– I ten las też jest ich? – Mama ze zdumieniem ogarniała wzrokiem zielone strzeliste połacie.

– Tak. To znaczy którądy dokładnie przebiega granica działki, to nie wiem, ale to duży teren. Należał do rodziców mamy Staszka, oni jej go przekazali. Trochę ojciec sprzedał, kiedy już zupełnie zarzucił pracę, ale w dalszym ciągu to kawał ziemi. Mnie się najbardziej podoba ta łąka, która się rozciąga zaraz za domem. Z tyłu w ogrodzeniu jest nawet furтка, żeby nie trzeba było wychodzić główną bramą i potem iść wzdłuż płotu. U ciotki też podobnie, tyle że u niej to pasek w porównaniu z tym terenem. Nie dość, że tak ładnie lasem okolona, to jeszcze na wzniesieniu. Normalnie jak w Avonlea, zobacz.

– Rany! Wygląda jak te łąki kwietne, które się teraz zaczyna wysiewać w miastach.

– Tyle że tu nikt niczego nie wysiewa. Samo się tak robi.

– Pięknie. – Mama naprawdę była zachwycona.

– No! Zobacz, jaka tu różnorodność – i zioła, i trawy, i rośliny ozdobne.

Urozmaicona, zrównoważona kompozycja. Nie dałoby się tak równomiernie tego zrobić. Zresztą tu warunki są zdecydowanie lepsze. Ziemia żyzna, bo niedaleko rzeka, duże nasłonecznienie.

– A co się dzieje z tą ziemią? – zapytała mama.

– Ale w jakim sensie? – Nie rozumiałam.

– No, jak jest użytkowana?

– Nie jest właściwie. Nieużytek.

– Takie cudo nieużytkiem? – Mama zdębiała.

– Tak, rolniczo to chyba tak. To znaczy można by mieć jakiś pomysł na wykorzystanie, ale kto się miał tym zająć? Staszek nie, mama nie, ojciec – no nie...

– A teraz, kiedy sytuacja się zmieniła?

– Nie wiem. Niewiele czasu upłynęło przecież od śmierci taty Staszka. Najprościej byłoby to sprzedać, ale to trudna decyzja, tak emocjonalnie. To taki materialny łącznik z dzieciństwem, z lepszymi czasami. Jego miejsce. Może się na to zdecyduje, ale jeszcze nie teraz. Teraz za to trzeba zrobić te podstawowe naprawy, przed naszym wyjściem coś w gniazdku strzeliło...

– A gdyby to na wynajem przeznaczyć? Agroturystyka w górach? – Mama się ożywiła. – Miejsce na dziesięć gwiazdek.

– Niby tak, ale po pierwsze – pieniądze. To gigantyczna inwestycja, zupełnie poza naszymi możliwościami. A dwa – to uwiązanie. Musisz tu mieszkać i sama doglądać, inaczej to nie wypali.

– No nie wypali, pańskie oko musi konia tuczyć – zgodziła się mama. – Ale tu naprawdę jest cudnie! Chętnie bym tu pobyła, odpoczęła. I się wygrzała po tej mokrej Anglii. Brrr, jeszcze mnie w kościach łamie!

– Nic nie stoi na przeszkodzie. Teraz jeszcze trochę połowe warunki, ale gdy Stasio się przyłoży... Tylko widzisz, tu nawet ogrzewania nie ma. To znaczy piec jest, trzeba samemu palić. W drugiej połowie sierpnia pewnie już trzeba będzie grzać.

– Proste życie. W leśniczówce też nie było zdobyczy cywilizacji.

– A skoro już o tym mowa – spojrzałam na mamę – to jak ci teraz?

– Teraz? No dobrze, świetnie nawet. Miejsce śliczne – rozejrzała się dokoła – przede mną ślub córki, zięć wspaniały, babcia zdrowieje, dziadek niedługo przyjedzie. Super, naprawdę.

– Ale ja pytałam o życie prywatne. Także dobrze?

– A, że leśniczówka? – Mama teraz zrozumiała, skąd się pojawiło pytanie. –

Też dobrze, naprawdę.

- Przecież lubiłaś tam mieszkać, mówiłaś, że Warszawa już nie dla ciebie.
- To co innego. Nie będę z kimś tylko dlatego, że mieszka w pięknym miejscu. Zresztą już o tym rozmawialiśmy... Teraz mam taki etap. Świadomie.
- Wcześniej wciąż czegoś w życiu szukałaś...
- Nadal szukam. To znaczy rozglądam się. Ale na spokojnie. A skąd w ogóle takie rozmowy?... Może to stres przed ślubem, co?
- Nie. Nie mam żadnych wahań, jeśli o to ci chodzi. Kocham Staszka, jestem pewna tego wyboru. Po tych wszystkich wydarzeniach nawet bardziej. Nie dość, że jest taki fajny, przystojny, że chemia i... no wiesz... – Zacukałam się.
- Seks, no wiem – podsunęła usłudźnie mama.
- Właśnie, seks – potwierdziłam. Dlaczego ten wyraz nie chciał mi przejść przez gardło? Przecież to normalna sprawa. Międzyludzka. Ech, trochę starej Klary wciąż we mnie było. – No więc to wszystko, a do tego jeszcze jest dobrym człowiekiem.
- Dziadek również się taki wydaje. Emily to potwierdza. Widać, że bardzo go kocha. On ją zresztą też. Fajną musieli być rodziną, kiedy mieszkali razem.
- Ciekawe, jaką rodziną by byli z prababcią Emilią i babcią Elżbietą?... – zastanowiłam się. – Czy wszystko by było jak w bajce, czy życie by to zrewidowało?...
- Już się nie dowiemy. Ale wspomnienia babci z pamiętnika, te o dziadku – takie ładne...
- Równo osiemdziesiąt lat mija. Niedaleko stąd się wszystko zaczęło.
- Klara! – Mama nagle przystanąła, aż na nią wpadłam. – A może my pojedziemy do tego Poronina i poszukamy domu, w którym babcia mieszkała podczas wakacji? Nie masz ochoty? Staszкови zawadzamy, dziś ma brudną robotę. Potem mu oczywiście pomożemy posprzątać, ale dzień jeszcze długi. No, jak myślisz? Fajnie by było zobaczyć, gdzie się nasza historia zaczęła.

* * *

Pojechałyśmy. Z chęcią – obie, ale bez większej nadziei na sukces – ja. Jaka jest szansa, że po tylu latach ten dom tam stoi? A nawet jeśli, to jak przekonać właściciela, żeby nas wpuścił do środka?

Zakopianka rozkopana, tu zwężenia, tam poszerzenia, tu objazd, tam skrót. W trzydziestym dziewiątym musiało być sielsko, cicho i spokojnie. Teraz –

remontowy i wakacyjny rozgardiasz.

Ja bym pewnie pojeździła, pochodziła, trochę pomarudziła, niczego nie znalazła i wróciła do Witowa.

Ale nie mama – mama miała ducha walki.

Najpierw poszła do sklepu spożywczego, za ladą była jednak bardzo młoda dziewczyna, na dodatek spod Nowego Targu, więc nie potrafiła nam pomóc. Właścicielka, w wieku mamy, też nie miała pojęcia, gdzie mógłby stać dom z opisu, ale odesłała nas do swojej teściowej. „Stąd jest, oni stąd od zawsze”. Wyszukałam adres na mapie w komórce i poszliśmy.

Dom prezentował się obiecująco – z drewnianych bali, stary. Gospodyni również wyglądała jak przeniesiona z dawniejszych czasów: w obszernej spódnicy, koralach na szyi i z włosami zebranymi w mały koczek.

– Kasia? Znaczy Katarzyna? I córka Maria? Zaraz, to chyba będą Gocałowie. A, nie, one za młode, to w latach sześćdziesiątych było, a tu pani mówi, że sprzed wojny. A takich domów, co się ostały z tamtych czasów, to nie aż tak dużo. Nasz, ale to nie u nas. Dwa, nie – trzy, to po drugiej stronie drogi, jeden tu obok, ale to na pewno nie ten, bo ja ich dobrze znam. Jeszcze jeden na górze, podejść będziecie musiały, przez mostek, to się wrócić trzeba...

– O! – przypomniało mi się. – A jakiś blisko rzeki? Bo ten, którego szukamy, to gdzieś niedaleko wody stał.

– Niedaleko? – Góralka się zamyśliła. – Nic mi do głowy nie przychodzi, żaden dom. Chyba że – nagle się ożywiła – Cicha Woda. Ale teraz to nie dom, znaczy nie rodzinny, tylko pensjonat. Stolarczykowie tam mieszkali, on sam został, jeden tylko, Jasiak, w takiej dużej chałupie. Po jego śmierci przez rok stała pusta, a potem kupili jacyś, z Wieliczki chyba, wyremontowali i teraz gości przyjmują. Idźcie zobaczyć, bo jak nie tam, to już nie wiem.

Poszliśmy. Cicha Woda wyglądała bardzo ładnie. Stary, okazały dom na środku sporej działki, z pięknym gankiem, przed nim plac z roslymi sosnami, po prawej jakieś zbudowania gospodarskie, teraz przerobione na garaż, magazyn lub coś w tym stylu, a po lewej – nowy budynek z pokojami.

Nad gankiem, na drewnianej tablicy, wryto nazwę: Cicha Woda. Weszliśmy do środka. Leciała góralska muzyka, rzewne skrzypce. Ładna. Wystrój był tradycyjny – dużo drewna, zasłony w kwiaty, ludowa ornamentyka, przyjemnie. Po prawej zamknięte drzwi, po lewej – widok na salę, chyba jadalnię, bo zauważyłam stoliki. Na wprost – recepcja.

Podeszliśmy do kontuaru – nikogo. Mama nacisnęła przycisk na blacie.

Gdzieś w oddali rozległo się brzęczenie, a po chwili z ciemności zaplecza wyszła do nas korpulentna pięćdziesięciolatka w kolorowej sukience.

– Dzień dobry! W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Szukamy właścicieli – odparła mama.

– No, to jestem. Anna Jurewicz.

– Miło nam. Ja jestem Dorota, to moja córka Klara. Obie Majewskie. Przed wojną moja babcia jeździła do Poronina na wakacje. Gdzieś niedaleko rzeki wynajmowała razem z matką pokój u gaździny, która miała na imię Katarzyna. Tyle wiemy. Wiemy też, że gaździna miała córkę Marię, która w trzydziestym dziewiątym wzięła ślub. I właśnie na tym ślubie moja babcia poznała dziadka, dlatego podążamy tym śladem.

– A dziadek stąd? – Właścicielka dała się wciągnąć w naszą rodzinną opowieść.

– Nie. Z Jabłonki. Młoda para potem się tam wyprowadziła.

– Tak daleko to ja nie znam historii tego budynku. Przez ostatnie lata mieszkał tu samotny starszy pan, po jego śmierci rodzina postanowiła sprzedać dom. I, choć to może być przypadek, sprzedający był z Jabłonki właśnie. Nazwisko musiałabym sprawdzić w akcie, bo nie pamiętam.

Aż mi coś w środku zawirowało. Tak, to mógł być przypadek, choć ostatnie przypadki w moim życiu nie były przypadkowe.

– Tu mieszkał dziadek tego sprzedającego pana, który przepisał na niego majątek. Przenieść się nie chciał – ciągnęła pani Jurewicz – chciał dożyć swoich dni, jak to podobno mówił, „na ojcowiznie”. A kiedy umarł, to rodzina uznała, że po nic im te budynki, wszyscy mają gdzie mieszkać, w nowych, eleganckich, a tu... Przez wiele lat nikt niczego nie remontował. Trochę się umordowaliśmy z pracami, bo nam zależało na oryginalnym klimacie, choć może prościej by było zburzyć i od zera stawiać. Ale jakoś poszło.

– Bardzo ładnie jest – pochwaliłam.

– Cieszę się. – Pani Jurewicz pokraśniała. – Bo naprawdę się napracowaliśmy. Dużo sami robiliśmy, trudno było znaleźć ekipę do drobnych rzeczy. Kto by się teraz bawił w szlifowania, przecierki, detale... Zresztą mogę pokazać, jak było, bo mam trochę zdjęć. Proszę poczekać. – I zniknęła na zapleczu.

Wróciła z kartonowym pudełkiem po butach. Starym, z jakąś wytartą papierową metką z boku.

– W dużym pokoju w kredensie było. Bo oni, znaczy wnuk, niewiele zabrali, jakieś drobne pamiątki po dziadku, głównie papiery. Meble i różności zostały.

I wiele wykorzystaliśmy. – Pokazała ręką dokoła.

Rzeczywiście, niektóre sprzęty i ozdoby wyglądały na stare, na ścianach były zupełnie niewspółczesne obrazki i zdjęcia.

– Tego pudełka też nie chcieli. Mieli swoje albumy, ponoć już wybrali, co potrzebowali. Z tymi mogłam zrobić, co chciałam, no to zostawiłam. Trochę mi się to wydało dziwne, że im nie zależy, no ale może naprawdę już mieli wystarczająco dużo. A może po prostu inna wrażliwość. Bo ja jak sobie pomyślę, że moja córka by miała tak obcym ludziom moje prywatne rzeczy zostawić, to... No ale tyle jej poświęciłam, a jedną ją mam, to liczę, że się odwdzięczy, prawda?

– Prawda – przytaknęła mama. I wyglądała przekonująco, choć wiedziałam, że nie mówi tego szczerze. Bo mama zawsze powtarzała, że „nie chce nikomu robić kłopotu”, „żadnej czerni”, „po prostu mnie spał i rozsyp w pięknym miejscu”. Mama generalnie nie lubiła starć i scysji, stąd pomysł bezproblemowego zniknięcia z tego świata, a wcześniej – nieabsorbowania nikogo swoją starością. I potakiwania – przecież nie chciała mieć wroga w pani Jurewicz. – Możemy obejrzeć? – Mama wyciągnęła rękę po pudełko. – Zamówiłybyśmy herbatę i jakieś ciasto i byśmy sobie posiedziały przy stoliku w tamtej sali. Jak już mówiłam, my teraz jesteśmy na etapie odnajdywania korzeni rodzinnych. Zaczęło się od pamiętnika prababci, która jeździła do Poronina na wakacje. I tu poszła na wesele, do córki swojej gaździny, gdzie poznała pewnego bardzo przystojnego górala, zresztą właśnie z Jabłonki. No a Klarunia za miesiąc wychodzi za mąż. I też za górala, z Witowa...

Pani Jurewicz może nie do końca się łapała w tych zależnościach, ale chyba wydałyśmy się jej uczciwe, a nasza historia – interesująca.

– No pewnie. A może kwaśnicę najpierw? To już pora obiadu. – Właścicielka Cichej Wody z pewnością była osobą, która panuje nad godzinami posiłków i żadnego nie opuszcza. I nie zamierza wypuścić z rąk potencjalnych klientek.

– Jasne – zgodziła się mama. – Więcej czasu będziemy mieć. – Delikatnie potrząsnęła pudełkiem.

Usiadłyśmy w jadalni.

– Wciągnęłaś się w te poszukiwania – zauważyłam. – I masz dar przekonywania – dodałam z podziwem.

– No. Nawet żeberko w kwaśnicy jakoś zniosę. A pewnie i kiełbasę. Biedne świnki. – Westchnęła mama. – Oby było warto. – Zdjęła pokrywkę pudełka.

W środku było mnóstwo zdjęć. Mniejszych niż współczesne, nawet te

o skromnym formacie dziewięć na trzynaście.

Trudno było odróżnić, kiedy je zrobiono, bo wnętrza domu właściwie się nie zmieniały. Ludzie – trochę. Większość fotek została pstryknięta podczas jakichś uroczystości, bo ich uczestnicy albo byli ubrani wyjściowo – w garnitury, koszule, żakiety, albo na ludowo. Ot tak po prostu wtedy nie fotografowano.

Na jednym zdjęciu był pokój, w którym teraz siedziałyśmy. Stoły zestawione ze sobą, ponakrywane białymi obrusami, dokoła ustawione drewniane ławki. U sufitu podwieszono ozdoby, chyba z papieru. Nie, raczej z bibuły. Babcia pisała o podobnej dekoracji na ślub Marysi. To nie mogła być ta uroczystość, nikt przecież wtedy z aparatem po izbach nie biegał, ale miejsce chyba to samo. Próbowałam sobie przypomnieć opis z pamiętnika: niski strop, ustrojone belki u powały, nieduże okna, przez które było widać przestronne podwórko i drzewa – jak teraz. Ganek, na którym gaździna z mężem czekała na zięcia – ganek również był, piękny, z dachem krytym gontem i ażurowymi ozdobami. Tak go sobie wyobrażałam, kiedy czytałam pamiętnik.

– Mamo, to chyba ten dom – powiedziałam, patrząc na rodzicielkę, która przekładała kolejne czarno-białe kartoniki.

– Też mi się tak wydaje. Opis pasuje, woda z tyłu pasuje, swoją drogą wcale nie jest cicha, nawet teraz słyhać, jak się przewala.

– Można przywyknąć – usłyszałyśmy głos pani Jurewicz. Szła, niosąc tacę z parującą kwaśnicą. – A śpi się rewelacyjnie. Zapraszam kiedyś sprawdzić. Choć skoro narzeczony z Witowa jest, to miejscówki nie szukacie.

– Nie. Właśnie remontujemy dom. Także stary i drewniany. Na obiad weselny ma być gotowy. – Mama nie miała żadnego problemu z opowiadaniem o swoim życiu. Właściwie – o moim życiu.

– A, no tak. – Gospodyni postawiła przed nami zupy i koszyk z chlebem. – To jeszcze czegoś pójde poszukać.

I znowu zostałyśmy same.

Kiedy zjadłam swoją porcję, wstałam od stołu i zaczęłam się przechadzać wśród stolików. Chyba musieli połączyć dwie izby, bo sala była spora. Czy to tu prababcia Emilia poznała pradziadka? To tutaj się wszystko zaczęło?

– Szarlotka dla pań. – Deser przyniosła jakaś młoda dziewczyna w fartuszkach, najpewniej córka gospodyni, bo była podobna z figury i uśmiechu. – Same pieczemy. A zupa smakowała? – zapytała, zabierając talerze.

Pytanie było retoryczne, bo w obu zastawach widać było dno. I ogryzione żeberka.

– Bardzo – rozanieliła się mama.

Na finiszu deseru, który sztuką kulinarną przewyższył kwaśnicę, w jadalni pojawiła się pani Jurewicz.

– O. Właśnie o to mi chodziło. – Siadła koło nas z głośnym klapnięciem i położyła na stole jakiś pakunek, który wyglądał jak serwetka. Haftowana serwetka.

– Trochę przyżółcona, ale to z wieku, bo prana dwa razy. – Pani Jurewicz rozłożyła materiał, który okazał się makatką. Na płótnie wyhaftowano obrazek – młoda dziewczyna przy piecu, dokoła dużo garnków, jakieś przybory kuchenne. Nad nią girlanda kwiatów i serduszka. – A z tyłu data. – Odwróciła materiał i pokazała palcem na wyszyty niebieską nitką rok – 1939. – Wisiało w kuchni, tam, gdzie i my teraz mamy kuchnię, ale po gruntownym remoncie. Sanepid i te sprawy, nic tam być na ścianach nie może. W sali już mamy inne obrazki, na szkle, i stare zdjęcia, więc nie bardzo by do nich pasowała. No to uprana i schowana do szuflady. Zamówimy jej ramkę drewnianą i za szkło wstawimy, żeby się nie brudziła, bo intensywne pranie jej nie służy. I pomyślimy, gdzie powiesić. Fajna jest, pamiątkowa. Teściowa mi powiedziała, że to ślubna makatka, taką panna młoda wyszywała. Jedna dla domu rodzinnego, druga – do nowego.

Spodobała mi się ta makatka, bardzo. Wyglądała naprawdę ładnie – drobnie utkany haft tworzył śliczny obrazek. Dziewczyna na nim miała w sobie jakąś delikatność, która raczej się kojarzyła z panienką z miasta. Od razu sobie wyobraziłam, że to prababcia Emilia posłużyła Marysi za pierwowzór. Och, ale byłoby fajnie ją mieć – taka pamiątka! No i lubiłam ludowe rzeczy. Na Wiślniej wyglądałyby świetnie. A w odnowionej kuchni w Witowie – jeszcze ładniej.

Pani Jurewicz patrzyła na mnie, a ja utknęłam. Bałam się zapytać, czyby mi jej nie sprzedała, bo nie wiadomo, ile by sobie zażyczyła. A może poczułaby się obrażona taką propozycją?

– Pyszna szarlotka. – Mama oblizała widelczyk. No cóż, zawsze była łasuchem. „Mogłaby się jednak włączyć w dyskusję i jakoś mnie wspomóc, zamiast się roztkliwiać nad jedzeniem”, pomyślałam. Byłam trochę zła, choć tak naprawdę bardziej na siebie, że brakuje mi łatwości zagadywania do ludzi. – A tak sobie myślę, może pani też torty piecze? Na przykład taki, który by pasował na przyjęcie weselne? Żadne huczne imprezy, bo niedawno był pogrzeb w rodzinie, po prostu obiad. Ale tort powinien być. – Mama utkwiała oczy we właściciela.

Jęknęłam w duchu, bo to był zbyteczny wydatek – Jadzia i ciotka się zadeklarowały do prac kuchennych, na pewno wystarczy, w końcu gości będzie niewiele.

– Piekę, no oczywiście! Wszystko z Anetką robimy. Pytanie tylko o wielkość, smak, składniki, bo od tego i cena zależy... – Pani Jurewicz spojrzała pytająco na mamę.

– Dogadamy się, na pewno. – Mama uśmiechnęła się jak kot z Cheshire. Tym razem to ona miała taki wyraz twarzy jak Jadzia, kiedy coś knuła. – Ale tort musi być z bonusem – tą makatką.

Wracałyśmy do domu ze ślubną haftowaną starannie owiniętą w papier i zamówieniem na tort. Poziomkowy.

Rozdział dwudziesty



Pani Klaro!

Wiem, że nie znamy się zbyt dobrze. Właściwie to nie znamy się wcale, nie licząc tego jednego spotkania, kiedy przekazałam Pani znaleziony w schowku list. Nie przeczytałam go, bo przecież nie był do mnie zaadresowany. Nie znaczy to wcale, że nie jestem ciekawa jego treści. Jestem, i to jak! Od razu byłam, a od czasu naszej wspólnej herbaty na Wiślniej często myślę o tej sprawie – kobiecie, która mieszkała w naszym domu (przy okazji – remont się posuwa i nawet widzę światło w tunelu; wreszcie, po tylu miesiącach! O naiwni ci, którzy marzą o sielskim siedlisku pod miastem i potem muszą własnymi rękami wcielać te marzenia w życie), i o tym, co Pani powiedziała – że to ma związek z historią miłosną Pani prababci. Ta tajemnicza sprawa nie chce mi wcale wyjść z głowy! Wyobrażam sobie różne romantyczne i dramatyczne zwroty akcji, ale to wszystko jest niewystarczające – ja po prostu bardzo bym chciała wiedzieć więcej, a przede wszystkim: czy to był dobry list, czy zły? Tajemnica radosna czy dramatyczna? Jakim się okazałam posłańcem? Od razu zastrzegam, że nie chodzi mi o szczegóły, mimo ciekawości, która mnie zżera, nie odważyłabym się na takie pytanie. Krzysiek, mój mąż, twierdzi, że pisanie do Pani to w ogóle przesada, po prostu wchodzenie z butami w czyjeś życie. Nie zgadzam się z nim, to męski punkt widzenia. Kobięcy jest odmienny: nie ma nic złego w życzliwej ciekawości. Bo ja jestem niezmiernie życzliwa. Zresztą podczas naszego spotkania miałam poczucie porozumienia, wydaje mi się, że się, że tak to ujmę – wstępnie polubiłyśmy, a mogłybyśmy się polubić jeszcze bardziej, gdybyśmy się

lepiej poznały.

Jeśli nie wydałam się Pani kompletną wariatką, to bardzo proszę o wiadomość – na dole wpisuję adres i telefon.

A ten woreczek to prezent na początek – mam ogromną nadzieję! – dobrej znajomości. Własnoręcznie uszyty i wyhaftowany. Chętnie bym sprezentowała coś większego, ale do tego potrzebne jest zdjęcie miary – tak, tak, kuszę, by się spotkać. Len jest cudowny!

Z nadzieją na kontakt i serdecznymi pozdrowieniami

Ewa Makowska

Gdybym dostała podobny list rok czy nawet jeszcze pół roku temu, tobym pomyślała, że tak, to jest wariatka. No, w najlepszym razie ktoś na bakier z manierami i bez hamulców społecznych. A teraz... Teraz myślałam, że to rzeczywiście bardzo ludzkie: no dobrze – kobiece – tak się interesować tajemniczą historią. Sama jej wtedy powiedziałam, bo tak mi się wydawało, że to najprawdopodobniej wątek miłosny sprzed lat. Kulą w płot, niestety. Biedna, biedna Różia... To nie była opowieść przeznaczona dla postronnych osób. Ja musiałabym się obnażyć – no dobrze, przodków się nie wybiera, to nie moja wina, że Jan Majewski był takim zimnokrwistym draniem – a ona musiałaby wysłuchać historii, na którą wcale nie jest przygotowana. Żadnej z nas nic dobrego by to nie przyniosło. Jednocześnie ja również ją polubiłam. Wydała mi się sympatyczna. Lekko zakręcona, ale pozytywnie, też lubiła stare klimaty, również własnoręcznie odnawiała dom, fajnie się ubierała i – co mogłam teraz zaobserwować, trzymając woreczek w ręku – ma talent do szycia i haftowania.

– Co tam? – Mama energicznie weszła na ganek, aż deski zaskrzypiały.

– Rany, mamo, ty ostrzegaj, że się zbliżasz! – Podskoczyłam. Zupełnie się wyłączyłam z rzeczywistości.

– No przecież mnie widać! Idę sobie od furki i wcale się nie chowam. I nie chodzę w zieleni, tak jak ty, żebyś się zlewała z trawą.

Rzeczywiście, energetyczny pomarańcz T-shirtu mamy na pewno było widać z daleka. Ale ja też byłam daleko, nie ciałem, ale duchem.

– Stało się coś? – Mama przyjrzała mi się uważnie.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Pamiętasz tę kobietę, która przywiozła list ze Stróży?

– Tak, to znaczy, pamiętam, że o niej opowiadałaś. Że kupili dom, w którym

Różia mieszkała, a ona znalazła kopertę z adresem babci, więc ją przywiozła, żeby mieć pewność, że trafi we właściwe ręce. Sama bym tak zrobiła. Dobry uczynek, ale i ciekawość.

– Właśnie – potwierdziłam. – Ciekawość. Staszek przed odebraniem dziewczyn wpadł na Wiślną podlać kwiaty. I znalazł list w skrzynce, właśnie od niej. Napisała, dopytując o dalsze losy tej tajemniczej historii.

– Właściwie to o wcześniejsze – sprecyzowała mama – bo list dotyczył tego, co się już wydarzyło, dawno temu. I nie ma po co do tego wracać.

– Nie ma. Ale tego jej nie napiszę, bo to by gburowato zabrzmiało. Jakoś jednak bym chciała odpowiedzieć.

– Powiedz prawdę, tyle że oględną. Że pradziadek krzywdził ludzi, ale, jak się okazuje, siła dobra mocniejsza, bo niedługo się wszyscy spotkamy na twoim ślubie. Czy jakoś tak, bez zdradzania szczegółów... A to co? Jakie śliczne! – Mama sięgnęła po lniany woreczek.

– Od tej Ewy właśnie. Mówiłam ci, że szyje z lnu.

– No, mówiłaś, ale jakoś sobie wtedy inaczej to wyobrażałam. W stylu worki czy siatki, jakaś masówka. A to jest bardzo ładne, widać, że ręczna robota. Naprawdę małe cudencko. – Mama przyglądała się woreczkowi. – I te zioła jak ładnie wyhaftowane! I obszycia, i sznureczek.

– Ciuchy też szyje. Zresztą wtedy właśnie była u mnie ubrana w len. I bardzo ładnie wyglądała. Tak oryginalnie, zwracając uwagę, ale nie szokująco, tylko z klasą.

– No to mam! – Tym razem również nie byłam przygotowana na żaden gwałtowny dźwięk. Mama stała tuż obok, więc dlaczego musiała tak krzyknąć? – Aleś przewrażliwiona! – Pokręciła głową.

– A ty za energiczna, mamó. – Westchnęłam.

– Bo tylko tacy pchają świat do przodu. – Błysnęła zębami w uśmiechu.

– No i dokąd go teraz popchnęłaś? – zapytałam zrezygnowana.

– Do twojej sukni ślubnej! – Mama zatriumfowała.

– A mogłabyś jaśniej? – Nic nie rozumiałam.

– No przecież mówię jasno. – Pomachała mi woreczkiem przed nosem. – Zobacz, jakie to jest piękne!

– Jest. Tyle że wiele takich woreczków bym potrzebowała, żeby sobie suknię pozszywać. I choć lubię patchworki, to jako stylizacja ślubna średnio mi się widzą. – Byłam głodna, więc lekko zła. I było mi gorąco, bo żar nie odpuszczał. I wciąż nie rozumiałam, do czego mama zmierza. Słowem – zirykowałam się.

– O, humory ciężarnych. – Mama wzięła to na wesoło. – Poproś tę Ewę, żeby ci uszyła suknię. Skoro to potrafi – znowu mi machnęła woreczkiem przed nosem – a do tego szyje ciuchy i jeszcze chciałyby się spotkać – no to po prostu los ci podsuwa rozwiązanie!

– Czy ja wiem... – Zawahałam się. – Słabo ją znam. I tak od razu do interesów przechodzić...

– No to ją poznasz lepiej, co za problem. W końcu sama wysunęła taką propozycję. A interes macie wspólny – ty będziesz miała sukienkę na ślub, ona – klientkę.

– Ale czy zdąży? Ma niecałe trzy tygodnie.

– No to ci powie, że nie, i po sprawie. I pójdziesz sobie kupić coś gotowego. No, w czym rzecz, bo widzę, że jakoś nie masz przekonania? – Mama przyjrzała mi się bacznie.

Fakt, jakoś nie miałam przekonania.

– Bo raz, że to pewnie sporo kasy będzie kosztowało, a tu tyle potrzeb, dwa, że będę musiała jechać, zostawiając Staszka samego z pracą i z siostrą... A, właśnie, mam, jak twoje rozmowy z Matyldą i ciotką?

Staszek rano pojechał do Krakowa odebrać Tylkę i ciotkę, które właśnie zakończyły turnus wakacyjny. Z esemesowej relacji Jadzi wiedziałam, że wszystko jest dobrze, Matylda była zachwycona morzem, ciotka – warunkami. A teraz wróciły do Witowa, do rzeczywistości, która niebawem miała się zmienić.

– Dobrze. – Mama usiadła na najwyższym stopniu ganku. – Matylda jest niezwykle sympatyczna. Od razu mi pokazała swój pokój, swoje rysunki. Było jej chyba przykro, że nie wiedziała, że tu będę, i nie ma dla mnie prezentu. Chciała mi oddać swoją bransoletkę z bursztynu.

– Tak. – Kiwnęłam głową. – Ona ma serce na dłoni. I jest pogodna.

– Niechcący chyba ją wpędziłam w gorszy nastrój. – Westchnęła mama. – Bo oczywiście zaczęła mnie wypytywać o różne sprawy, kiedy wy poszliście tutaj, a ja jeszcze z nimi zostałam. Widać było, że układa sobie wszystko w głowie. Wie, że jestem twoją mamą, ale zapytała o ojca.

– Rany – jęknęłam. – Trudno o gorsze pytanie. Znaczący pytanie jest neutralne, ale odpowiedź... No nie obraż się, mam...

Mama nie wyglądała na obrażoną.

– Odpowiedź nie jest standardowa. Ale, jeśli się pominie pewne szczegóły, to na końcu i tak jest fakt, że twój ojciec nie żyje. I tak powiedziałam, co ja

zasmuciło. I wtedy ja, zupełnie bezmyślnie, wybaczyć starej, odparłam, że to przykre, owszem, ale że masz mamę i to jest super. I wtedy ona – mamie się załamał lekko głos – powiedziała, że nie ma mamy i to jest bardzo smutne. No. – Mama odchrząknęła, ocierając oko.

– Oj, no przecież nie chciałaś – pocieszyłam ją. Siadłam obok i przytuliłam się.

– Pewnie, że nie chciałam. Po prostu palnęłam jak głupia. Strasznie mi się jej żal zrobiło. Zamilkła i jakby się, ja wiem... skurczyła? Wcisnęła głowę w ramiona, zaczęła skubać brzeg spódnicy, a potem wstała i poszła rysować. Nie wiedziałam, co zrobić, więc tylko podeszłam i ją pogłaskałam po plecach. Akurat ciotka zajrzała, a ja potraktowałam to jako pretekst do wyjścia z jej pokoju. Poszłyśmy do kuchni, żeby porozmawiać. Bardzo sympatyczna kobieta, ale widać, że mimo tego wypoczynku – zmęczona. Sama mi to zresztą powiedziała: „Ja to już raczej jak babcia, nie jak matka”.

– Jest kilkanaście lat starsza od mamy Staszka – przytaknęłam. – O, i widzisz, tak tu jest, a ja mam jechać i szyć sobie sukienkę.

– No pewnie! – Mama już się otrząsnęła ze smutku. Wstała i podała mi rękę. – Idź, dzwoń do tej pani Ewy i się umawiajcie. Stróża nie tak daleko. Dam ci samochód, półtorej godziny i jesteś. A ja tu zostanę i postaram się nikogo więcej nie zasmuć. No idź, idź, zatrojku. – To ostatnie dodała takim tonem, jak w pierwszej klasie na rozpoczęciu roku, kiedy stałam przy niej, nie potrafiąc się przemóc i dołączyć do gwarne go tłumu innych dzieciaków.

Tak, super jest mieć mamę.

Rozdział dwudziesty pierwszy



Większość znanych mi ludzi przygotowuje sobie na czas jazdy coś do słuchania – muzykę, audiobooki, w ostateczności włącza radio. Ja też tak robiłam, kiedy podróżowaliśmy z Pawłem. Dziś jechałam w ciszy.

Pani Ewa bardzo się ucieszyła, że oddzwaniem. Najpierw to ona przepraszała, że tak mnie „być może nagabuje”, potem ja się tłumaczyłam, że nasza historia rodzinna ma mroczne wątki i akurat z takim wątkiem jest związany list, który u siebie znalazła, ale jest i dużo jasnych stron, o których jej mogę opowiedzieć. I opowiedziałam, kończąc na naszym ślubie. To znaczy prawie kończąc, bo zapytałam jeszcze, dla świętego spokoju, o sukienkę. „Fantastycznie, genialny pomysł! Nigdy nie szłam na taką okazję, ale niech pani przyjedzie, spróbujemy”.

Rozsądniejszą pannę młodą taka deklaracja pewnie by speszyła. Ja już jednak kiedyś byłam rozsądną panną młodą i nic dobrego z tego nie wyszło.

Nad tym również rozmyślałam, mijając kolejne miejscowości, lasy, pola, wzniesienia.

Kiedy byłam bardziej rozsądna? Wtedy, gdy planowałam ślub z Pawłem, czy potem, wyobrażając sobie życie u boku Staszka, o którym najpierw nie wiedziałam nic, a później – że jego życie jest utkane z problemów i kłopotów? A pomiędzy odrzucając awanse przystojnego i bogatego Maćka?

A z pracą byłam rozsądna? Przyszła kariera w firmie biotechnologicznej, za którą by poszły pieniądze, wyjazdy, wyzwania? Czy staroświecka apteka, w której na zapleczu się uciera leki recepturowe?

Dziecko... Z Pawłem przegadane, że teraz – bardzo długo to „teraz” trwało – nie, za to w mniej więcej rok po ślubie – tak. Ze Staszkiem... cóż, dwie kreski na teście wyprzedziły nasze ewentualne rozmowy.

Gdyby sprawy się potoczyły inaczej, byłabym dziś w zupełnie innym miejscu, z innymi ludźmi. Ostatnio znowu często myślałam o *Przypadku* Kiesłowskiego. Jedno przestawienie zwrotnicy i los biegnie innym torem. Za pierwszym razem to nie ja podjęłam decyzję, że chcę być porzuconą narzeczoną. Potem jednak to były moje wybory.

Równie fascynujące były zmiany dokoła mnie. Zupełnie jakby ten mój los był kołem zębatym, które, zahaczając o inne koła wspólnego mechanizmu, wprawiało je w ruch.

Babcia w Olkuszu. Zmiana jak przewrót kopernikański! Czy byłoby tak samo, gdyby nie moja rewolucja życiowa? Czy babcia by wyszła ze swojej skorupy? Teraz się mówi: „strefa komfortu”. „Pieprzenie o Szopenie”, mówi na to Anka. „To jak z jelitem drażliwym. Jak kogoś ciągle boli brzuch, кишки mu się wywracają, biega co chwilę do toalety albo wręcz przeciwnie, to go lekarz informuje, że jego jelito jest drażliwe, a tak naprawdę to nie wie, co się pod tymi dolegliwościami kryje, skąd one. Nie da się wyjaśnić – to do wra z jedną etykietką. Ze strefą komfortu to samo – człowiek się otorbi w swoim życiu, takie życie już zna, więc nie chce innego. A czy mu w nim naprawdę dobrze? Nie sprawdzi, najlepsze nieznanne widać gorsze od złego obłąskawionego”. Co do jelit, to mogłam się zgodzić. Wielu pacjentów pytało o coś na „drażliwe jelita” (niektórzy mówili: „wrażliwe” lub „rozdrażnione”, co mnie rozczulało, bo intuicyjnie dobrze oddawało istotę problemu) i machnięciem ręki zbywali sugestią, żeby poszukać dalej, dokładniej. „E tam, byłam, byłem, badałam, badałem się i tyle tego. Drażliwe podobno”. Ze strefą komfortu może być podobnie – można pomylić przyzwyczajenie z prawdziwym dobrostanem.

Może Majewskie właśnie opuszczały swoje „komfortowe” strefy i wkraczały na nowe, obiecujące obszary?... Ja i babcia – tak, wszystko na to wskazywało. A mama?

No właśnie, mama.

Mama też dokonywała w swoim życiu zmian, tylko jakby w drugą stronę. Rozstała się z wieloletnim partnerem, mimo że w ich związku nie wydarzyło się nic spektakularnie złego. Wróciła do Warszawy, potem na dłużej zatrzymała się w Anglii, u dziadka, a teraz jest w Witowie. Na horyzoncie żadnego faceta, a mama zdaje się wcale go nie szukać. Jakby nagle przestało jej zależeć na życiu

osobistym. A może jednak coś się pod tym kryje? Choć zarazem mama naprawdę dobrze wyglądała i chyba tak się czuła.

O rany, no i przejechałam! Spojrzałam na nawigację w komórce. Tak, obiekt docelowy został sto metrów za mną, po lewej. Wyłączyłam dźwięk, bo mnie denerwowały te ciągłe komunikaty i pikania. No to się dopikałam.

Ulica była tak wąska, że z trudem zawróciłam, pilnując, by nie zjechać ze skarpy do rowu. Numer osiemnasty powitał mnie otwartą bramą i podjazdem jak skocznia. Nie mam pojęcia, jak właściciele wjeżdżali do garażu zimą – tu musiało być jak na górze saneczkowej, o ile ktoś w ogóle odśnieżył tor.

Zaciągnęłam ręczny, wyłączyłam silnik i weszłam przez otwartą bramę.

Za górką pojawił się dom. I ogród. Przepiękne! Z opisu pani Ewy wywnioskowałam, że mieszkają w jakiejś ruderze, chatce baby jagi, na placu budowy albo w równie nieprzyjemnych okolicznościach. Tymczasem tu było po prostu bajkowo.

Dom był nieduży, drewniany, z czerwonym dachem i czerwonymi okienicami. Z parapetów zwieszały się pelargonie, jedna ściana była obrosnięta różą pnącą. Dokoła i przez ogród biegły ścieżki wytyczone z otoczków, starannie ułożonych w ziemi. Trawa była zieleńsza od mojej sukienki, rabaty z kwiatami kolorowe, a z tyłu dostrzegłam sad. Obrazek jak z katalogu ogrodniczego.

– Dzień dobry! – Pani Ewa pojawiła się w drzwiach. – Bez problemu pani trafiła?

Bardzo pasowała do ogrodu. Miała na sobie lnianą sukienkę w pastelowym różu, bardzo ładną – z dopasowaną górą, podkreślająca talię. I niezbyt długą, trafnie, jeśli ma się takie nogi. Do tego skórzane sandały z mnóstwem rzemyków oplatających szczupłą kostkę. Była delikatnie, karmelowo opalona. Drugie uklucie zazdrości; lekkie, ale odczuwalne. Idealna kobieta w idealnym domu.

– Dzień dobry! – odpowiedziałam. – Tak, żadnego problemu. – Nie będę się przecież obnażała z tym, że jestem taka nierozgarnięta.

– No to się cieszę. Zapraszam do pracowni, mam przygotowaną zimną lemoniadę, na pewno chce się pani pić.

Kiwnęłam głową. Bardzo mi się chciało pić.

Pracownia też była klimatyczna. Po lewej, na ogromnym stole, bałe lnu w różnych kolorach. Na wprost dwie maszyny do szycia, a po prawej spora kanapa z – jakżeby inaczej – lnianym pokryciem, obok manekin z przewieszonym centymetrem, a za nim – ogromne lustro.

– Królestwo lnu – powiedziałam, siadając z zimną szklanką w ręku na kanapie.

– Tak się porobiło. – Właścicielka usiadła obok mnie. – Zaczęło się od drobnych prac, takiej dzierganiny hobbystycznej, jakieś woreczki, torebeczki...

– Ten, który dostałam, jest piękny! – Jeszcze raz doceniłam prezent. – Właśnie stąd pomysł na sukienkę.

– Mam nadzieję, że sprostam. Od razu uprzedzę, że nie jestem zawodową krawcową, tylko samoukiem.

– A skąd w ogóle pomysł? – Sięgnęłam po tartinkę, których cała taca czekała obok karafki z lemoniadą. Do kulinariów pani Makowska też miała dryg.

– Ze stresu. I z potrzeby zmiany życia. Skończyłam marketing, przez kilka lat pracowałam w dużej korporacji. Coraz więcej pracy, coraz później do domu wracałam, coraz mniej czasu na wszystko inne. Początkowo to mi wcale nie przeszkadzało, nawet mnie kręciło. Ale potem poznałam Krzyśka i to, co do tej pory mi się podobało, nagle zaczęło mi przeszkadzać. Nie chciałam już siedzieć w pracy po dwanaście godzin, dojeżdżać godzinę w jedną stronę. Krzysiek też czuł podobnie. Za dużo stresu, za dużo złych myśli. A człowiek potrzebuje spokoju.

„Tak, gdy go na to stać”, pomyślałam. Nie wiem, co mnie dziś ugryzło, ale byłam poirytowana. To pewnie ze stresu – w Witowie rozgardiasz, dziadek miał przylecieć niebawem, w Krakowie nic nieprzygotowane na przyjazd Matyldy, nasza podróż poślubna zawisała na włosku, bo na koncie prześwitywało dno, a przecież potem nie pojedziemy, bo Matylda i dziecko... Czułam, jakby sznureczki znowu wymykały mi się z rąk. I – nie można od tego uciec – odczuwałam lekką zazdrość. Pani Ewa była piękna, miła i miała idealne życie. Wsunęłam stopy w trampkach pod kanapę, obciągnęłam materiał sukienki na brzuchu. Miałam tam fałdkę, i to nie ciążową. Kopciuszek. Grubawy Kopciuszek.

– W ramach odstresu zaczęłam szyć i haftować. Wybrałam len, bo to taki naturalny materiał. Na próbę koleżanki wstawiłam pierwszą torbę do galerii. Szybko się sprzedała, więc wzięłam tydzień wolnego w pracy i uszyłam kilka. A potem poprosiłam o miesiąc bezpłatnego urlopu. I już po nim nie wróciłam do swojego korporacyjnego biurka. Krzysiek przeszedł na *homeworking* i postanowiliśmy się przenieść poza Kraków. W ten sposób znaleźliśmy dom i tak się w nim urządzamy. Jeszcze sporo do zrobienia, cała góra nieruszona, ale powoli zaczyna to wyglądać.

– Jest pięknie – stwierdziłam. Witowska chałupa nagle wydała mi się mniej urokliwa. Nie chciałam się porównywać, to się jakoś samo nasuwało.

– No dobrze, to porozmawiajmy o sukience. Bo termin nie jest odległy, że tak delikatnie to ujmę. Mam katalog, może coś stąd by się pani spodobało? Angielska kolekcja, wydaje mi się, że w pani stylu.

Rzeczywiście, w moim stylu. Sukienki były śliczne – lekko szalony romantyzm, ale we współczesnym wydaniu, z pilnowaniem, by nie przekroczyć delikatnej granicy, gdy za oryginalnością czai się śmieszność.

– Ta jest fantastyczna – wydusiłam z siebie, patrząc na cudo w katalogu. Sukienka była uszyta z jasnokremowego lnu. Górę miała dość tradycyjną, bo w formie gorsetu, ale z ramionami rozchodzącymi się na kształt łódki. Dół był rozkloszowany, z delikatną jak mgiełka podszewką, która lekko wystawała spod zewnętrznej warstwy, ponieważ spódnicę można było marszczyć, ściągając wszyte pionowo tasiemki. Dekolt i brzeg sukienki miały drobny zielony haft. Trochę rozważna, ale i bardzo romantyczna panna młoda.

– Mój typ. Idealna do pani karnacji. Zdejmę miarę, a potem udrapujemy materiał. – Pani Ewa wstała i podeszła do manekina. Przesunęła go trochę, odsłaniając taflę lustra, zdjęła z niego centymetr i obróciła się w moją stronę.

Podniosłam się z kanapy i podeszłam do niej. Stałam, niezdarnie opuszczając ręce wzdłuż ciała.

– Do zdjęcia miary trzeba też zdjąć sukienkę, inaczej nie będzie dokładnie. – Uśmiechnęła się.

Spojrzałam na jej talię i z niechęcią zaczęłam rozpinać guziki. Może to z gorąca, może od ciężowych hormonów, a pewnie trochę ze wstydu – poczułam, że mam czerwone policzki. Świetnie to widziałam w wielkim lustrze. Zresztą nie tylko to widziałam, gdy materiał sfrunął na podłogę – przytyło mi się ostatnio, słońce mi przypiekło uda, więc miejscami byłam jak buraczek, a miejscami – białas, piegów nie licząc. No po prostu – nieidealna. Wydawało mi się, że już się uporałam z tym katowaniem się swoim wyglądem, ale w towarzystwie kogoś chudego i ładnego trudniej było o samoakceptację. Przypomniały mi się lekcje wuefu w liceum – ja kontra moje ładne koleżanki.

– Trzeba się prostować. – Pani Ewa delikatnie dotknęła mojego ramienia. – Wtedy się człowiek lepiej czuje, narządy dobrze ułożone, mięśnie napięte. Zdrowiej i ładniej. Ja też się pilnuję, żeby się nie garbić.

Ściągnęłam łopatki, uśmiechając się z zakłopotaniem. Sięgnęłam po szklanekę z lemoniadą. Zrobiło mi się trochę lepiej i spokojniej, ten nagły przyptyw złego humoru powoli odpływał.

– O, fantastycznie. Po co samemu się starać o dodatkowy garb, skoro życie

robi to za nas? – Uśmiechnęła się promiennie.

„Nic nie wie o grabach, ale to przecież nie jej wina”, pomyślałam. „Jest miła, naprawdę miła”.

– Dobrze, to górę mamy. – Odwróciła się do stołu, gdzie w zeszycie wpisała pomiary. – Teraz dół. Długość do kolana, podszewka będzie minimalnie dłuższa. Cięcie z klosza. I teraz pas.

Spojrzałam w lustro – zupełnie niepotrzebnie. Właściwie trudno było powiedzieć, gdzie mam talię – nikła gdzieś między biodrami a żebrami. Znowu ściągnęłam ramiona, wyprostowałam się i nawet poczułam, że napinają mi się mięśnie brzucha, ale optycznie nie zmieniło się nic.

Pani Ewa podeszła do mnie i oplotła mnie centymetrem. Widziałam w lustrze nasze odbicia – ona zwiewna trawa, ja – przysadzista pieczarka. Znowu mnie coś zapiekło.

– Jestem w ciąży – wypaliłam obronnie. Cięża to było słowo tarcza. – Auć – syknęłam sekundę później, bo poczułam mocne ukłucie szpilki.

– Przepraszam, strasznie przepraszam – szepnęła pani Ewa. – Zaraz to zdezynfekuję. – I szybko wyszła z pracowni.

* * *

– No widzisz. – Anka westchnęła. – Nigdy nie wiadomo, co siedzi w drugim człowieku.

W aucie zapadła cisza. Zaczynało się już ściemniać, ruch na drodze był mały. Tym razem też nie włączyłam żadnej muzyki czy nagrania, tylko zadzwoniłam do Anki. Jej głos, płynący przez zestaw głośnomówiący, brzmiał dziwnie, bo wypełniał całe wnętrze samochodu. Nie miało to w sobie nic z kameralnej rozmowy, ale dobrze, że choć tak mogliśmy pogadać.

– No nie wiadomo. I ja to wiem, teoretycznie, ale dzisiaj mi jakoś umknęło. Po prostu mi się wydawało, że w tym jej pięknym życiu wszystko jest takie fajne. Zresztą nie chodziło tylko o ładne otoczenie i o to, że ona jest ładna, ale także o jakiś spokój. Może „spokój” to złe słowo, bo ona jest energiczna i bezpośrednia, a raczej o pogodzenie się, harmonię. Nie wiem, jak to nazwać, ale nic w jej wyglądzie nie zapowiada, że w środku może mieć pokaźny tobolek nieszczęścia.

– Pominąwszy malkontentów i marudy, to rzadko kiedy wiadomo, że człowiekowi jest źle. Ale rozumiem – ci ładni i uśmiechnięci są najbardziej poza

podejrzeniami. Jak komicy, wśród których jest wiele osób z depresją. Rozstałyście się w dobry sposób?

– Tak, zdecydowanie. Strasznie się zasiedziałam, to znaczy zostałam zasiedziana – zaprosiła mnie na obiad, poznałam jej męża. Bardzo fajni ludzie, życzliwi, mądrzy. Żal, że właśnie oni nie mogą mieć dzieci.

– Żal, żebyś wiedziała. Czasem gdy jestem na spacerze z Zosią, to się wkurzam na te wszystkie matki, które wyglądają, jakby spełniały macierzyńskie powinności za karę. Najbardziej to mnie irytują te, co dają małym glutom komórki, żeby mieć trochę spokoju. Siedzi taki bąbel dwuletni i się wgapia w ekranik, a ona w drugim telefonie cały czas paluchem przez ekran smaruje. Żeby była jasność, ja też korzystam z komórki, ale spacerzy czy wspólny czas z Zochą to sprawa najważniejsza. Zresztą to i tak blaknie przy tych wszystkich patologiach, gdy dzieci są bite i dręczone psychicznie. Mówię ci, Kla, od kiedy jestem matką, to mi się emocje zmieniły. Jestem lwicą dla każdego dziecka.

Rzeczywiście, Anka była teraz lwicą.

– Więc to zawsze przykre, kiedy ci, co akurat mają predyspozycje emocjonalne i intelektualne, żeby być rodzicami, to nimi nie zostają. A to już definitywnie zamknięta sprawa? – dociekała.

– Tak. Ewa ma czterdzieści trzy lata. Starali się przez sześć. Opowiadała, że przeszła przez wszystkie fazy, łącznie z *in vitro*, i właściwie kiedy ostatecznie straciła nadzieję, to znaczy kiedy lekarze powiedzieli, że nigdy nie urodzi dziecka, to zyskała spokój. Już się nie napina, nie szamocze, nie wyczekuje.

– Smutny spokój – zauważyła Anka.

– Podobno dość pogodzony. Dopiero dziś, kiedy powiedziałam o ciąży, to znowu pękła. Gdy wyszła z pracowni po tym, jak mnie ukłuła szpilką, nie zorientowałam się, w czym rzecz. Pomyślałam, że jej po prostu głupio, że się może przestraszyła, że tak dźgnęła ciężarną. Ale ona wróciła, psiknęła octaniseptem i od razu powiedziała, dlaczego tak zareagowała... I wiesz co? – Za szybami było już szarzielono. Droga pusta, spokojnie, dobry klimat do zwierzeń. – Ja przecież stałam przed tym lustrem jak sierota, tak jak ci powiedziałam. Patrzyłam na siebie, zawstydzona konfrontacją z nią. A ona powiedziała: „Patrzyłam na panią z takim zachwytem: oryginalna uroda, delikatna, niewspółczesna kobiecość, ta jasna karnacja, piegi, rudawe włosy. Niedługo wychodzi za mąż, widać, że jest zakochana. Wszystko przed nią, także pewnie dzieci... No i kiedy usłyszałam słowo «ciąża», które jest jak guzik włączający złe wspomnienia i otwierający szufladę żali, to mi ręka zadrżała”.

Rozumiesz, Anka – ja zazdroszczę jej, ona – mnie...

– A ty jej powiedziałaś o tym?

– Tak. Też od razu. Skoro ona była taka szczerą, to jakoś automatycznie się zwierzyłam. I bardzo się cieszę, bo to przełamało lody. Przeszliśmy na ty, jeszcze trochę sobie poopowiadałyśmy i od razu się zrobiło lepiej.

– Widzę, że się nowa przyjaźń szykuje – zauważyła Anka. Głos miała lekko drewniany.

– No, to nie tak prędko, choć początki są. A ty zazdrosna jesteś? – zdziwiłam się.

– Trochę – przyznała Anka. – Ja tu, ty tam. Ciutkę nam się rozłazi związek – próbowała żartować, ale wyczułam nutę smutku. – A życie nie znosi próżni.

– Oj, Ania, no coś ty! – zaprzeczyłam. – Przecież my się znamy tyle lat. Nic się między nami nie zmienia. Po prostu trudniej teraz, bo dzieli nas trzysta kilometrów. Zresztą – zawahałam się – nowa znajomość to nie zdrada. Prawda?

– Może i prawda. Ale bolesna. – Anka była szczerą. – Widzisz, ty masz teraz w życiu czas napędu, coś się dzieje, ciągle zmiany. A ja...

– No ty masz Zosię, w której jesteś zakochana. I męża, w którym też jesteś zakochana. I fajne mieszkanie. I pracę, którą lubisz. I mnie. To nie jest zły bilans, co?

– Nie jest. Choć... Miałam ostatnio taki okropny sen. Zosia dorosła, zdała maturę. Ja upiekłam tort.

– Ty nie pieczesz tortów – zauważyłam.

– Właśnie! Więc wyobraź sobie, jak się namęczyłam w tym śnie. A ten tort to było arcydzieło sztuki cukierniczej – ileś warstw, kremów, lukrów, zdobień, płatki róż i te sprawy. Była impreza, szampan, baloniki. Ja tak szczęśliwa – moja Zosia, mój skarb, moja duma. A ona zjadła swoją porcję, odłożyła serwetkę na talerzyk, cmoknęła mnie w policzek i powiedziała, że się wyprowadza. „Dokąd?”, pytam ją oszołomiona. A ona, że na swoje, bo już jest dorosła. I teraz zaczyna żyć po swojemu, a ja mam się nie wtrącać. Najpierw mnie zatkało, a potem pomyślałam, że mi serce pęknie. A wtedy moja matka, z drugiego końca stołu – też wstała, złożyła serwetkę, zupełnie jak Zosia, i mówi: „Widzisz, tak to właśnie jest”. Obudziłam się złana potem. Koszmar.

Zamilkła. Ja również milczałam. Postanowiłam się jednak odezwać.

– Bo wiesz, Anka, twoja mama... – zaczęłam, choć wolałam, żeby to Anka dopowiedziała.

– No wiem. Przecież wiem. Jestem na nią zła, irytuje mnie, ale, w gruncie

rzeczy... – zaczęła, ale zostawiła wielokropek na końcu.

– W gruncie rzeczy... – powtórzyłam.

– Kocham ją. – Anka siąknęła. – Tyle że to trudna miłość.

– Moja z mamą też nie należała do najłatwiejszych – powiedziałam. – Widzisz jednak, że teraz jest inaczej.

– Słyszę, bo dawno się nie widziałyśmy. A co do mam, to chyba jest tak, że gdy się samej zostaje matką, to inaczej się zaczyna patrzeć na swoje relacje z rodzicami. Ty trochę przed porodem, ja trochę po. Och, no patrz, co z szycia sukienki ślubnej może wyniknąć... A właśnie, bo zupełnie z tego tematu zeszłyśmy – jak sukienka?

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to mam szansę być naprawdę piękną panną młodą.

– Piękną to już jesteś, sukienka może ci co najwyżej dorównać.

– No dobra, to przyjmijmy, że nie będziemy od siebie odstawać. To znaczy ona ode mnie na pewno nie, bo przez te trzy tygodnie jeszcze się powiększę... No, dojechałam. – Zatrzymałam się i zgasiałam silnik. Miło było zobaczyć okna ciepłe od światła lamp. Miło było pomyśleć, że czekają na mnie w domu.

– Do Krakowa?

– Nie, do Witowa. Jeszcze przez chwilę tu będziemy. Ja, Staszek, ciotka, Matylda i mama.

– Fajny zestaw... Dobra, to leć. – Anka odzyskała zwyczajową energię.

– Idę. A niedługo będę się toczyć. Pa! – Rozłączyłam się.

Założyłabym się o duże pieniądze (wiem, że nie mam, ale jestem absolutnie pewna wygranej), że gdybym teraz zadzwoniła do Anki, to byłoby zajęte. Rozmawiałaby z mamą.

Rozdział dwudziesty drugi



Stałyśmy w hali przylotów we trzy: ja, mama i babcia. Zarówno Staszek, jak i pan Kazimierz oferowali się, że przywiozą, pomogą, odbiorą. Uznałyśmy jednak, że nie będziemy ich angażować. Bo mają swoje obowiązki, zajęcia, a tu będzie długo i nie wiadomo, ile dokładnie to potrwa. Ale prawda, właściwsza, była taka, że chciałyśmy mieć te pierwsze chwile z dziadkiem w Polsce dla siebie. Staszek powiedział: „Jasne”, pan Kazimierz: „Oczywiście”, i nawet nie musiałyśmy wyjaśniać motywacji, bo widać było, że ją rozumieją.

– Dziadek jest jednak odważny, że w takim wieku zmienia całe życie – powiedziałam, wpatrując się w drzwi, w których niedługo powinni się pojawić pierwsi pasażerowie lotu z Londynu.

– Z jednej strony tak, ale z drugiej... To właściwie trochę tak, jakby wracał do starego życia, przerwane w tym miejscu kilkadziesiąt lat temu – stwierdziła mama.

– Szkoda, że mama tego nie dożyła. – Westchnęła babcia. – Choć nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co oboje musieliby czuć.

– Szkoda. – Pokiwałam głową. – A ja z kolei próbowałam sobie wyobrazić sytuację, gdy one obie jeszcze by żyły, to znaczy żona dziadka i nasza babcia. Jak wtedy by przebiegało to spotkanie.

Mama i babcia spojrzały na mnie.

– Cóż – zaczęła babcia – to by mogło być trudne. Pierwsze zakochania są bardzo silne, takie emocje zostają w człowieku na całe życie. Na pewno oboje bardzo by to przeżyli. No a żona... przecież i ją na pewno kochał, tyle lat

razem... Ach, byłyby różne emocje.

– Rzeczywiście! – Mama się podekscytowała, trochę nawet za bardzo. – Fascynujący układ by się zrobił. Historia zna jednak takie przypadki. Na przykład prezydent Mitterand – trzydzieści lat podwójnego życia. Tu żona i dwóch synów, tam – nieżona i córka. Co prawda, u niego to w odwrotnej kolejności chyba było, to znaczy z żoną się ożenił, ale nie z wielkiej miłości, a sercowe objawienie zdarzyło mu się później. Tak czy owak, nie wybrał jednego życia, tylko przez kilka dekad łączył dwa.

– Co ty powiesz? – Babcia się zdumiała. – Że kochanka, no to może bym i zrozumiała. To znaczy, nie odbierzcie mnie niewłaściwie, chciałam przez to powiedzieć, że uznałabym, że kochanka to taki przejaw zwycięstwa natury nad kulturą, we Francji to, zdaje się, nawet akceptowany społecznie, zwłaszcza gdy ktoś może sobie na to pozwolić finansowo, ale...

– Ale co? Czyli że skoro oni tak na serio, bo trzy dekady to już musi być coś poważnego, to gorzej? – Mama się zaśmiała.

– No i wyszłam na wyzwoloną kobietę. – Babcia odwzajemniła uśmiech. – No dobrze, to już nic nie mówię. Nie mam pojęcia, jak to ocenić, zresztą po co oceniać. A w ogóle to sobie tak ostatnio myślałam, że w różnych życiowych przypadkach prawda bywa czymś trudnym do uchwycenia. Ile osób, ile spojrzeń, tyle prawd.

– Jak zatem żyć? – zapytałam trochę dla żartu, a trochę na serio. Obrazek dziadka, jego żony i babci Emilii naprawdę zaprzętał przez jakiś czas moją wyobraźnię. Obraz babci i pana Kazimierza mniej, bo on tylko formalnie miał żonę – sama od niego odeszła, a teraz już nawet nie pamiętała, że kiedyś byli razem. A mimo to on się o nią troszczył. Tak, proste prawdy by się roztrzaskały o rąfy tych przypadków.

– Tak, żeby nikt przez ciebie nie płakał – zaryzykowała mama. – Tak chyba trzeba żyć. O, dziadek idzie. Tak, to on, widzę go! – Mama wskazała ręką na postać, która przesuwała się wzdłuż barierki.

– *Hello*, dziadku, *hello!* – krzyknęła tak, że pół hali przylotów na nas spojrzęło.

Dziadek też ją usłyszał. Delikatnie podniósł rękę i pomachał.

Przeszliśmy bliżej. Już nic nie mówiłyśmy. Babcia się uśmiechała, a oczy się jej zaszklily. Mama się kręciła, przestępując z nogi na nogę. Ja nie mogłam oderwać od dziadka wzroku. Cóż za niesamowita sytuacja – nigdy go nie było w naszym życiu, a przecież dzięki niemu – pośrednio – każda z nas się pojawiła

na świecie. Pierwszy z nieobecnych mężczyzn w życiu Majewskich. Znowu mi się przypomniały moje smutne myśli o pechu i znowu Mojra. Jak dalekie były od prawdy. I głupiotki. A może nawet głupie.

– Dzień dobry, tato. – Babcia pierwsza podeszła do dziadka.

– Dzień dobry, Elżuniu. – Starszy pan się nachylił i pocałował babcię w policzek, a potem mocno ją przygarnął.

Był wysoki i szczupły. Mocno posiwiwały, ale wciąż z bujnymi włosami. Mimo upału w długich płóciennych spodniach, koszuli i marynarce.

– Dorotka! – Teraz witał się z mamą, która objęła go za szyję i coś szepnęła do ucha. – Tak, wszystko dobrze – odpowiedział na pytanie, które musiała mu zadać. – A pani... to znaczy, ty musisz być Klara. – Stanęliśmy naprzeciwko siebie, oboje onieśmieleni. Tak sobie bliscy, a jednocześnie nieznanymi. Wpatrywałam się w jego oczy – ciemnobrązowe, wciąż błyszczące, choć już przykryte siateczką starości. W ułożone do uśmiechu wąskie usta, od których odchodziły bruzdy zmarszczek. I zobaczyłam w tej twarzy coś takiego, co dostrzegłam u Staszka na peronie, gdy przyszedł odebrać ode mnie klucze: dobroć, obietnicę prawości, szczerść... Nie potrafiłam tego nazwać ani wtedy, ani teraz. Świetnie natomiast rozumiałam, co się wydarzyło w sercu babci w Poroninie w sierpniu trzydziestego dziewiątego roku. Nagle silnie poczułam, że jesteśmy rodziną: nietypową, po przejściach, rozsypaną jak części układanki. Teraz obrazek zaczynał się składać.

– Dziadku! – wybuchłam, wypuszczając te wszystkie emocje. – Och, dziadku!

* * *

– Nie, nie jestem w ogóle śpiąca. Chyba dziś nie zasnę. – Siedziałam przy stole w salonie, patrząc na oświetlane przez latarnie lipy i rozmawiając ze Staszkiem przez telefon.

– No to opowiadaj. Nie chciałem cię męczyć po takim dniu, ale skoro jeszcze masz siły...

– Mam – zapewniłam go. – To raczej ty powinieneś być padnięty, jeśli dopiero skończyłeś. Dochodzi jedenasta.

– E, dziś to na luzie. Z przerwami i dobrym obiadem. Mateusz, kolega i sąsiad, wpadł, trochę pomógł. Z chaosu wyłania się ład. A jak u was?

– Ład, jeśli chodzi o całą logistykę. Lot bez opóźnień, bagaż też doleciał, dziadek w dobrej formie, przejazd przez Kraków bez problemów,

zakwaterowanie u babci także w porządku. Natomiast co do emocji... Och, mówię ci, Stasiu, to był dzień szlochów, siąkań, ściśniętych gardeł, gorących serc. Niesamowita mieszanka. Najpierw pojechaliśmy do Nowej Huty i tam zainstalowaliśmy dziadka. Był przygotowany teoretycznie, bo kiedy się dowiedział, gdzie babcia mieszka, to poczytał o tej dzielnicy. Ale i tak był w szoku, jak się zmienił krajobraz. „Może strach do Jabłonki jechać, jeśli wszędzie takie tempo cywilizacji?” Podobało mu się jednak. „Miasto w mieście trochę, ale funkcjonalne”. U babci zjedliśmy obiad; żurek z chlebem żytnim również dostarczył mu wzruszeń. Trochę żartuję, ale widać było, że nie chodzi mu tylko o to, że córka dobrze gotuje. „Smak, co przywołał młodość”. Ale to i tak nic wobec emocji, które nastąpiły, kiedy pojechaliśmy na Wiślną. Czy ja ci opowiadałam, że właśnie tu...

– ...zaczęły się Majewskie? – Staszek wszedł mi w słowo.

– Tak. W tym mieszkaniu, wtedy dużo większym, bo zajmującym całe piętro. Nasze było w tamtym czasie służbówką. I właśnie tu...

– ...się poczynają dzieci. – Zaśmiał się Staszek. – Gdy nam córka podrośnie, to będę pilnował, żeby żadnych chłopaków tu nie sprowadzała.

– A może to będzie syn? – zapytałam. – Choć może masz rację, tradycja u Majewskich inna, same córki, w dodatku zachodzą w ciążę jak na zawołanie. W każdym razie dziadek też oczywiście rozpoznał miejsce. Nie wiedział, że lokale się zmieniły, myślał, że Emilia spędziła całe życie w mieszkaniu na parterze i że ja tam teraz mieszkam. Tymczasem... Och, powiem ci, że to było takie... intymne. Wyobraziłam ich sobie, to znaczy nie seks, nie to, co robili tego ostatniego wieczoru, gdy się widzieli, ale ich emocje, ich uczucia, ich miłość. A do tego niepewność, poczucie zagrożenia, konieczność ukrywania się. To musiała być niesamowita intensywność. I kiedy myślisz, że już dawno temu to schowałeś głęboko i nigdy nie wyjmiesz... No... hm...

– Ty płaczesz? – zapytał miękko Staszek.

– Trochę. – Sięgnęłam po chusteczkę. – Więc tak to wyglądało – odchrząknęłam. – A potem poszliśmy na spacer. Typowy krakowski spacer, Plantami, wokół Rynku, nad Wisłę. Dziadek zabrał nas w miejsce zbiórki, gdzie ostatni raz się widział z Emilią. Też było łzawo... A na koniec poszliśmy do Poziomki. Dziadek był zachwycony daniami. Stwierdził, że nawet gdyby się jeszcze wahał, czy zamieszkać z Polsce, to jedzenie by go ostatecznie przekonało. Nigdy nie pokochał kuchni angielskiej, nawet nie udało mu się jej polubić. Twierdzi, że jest mdła i za dużo w niej marchewki.

– A potem pojechali z babcią i Dorotą do Nowej Huty?
– Tak. Tam mają zdecydowanie lepsze warunki do spania. – Rozejrzałam się po pokoju. Niby duży, a po wstawieniu starych mebli i dołożeniu nowych zrobiło się całkiem kameralnie, znaczy ciasnawo. Pierwszy pokój – jadalnia, był jeszcze mniejszy, a przecież tam mieliśmy urządzić kącik dla Matyldy. Staszek ostatnio wpadł na pomysł antresoli – na górze materac, na dole kącik z biurkiem. Zdecydowanie najkosztowniejszy wariant, ale chyba najsensowniejszy. O ile oczywiście Matylda się do niego przekona. Bo czy będzie chciała spać tak wysoko?...

– Klara, jesteś tam? – dobiegł mnie głos Staszka.

– Jestem, jestem – zapewniłam. – Trochę się zamyśliłam.

– A nad czym? Może razem pomyślimy?

Nie chciałam mówić o Matyldzie. Miałam wrażenie, że za każdym razem po takiej rozmowie Staszek zostawał z przekonaniem, że nasze wspólne mieszkanie to drażliwy temat, że dla mnie to problem. Tak nie było, bo już to przerobiłam w głowie i zaakceptowałam. Może to jednak co innego niż prawdziwe odczucia, które w zupełnie niezamierzony sposób było słychać w moim głosie?...

– Miałam ci nie mówić przez telefon, tylko poczekać, aż się zobaczymy, ale... nie wytrzymam, bo to takie... rozczulające... – Po raz kolejny tego dnia głos mi się załamał.

– Gdyby nie to, że już wiem o dziecku, to pomyślałbym, że kolejna ciąża. – Staszek próbował mnie rozbawić. – O co chodzi, kochanie? – dopytał czule.

– O prezent. Dziadek przywiózł nam prezenty. Babcia dostała kolczyki. Bardzo piękne, z brylantami. Należały do jego żony, wcześniej były w jej rodzinie. Ładny gest, podobno Emily, do której powinny teraz trafić, sama go namówiła, żeby zawiózł je do Polski. Mama dostała pióro. Dziadek kupił je wiele lat temu – markowe, ze złotą stalówką. Cacuszko.

– A ty? – Staszek przerwał ciszę, bo po tym drugim prezencie zamilkłam.

– Ja... Dostałam list. Dziadek sprezentował rzeczy mamie i babci i poprosił mnie na chwilę na bok. Wręczył mi kopertę. Zwyczajną, to znaczy bardzo ładną, z czerpanego papieru, ale nową, bez śladów historii. „Otwórz w samotności”, powiedział tylko, a ja pomyślałam w pierwszej chwili, że to może pieniądze. Wiesz, na nową drogę życia i tak dalej.

– Ale to nie pieniądze? – domyślił się Staszek.

– Nie – potwierdziłam. – List. A Właściwie dwa listy. Pierwszy do mnie:

Moja nieznana prawnuczko Klaro!

To list, który napisałem do Twojej ukochanej prababci Emilii. Znajdziesz datę – maj czterdziestego piątego. Nie wysłałem go, bo dwa dni później przyszła informacja od ojca Emilki, że jego córka zmarła. Zostawiłem tę kartkę, bo to była ostatnia wiadomość dla niej, jeszcze żywej. Taka wątpliwa nitka ułudy. Potem i tak z nią rozmawiałem – w myślach, wiele razy, ale już niczego do niej nie napisałem. List przeleżał w szufladzie biurka aż do teraz, jakby czekał na tę chwilę. Daję Ci go w przededniu Twojego ślubu. Życzę Tobie i Twojemu Staszewi miłości nie do pokonania – mądrej, cierplivej, oddanej.

Staszek milczał, ale to nie miało znaczenia. Wiedziałem, co czuje.

– I teraz ten drugi list właściwy:

14 maja 1945 roku

Najdroższa Emilko!

Hitler nie żyje, Niemcy skapitulowały. To, co wydawało się niemożliwe, nastąpiło po sześciu najdramatyczniejszych latach. Ogromna ulga i ogromna nadzieja, że wszystko się teraz zmieni. Nie jestem obojętny na losy świata, jakbym mógł być po tym wszystkim, co widziałem, czego doświadczyłem, o czym czytałem, ale do pełni szczęścia brak mi Ciebie, Emilko. Żeby nie zapomnieć, każdego wieczoru przed snem przywołuję wspomnienia z Krakowa i Poronina. Piszę: żeby nie zapomnieć obrazu, bo przecież myśl i uczucia są nie do zapomnienia. Teraz, jeśli już można, poruszę niebo i ziemię, żeby Cię odnaleźć – gdziekolwiek los Cię rzucił. Mam przeczucie, najgłębsze, że jeszcze kiedyś stanę przed kamienicą na Wiślniej. I wejdę na górę, do tego mieszkanka, gdzie się sobie nawzajem powierzyliśmy i obiecaliśmy. To się przecież nie może tak skończyć.

Całuję najmocniej,

Twój Staszek

Rozdział dwudziesty trzeci



– Więc to właśnie jest wygrzewanie się na tarasie. – Dziadek wygodniej się oparł o wiklinowe siedzisko fotela. – Duża przyjemność. Anglia stała się moim drugim domem, może nawet pierwszym, ale za pogodę i wiktoriańskie budownictwo pokochać ją trudno.

– Tak, ten taras to duża przyjemność – przytaknął pan Kazimierz. – Od kwietnia do września tu się przenosi życie. To znaczy wcześniej tylko ja się przenosiłem, no jeszcze z Szarikiem. – Popatrzył na swojego owczarka niemieckiego. – Życie to jakby się teraz zaczęło na nowo, tak obficiej.

– Obficiej to będzie. – Mama uśmiechnęła się znacząco w moją stronę.

– Tycie w ciąży to norma – droczyłam się z nią i na pewno to wiedziała, ale szybko zaprzeczyła:

– Chodziło mi o obfitość członków rodziny.

Na hasło „rodzina” wszyscy nagle ucichli.

– No właśnie. – Dziadek złożył dłonie. – Rodzina. Jak długo nie używałem tego wyrazu: rodzina. *Family*, tak. Bo mam *family*. A teraz mam też rodzinę. I to od razu taką dużą – córkę i zięcia – spojrzał na pana Kazimierza i babcię – wnuczkę – mama się uśmiechnęła – prawnuczkę – teraz wzrok przeniósł na mnie – a w drodze jeszcze... zaraz, jak to będzie...

– Praprawnuczę – podpowiedziałam.

– Prapra... ale co się dziwić, skoro ja sam jestem taki prapra... Pan Bóg łaskawy, że mnie na tyle lat tu zostawił. Widać taki był plan.

– Dobry plan, tato. – Babcia usiadła obok pradziadka. – A w Olkuszu też ci

dobrze?

– Bardzo, dziecko. Warunki luksusowe. Zresztą wszędzie dobrze, gdzie bliscy obok. Ja nie jestem bardzo towarzyski, no wyjść do pubu, na partyjkę brydza czy piwo z kolegami, to tak. Ale dusza towarzystwa?... Nie, moja dusza nie jest aż tak towarzyska. Bliscy jednak powinni być. Skype jest i to świetnie, że teraz tak można się zobaczyć i porozmawiać, ale drugi człowiek na wyciągnięcie ręki, obok, to jest strasznie dobre. Ludzie nie są stworzeni do samotności. Ja też nie byłem. Dlatego... Ogromnie pokochałem Emilkę. I jeszcze kilka lat po jej śmierci, to znaczy po tym, gdy dostałem wiadomość o jej śmierci... A później poznałem Ann. I to też była miłość. Inna, bardzo dobra miłość, która dała nam Emily. A jeszcze później zostałem sam, bo przecież dzieci odchodzą, tak było, tak jest i tak będzie. I znowu mi się zrobiło samotnie. Nie wiem, czybym się w końcu odważył na tę podróż do Polski. Bo myślałem sobie, że jeśli tu przyjadę, nawet na wycieczkę tylko, na kilka dni, to już zostanę. Wspomnienia mnie nie puszczą.

– A tak to cię rodzina nie puszca. – Mama uśmiechnęła się czule do dziadka.

– Ja sam nie mam zamiaru nigdzie jechać. No, z wyjątkiem gór. W góry tobym chciał pojechać. Do Jabłonki, na Tatry popatrzeć, nad Orawą posiedzieć. To ostatnie moje marzenie.

– Pojedziemy, tato. Zaraz na początku przyszłego tygodnia. Teraz nie, bo weekend, drogi zapchane. Ale w poniedziałek rano ruszamy. – Babcia miała już opracowany plan.

– A potem, po ślubie, do Witowa. Też pięknie! – dodałam.

– Pewnie, że pięknie. Ja nie wiem, czy to uroda tych terenów, czy miłość do tej ziemi z mlekiem matki wyssana, ale nic w życiu piękniejsze mi się nie wydało. Zobaczę i mogę... A nie, jeszcze czas jakiś temu bym powiedział, że na ziemi rodzinnej stanę i mogę umierać. A teraz to wcale mi do śmierci nie skoro.

– No coś ty, dziadku! – zaprzeczyłam wzruszona. – O żadnej śmierci nie ma mowy. Teraz w zupełnie przeciwną stronę zmierzamy. – Dotknęłam swojego brzucha. Od kilku dni nie był po prostu zaokrąglony – widać było, że to nowe życie.

– To dobrze, temat zamknięty. Jeszcze tylko raz, teraz, o nim powiem. Że to taka ulga, że mogłem zapalić Emilce znicz i położyć kwiaty. Pożegnałem się drugi raz, bo pierwszy to gdy z Krakowa żeśmy szli. Wtedy powiedziałem: „Do zobaczenia”...

Dostrzegłam, że nie tylko ja mam łzy w oczach. Szkliste spojrzenie miały

i babcia, i mama.

– Teraz też tak powiedziałem. Bo taką mam nadzieję, że życie się nie kończy wraz z ziemską śmiercią. No, ale na grób tobym jeszcze chciał pojechać. Może to nie ma znaczenia, gdzie się rozmawia z bliskim, którego już nie ma, ale tak czuję, to dla mnie ważne.

– Pojedziemy, dziadku. Zaraz po ślubie, przed Witowem, tak ze Staszkiem rozmawialiśmy. W Krakowie na Podgórze, w Witowie na grób mamy. Na grób rodziców znaczy – poprawiłam się szybko.

Dziadek przyjrzał mi się uważnie.

– Mamy są zwykle nie do zastąpienia. Najlepsze, najukochańsze. Ojcowie... no bywa różnie. Za moich czasów inaczej, potem się zaczęło zmieniać, a teraz to jeszcze się inaczej układa... U mnie w domu się mówiło: „Jaki by nie był, to życie dał”. Wtedy to przyjmowałem, tak byliśmy chowani. Później, gdy sam ojcem zostałem, to inaczej na to patrzyłem. Ja się starałem być dobry dla Emily, choć obecnie bym chyba nie najlepiej wypadł. Tyle różnych spraw do matki było przypisanych. Ojcowie ich nie robili... Trochę pewnie żal, ale sobie myślę, że starałem się być jak najlepszy.

– Teraz tak się mówi w psychologii o rodzicielstwie z ubiegłych dekad, czasów – że byli na tyle dobrzy, na ile potrafili być. – Mama pokiwała głową. – Co do ojca Staszka, przepraszam, Klaruniu, że tak wprost, to on był po prostu chory. Może za mało się starał walczyć z chorobą, może czego innego zabrakło, ale to nie takie proste. Co do Jana Majewskiego... no nie mogę, naprawdę nie mogę. Drań i tyle.

– Ja też nie mogę. Co za typ – zachnęłam się.

Dziadek milczał.

– Gdybym się najpierw dowiedział, że on mnie tak podle oszukał, tobym go nienawidził. Ale ja najpierw zobaczyłem u siebie w salonie Dorotkę. A wczoraj poznałem Klarę. Może by was nie było? Może by Elżbietka inaczej wybrała? I mojej Emily by nie było. Co bolało, odeszło. Trzeba żyć tym, co jest. I z tymi, którzy są. I ja wiem, że teraz starsi nie są, jak to się mówi?... *Authority?*

– Autorytet – odpowiedziała mama.

– Właśnie. Autorytetem nie są. Ale w tym jednym mi zaufajcie. W to uwierzcie.

W tym momencie zabręczał mój telefon. Spojrzałam na wyświetlacz.

– Staszek – powiedziałam. I dodałam przepraszająco: – Odbiorę.

Dziadek się uśmiechnął.

– *Sure*. Miłość jest najważniejsza.

* * *

Staszek zadzwonił z pytaniem, czy mnie nie odwieźć do Krakowa. Wcześniej o to samo pytała mama. Odmówiłam obojgu, bo przecież nie było powodu, żeby tak kursowali. To znaczy wzruszyłam się ich troską o mnie i o ciążę, ale czułam się dobrze. Babcia z kolei namawiała mnie na zostanie w Olkuszu na weekend. Również odmówiłam. Ostatecznie plan wyglądał tak, że mama w sobotę wcześniej rano pojedzie do Witowa pomagać Staszce, a ja w piątek po południu wrócę do domu. Miałam jeszcze jakieś nierozpakowane pudła w spiżarni, którymi chciałam się zająć, książki zostały wstawione do biblioteczki, ale bez ładu i składu, byle je uprzątnąć, więc postanowiłam je poukładać z głową. Zaplanowałam też wizytę w aptece. Pani Maria miała w niedzielę dyżur, była zatem okazja do spokojniejszej niż w tygodniu rozmowy. Z Witowa przywiozłam jej duży bukiet ziół, które teraz suszyły się przy oknie w jadalni. Do kompletu miałam prosty gliniany wazonik, tylko lekko oszkliwiony. Ciotka Staszka kiedyś je sprzedawała, zostało jej kilka sztuk, więc mi je podarowała, kiedy się dowiedziała, że lubię ludowość. Dla niej to przedmioty użytkowe, dla mnie – ozdobne. W poniedziałek rano zaś zaplanowałam wyjazd do Stróży, na ostateczne przymiarki sukni. Ewa wysyłała mi kolejne zdjęcia, a ja byłam coraz bardziej zachwycona, że akurat ona szyje moją ślubną kreację. Suknia, a zwłaszcza detale, które oglądałam na zbliżeniach, prezentowała się po prostu zjawiskowo! Drobne marszczenia, delikatny haft, małe perłowe guziki... Obłęd! Ewa podała mi też adres dwóch krakowskich sklepów, w których miałam, a właściwie mieliśmy, bo razem ze Staszkiem, zakończyć ślubne przygotowania: jeden z butami, drugi – z męską odzieżą. Staszek musiał kupić spodnie, bo koszula, uszyta na wzór przez niego noszonej, najwygodniejszej, też już była na wykończeniu. Również z lnu, w tym samym odcieniu, także z zielonymi haftami, choć w skromniejszym wymiarze. Oczywiście, byłam zachwycona takim pomysłem, bo wyobrażałam sobie, jak ładnie będziemy razem wyglądać. Cały czas jednak dręczył mnie niepokój o finanse. Gdy po poprzedniej wizycie zadzwoniłam z prośbą o podanie wyceny, Ewa odparła, że sprawa jest załatwiona. „Mama!”, pomyślałam od razu. No bo któż by inny? Ewa się zaparła i oznajmiła, że nie wyda osoby płacącej, bo taką ma umowę. Mama, dociśnięta do ściany, przyznała, że spisała numer telefonu

z listu od Ewy i odbyła z nią rozmowę, ale nie ona funduje nam ten prezent. Pękła jednak i wyjawiała, że to dziadek. Dziadek zaś poinformował mnie, że to przecież drobiazg. I że skoro w kopertach nie było funtów, to on chociaż tak wspomógł młodych, bo przecież wie, że u nas są niższe zarobki, a ludzie na dorobku to już całkiem mają pod górkę. Bardzo sprawnie to wymyślili. Niby znają się od niedawna, ale sztamię już trzymają. Mama zresztą od początku wydała mi się podobna do dziadka z charakteru. I mieli ten sam błysk w oku – gen odwagi, szybkiego podejmowania decyzji. Trochę gen wariata. A może po prostu gen pewności siebie?...

* * *

Na dworcu mimo wczesnowieczornej pory panował niemiłosierny tłok. W Krakowie i tak zwykle było dużo przyjezdnych, ale wakacje to już było prawdziwe apogeum. Miałam wrażenie, że słyszę dokoła wiele języków, a polski jest najrzadszy. Turyści z Hiszpanii, Włoch, Niemiec, Japonii. Dużo osób rosyjsko- i ukraińskojęzycznych. W okolicach dworca taki ścisk, że trudno mi się było przecisnąć z moją małą walizką. Chciałam pójść do domu Plantami, ale dojrawszy z daleka kolorowy tłum na alejkach, zmieniłam plany i wybrałam boczne uliczki.

Kraków się zmieniał. Jeszcze dużo było sklepów, które pamiętałam z dzieciństwa, szyldów i tabliczek od dawna przymocowanych do murów. Nadchodziło jednak i nowe. Coraz więcej małych knajpek, miniaturowych kawiarni, na trzy dosłownie stoliki. Coraz częściej kamienice miały odnowione fasady, no, przynajmniej na parterze, gdzie mieściły się lokale usługowe. Coraz więcej też było hosteli. Co drugą, trzecią kamienicę mijałam naklejkę z nazwą taniego hotelu i liczbą gwiazdek, będącą oceną wystawioną przez innych turystów. Coraz mniej było starych mieszkańców w centrum, coraz więcej przyjezdnych. To dobrze, że miasto się rozwija, dobrze, że ma gości, bo dzięki temu ludzie mają pracę, ale te proporcje zaczynały się niebezpiecznie zmieniać. Jasne, że ze swoim umiłowaniem przeszłości, nostalgią płynącą we krwi, wołałabym, żeby wszystko było takie jak dawniej lub tylko nieznacznie inne. Nie tylko jednak chęć ochrony wspomnień przeze mnie przemawiała. Kilka miesięcy mieszkania w Krakowie dostarczyło mi nowej wiedzy o tym mieście. Zdążyłam już szczerze zniechęcić grupki angielskich turystów płci męskiej, którzy przyjeżdżali tu podobno świętować wieczory kawalerskie. Nawet jeśli

w danej chwili (dzień) byli jeszcze trzeźwi, to już byli głośni. Potem (wieczór) zaczęli „zabawę”, a jeszcze później (godziny poranne) wracali do swoich hostelowych pokoi. To znaczy ci, którzy byli w stanie. Ci, co nie byli, zalegali po drodze. Czytałam artykuł na ten temat. Stali mieszkańcy z Rynku, jego okolic i ścisłego centrum mieli dość tymczasowych lokatorów. Burd, wymiocin na klatkach, zapachu moczu, niedopałków walających się pod nogami, trzaskania drzwiami o różnych porach dnia i nocy, hałaśliwych imprez i wiecznego stukania kółek walizek podręcznych o bruk. Pamiętam, że z trwogą przebiegłam wtedy listę mieszkańców z Wiślniej trzynaście. Tylko ja i Staszek zaniżaliśmy średnią wieku. Właściwie Jadzia też ją zaniżała. Co będzie, kiedy ci sędziwi ludzie umrą? Mieszkania także się zmienią w minihotele? Tomek twierdził, że co trzecie mieszkanie w tej lokalizacji tak kończy. Zresztą Staszek niedawno właśnie brał udział w tego typu remoncie, który dwa piętra w kamienicy przekształcił w hostel. Trochę mi to psuło humor, bo wyobraźnia pracowała. Wracam z wózkiem, pełna macierzyńskich uczuć, złakniona ciszy swoich czterech ścian, a tu jakiś podejrzany typ się tłucze po klatce. O, teraz również zobaczyłam jakiegoś faceta, kręcącego się przy drzwiach wejściowych. Wyglądał, jakby był zdenerwowany, bo krążył wte i wewte, to mi ginął z pola widzenia, to znowu się pojawiał. W końcu stanął przy drzwiach, plecami do mnie, częściowo zasłonięty przez lipy. Miałam czas, żeby się zorientować, że ewidentnie czegoś albo kogoś tu szuka. Szłam małą uliczką, prostopadłą do Wiślniej, więc punkt obserwacyjny do takich spostrzeżeń był dobry, choć powoli zapadał zmrok. Tak, zdecydowanie czegoś, a raczej kogoś szukał w tej okolicy. Poczułam, że tętno mi przyspiesza. „Ej, no daj spokój, po prostu się nakręciłaś tymi hostelami, nefajnymi turystami, podejrzanymi typami”, sama się zgańlam. „Jesteś przeczulona, to podobno biologiczny odruch każdej matki. Co będzie po porodzie, skoro teraz tak ci wyobraźnia pracuje?”

Stuk-stuk-stuk, ostatnie nierówne płyty chodnika uliczki. Płynnie przeciągnęłam walizkę przez jezdnię i skręciłam w lewo, do domu. Faceta chyba nie było. No i dobrze, przewrażliwiona czy nie, lepiej, że sobie poszedł.

I w tym momencie zza środkowej lipy wysunęła się postać, wprost na mnie.

Aż krzyknęłam, tak się przestraszyłam.

A potem krzyknęłam jeszcze raz, tym razem ze zdumienia.

To był Paweł.

Rozdział dwudziesty czwarty



– Co ty tu robisz? – wydusiłam, gdy już byłam w stanie.

– Dzień dobry! – odpowiedział, jakby to miało być jakieś wyjaśnienie. – Nie przywitasz się? – zapytał. Tak po swojemu, trochę jak nauczyciel besztający uczennicę, że zapomniała o dobrych manierach. Ale też – wyraźnie to poczułam – z jakąś... miękkością? Czułością? Delikatnością?

– Dzień dobry – odpowiedziałam, chyba neutralnie, choć w środku jeszcze się trzęsłam. – Co ty tu robisz? – powtórzyłam pytanie.

Nie wiem, czy mogłoby mi się przydarzyć coś bardziej niespodziewanego. Chyba tylko lądowanie UFO. Zupełnie się go tu nie spodziewałam. W ogóle się go nie spodziewałam, nigdzie i nigdy w swoim życiu. Teraz sobie uświadomiłam, że ostatnio zupełnie nie pojawiał mi się głowie, jakby zniknął z mojego świata wieki temu, a wcześniej był niewiele znaczącym epizodem. Fakt, jeszcze na wiosnę myślałam o nim, jak o przyszłym – całożyciowym! – partnerze. Straszliwie rozpaczalam, kiedy mnie rzucił. Ale później tyle się wydarzyło, że nikł w mojej pamięci, malał, bladł – aż się całkiem rozmył. Aż do teraz. Teraz był bardzo wyraźny – stał o krok ode mnie. I wyraźnie także było widać, że życie nie obchodziło się z nim ostatnio delikatnie. Oczywiście, dobrze ubrany, modne chinosy, drogie mokasyny, koszulka polo z bardzo markowym znaczkiem na piersi, ale twarz miał znękaną. Podkrążone oczy, jakby przeredzone włosy (można w kilka miesięcy zacząć łysieć?...), lekko zgarbiona sylwetka. To chyba dlatego go nie rozpoznałam od razu.

– Rozmawiam z tobą.

A jednak, ludzie aż tak się nie zmieniają. Ten firmowy uśmiech, okrągła, odwracająca kota ogonem odpowiedź. Wdzięk wiecznego chłopca z dobrego domu. Może przez chwilę znów jej uległam, ale zaraz mi przeszło. Zanim jednak zdążyłam odbić piłeczkę, Paweł zapytał:

– Nie przywitasz się?

– No przecież się przywitałam – bąknęłam. Wyciągnęłam rękę, żeby dopełnić ceremoniału.

On ją ujął, pocałował delikatnie moją dłoń, a potem lekko mnie przyciągnął do siebie i prawie by wycelował swoimi ustami w moje, gdybym w ostatniej chwili nie przekręciła głowy.

– Chyba coś między nami zostało? – szepnął mi miękko do ucha. – Zaprosisz mnie? Bardzo jestem ciekaw, jak mieszkasz.

Ludzie często się później zastanawiają, dlaczego się zachowali tak, a nie inaczej. Dlaczego byli bezwolni, nie powiedzieli „nie”, nie zaprotestowali czy choć nie wyrazili swojej opinii. Ja – bo byłam jednak zbyt oszołomiona i zdziwiona. Kilka minut wystarczyło, bym weszła w stare koleiny. On był tym mądrzejszym, starszym, bardziej doświadczonego. On proponował, ja się godziłam. Wyciągnęłam klucz z torebki, a Paweł elegancko przejął ode mnie walizkę. Otworzyłam drzwi do kamienicy i zniknęliśmy na klatce.

* * *

– Bardzo ładnie – pochwalił Paweł, gdy obejrzał mieszkanie. – Oczywiście jak na takie wnętrza. Widać, że robotnicy się znają na robocie. I kuchnia niczego sobie. Trochę *passé*, ale w swoim stylu naprawdę dobre wykonanie. – Osiągnął wyżyny pochwał. – I powiem ci, że widok jest naprawdę przyjemny.

Stałam i patrzyłam na niego. W mojej kuchni wyglądał przedziwnie. Niespodziewany i niepasujący element. Powoli wracała mi przytomność umysłu. Odtajałam, zebrałam się w sobie. Znowu przestawiłam zwrotnicę – stare koleiny zostały bocznym torem.

– Cieszę się, że ci się podoba. Choć gdyby ci się nie podobało, to niewiele by to zmieniło. Nic właściwie – powiedziałam spokojnie, choć chłodno.

– Och, no po co taki nieprzyjazny ton? – zatroszczył się Paweł. – Wiem, że rozstaliśmy się w mało przyjemnej atmosferze, ale kiedy są emocje, to się tak zdarza. – Uśmiechnął się uśmiechem sprzedawcy luksusowych samochodów, który ma na celu tylko jedno – przeciągnąć klienta na swoją stronę. – Czas

jednak wyglądzają złe wspomnienia. Zostają tylko... – Zawiesił głos.

„Tobie niczego nie wyglądził”, pomyślałam. Tak, mój były narzeczony wyglądał niekorzystnie. Źle nawet. Kupka sponiewieranego nieszczęścia w drogich ciuchach.

– Co zostaje? – zapytałam uprzejmie.

– Nooo... – przeciągnął samogłoskę – dobre wspomnienia zostają. Dobre emocje. Dawna więź. Uczucia, które nie rdzewieją.

– A co nie zardzewiało? – Tak, już byłam w formie. Już się dobrze czułam.

– Klara... no nie mów do mnie jak do obcego. – Podszedł bliżej. Wykonał gest, jakby chciał mnie objąć, ostatecznie jednak się zawahał i zrobił krok do tyłu. – Może zrobię czegoś do picia? Wracasz z podróży, pewnie chciałabyś odpocząć przy filiżance dobrego napoju?

– Proszę. – Wskazałam ręką na półkę w kuchni, gdzie stały puszki. – Czajnik w rogu.

Paweł podszedł do blatu. Zdjął dwa kubki z ociekacza, sięgnął do puszek, potem nalał wody do czajnika. Patrzyłam, jak krząta się w mojej kuchni. Puzzel z dawnego życia, który przypadkiem wpadł do pudełka z nową układanką. Już się domyślałam, po co się tu zjawił. W pierwszym momencie, gdy wróciła mi przytomność umysłu, przeleciało mi przez głowę, że może jakieś dawne sprawy, nieoddane dokumenty, nierozliczone wydatki. Ale nie, przecież by zadzwonił lub napisał. Albo dał sobie spokój – pieniądze nigdy nie były dla niego problemem. Nie, chodziło o coś zupełnie innego.

– Proszę. – Postawił jeden kubek przede mną, drugi obok siebie. Usiadł i się uśmiechnął. Odwzajemniłam uśmiech. Skoro gramy, to graczy powinno być dwoje.

– To co cię sprowadza? – zapytałam miło.

Paweł się wyprostował. Wyraźnie go ośmieliłam swoim przyjaznym tonem.

– Minęło już trochę czasu... Opadł kurz emocji... – zaczął jak poeta. Podrzędny poeta. – I teraz, gdy się tak przejaśniło, to rozejrzałam się dokoła i zobaczyłam, zrozumiałem, że nie wszystkie moje wybory były dobre. Niektóre bym nawet określił jako złe. Tak, były złe. Poblądziłem. – Teraz błędził wzrokiem po mojej twarzy, próbując z niej wyczytać moje nastawienie. A ja wciąż się uśmiechałam. Mówi się, że sprawiedliwość przychodzi, tylko czasem jest nierychliwa. No to moja właśnie się zjawiała.

– Ale już się odnalazłeś? – zapytałam cicho.

– Tak! Tak – zapewnił żarliwie. – Och, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że też

tak na to patrzysz, bo przecież....

– Zostawiła cię? – zapytałam. Wciąż spokojnie i miło.

– Alicja? – upewnił się, jakby był tabun dziewczyn, które mogły go porzucić. „Tak, miała na imię Alicja”, przypomniałam sobie tę dmuchaną lale z żarłocznymi ustami, która uwieszała się na nim na facebookowych zdjęciach. Dawno już tam nie zaglądałam, a szkoda, bo może wiedziałabym więcej. – No tak. Ten związek to był błąd, teraz to widzę.

Byliśmy w domu. Wkroczyliśmy do pokoju wyświechtanych frazesów. „Żałuję tego, co się stało. Naszego rozstania”, wytypowałam w myślach kolejne zdanie.

– Żałuję, że się rozstaliśmy. Byliśmy przecież taką dobrą parą – usłyszałam. Tak, byłam blisko. Mogłam sobie przyznać punkt. – Może to stres przed ślubem? Może to jakaś niedojrzała, z mojej oczywiście strony, potrzeba zmian? Zachowałem się jak dupek. Och, Klaro, przyznaję to, nie mam nic na swoją obronę.

Dobrze wypadł, musiał ćwiczyć.

– Ale przecież – „przecież” zostało zaakcentowane – nie można tak łatwo przekreślić tych kilku wspólnych lat. To by było nierozsądne. Niedopuszczalne nawet. Byliśmy szczęśliwi, mieliśmy plany... I wciąż możemy je mieć. Trzynasty sierpnia...

Postanowiłam się włączyć do tej przemowy.

– ... data ślubu. – Kiwnęłam głową. – Piękna data. Żal by było...

– Prawda? – Paweł aż się podniósł na krzesło. – Jak dobrze, że też tak myślisz! To wszystko się da załatwić. Wiesz, pieniądze i kontakty. – Znowu zobaczyłam w nim dawnego Pawła: pewnego siebie, obrotnego, niepokonanego.

– Właściwie to niczego już nie trzeba załatwiać. Ta data jest aktualna. – Wciąż się uśmiechałam, choć zasychało mi w gardle z emocji. Czekałam na taki moment. Wyobrażałam go sobie podczas przechlipywanych bezsennych nocy. Moment zemsty. – Ślub się odbędzie.

Już prawie się poderwał z krzesła, już prawie dosięgnął mojej dłoni, prawie już wydał z siebie okrzyk zaskoczenia przemieszanego z radością.

– Mój ślub. Ze Staszkiem, bardzo fajnym chłopakiem. Ach, i jeszcze, bo zapomniałam ci powiedzieć – jestem w ciąży.

Rozdział dwudziesty piąty



– Matko, że też nie mogłam tego zobaczyć. – Anka była naprawdę podekscytowana. I jednocześnie zawiedziona. – To się po prostu w pale nie mieści! Tylko zadufany w sobie facet mógłby coś takiego wymyślić. I jeszcze próbować to wcielić w życie! Tak po prostu przyjechał do Krakowa, bez uprzedzenia, żeby ci ponownie zaproponować ślub?!

– Z grubsza tak – potwierdziłam. Siedziałam w salonie nad kubkiem parującej kawy. Już się czułam dobrze, poranki nie zaczynały się przykrą ciężkością żołądka, która, co prawda, nigdy nie kończyła się zwieszaniem głowy nad muszlą klozetową, ale przyjemna nie była.

– Rany, no to jest coś po prostu niewyobrażalnego! Co za tupet! Bezczel! I co mu powiedziałaś? – Anka była cała w emocjach.

– Że się szykuję do ślubu, tyle że pan młody jest inny. O ciąży też mu powiedziałam.

– No i super! Ale miał minę, co? – Satisfakcja Anki pęczniała.

– Nieszczególną, fakt – przyznałam.

– A ciebie to nie cieszy? Znaczy nie masz *Schadenfreude*? – Anka wyczuła mój mniej euforyczny ton.

– Miałam. Najpierw się zaniepokoiłam, że ktoś obcy pod drzwiami, a już się ściemniało. Potem byłam tak zaskoczona, że prawie bezwolnie go zaprosiłam na górę. Kiedy doszłam do siebie, znowu dojrzałam w nim dawnego Pawła – pewnego siebie, przebojowego, rozdającego karty. Tylko wiesz co? Zobaczyłam też, że to maska. Może nie całkowicie przesłaniająca jego charakter, bo on po

części na pewno taki jest, ale z pewnością założył ją teraz po to, żeby się móc za nią schować. Bo gdyby się odsłonił, toby się okazało, że stoi przede mną rozżalony, zawiedziony facet. Samotny, z poczuciem klęski.

– Sam ją sobie zafundował, przypominam ci. – Anka nie była tak łaskawa dla mojego byłego narzeczonego.

– Ależ pamiętam! Kiedy siedzieliśmy przy stole, a on już przyswoił wiadomość, że jestem w ciąży i wychodzę za kogoś innego, to znowu zareagował obronnie. „Ale tempo, no, ho, ho, gratuluję”.

– Jezusss, a ty tego słuchałaś tak spokojnie? – Dla Anki nawet relacja była trudna do wytrzymania.

– Spokojnie to może nie do końca. Ale miałam nad nim przewagę, bo ja już wiedziałam, że to w samoobronie. On oddaje ciosy, zadaje silniejsze, bo tak naprawdę jest bezbronny i bezradny.

– Jesteś Matką Teresą. Choć nie, ona podobno wcale nie była taka święta i dobra. Jesteś po prostu jeszcze lepszą Klarą. Nie wiem, czy podziwiać, czy kazać ci się pukać w czołko.

– W pierwszym odruchu chodziło mi o zemstę, przyznaję.

– Normalny odruch – stwierdziła Anka.

– Ludzki – zgodziłam się. – Ale potem... On się tak wyzłośliwiał, ironizował, parsknął i prychnął, a potem... się rozpłakał.

– No nie. – Anka oniemiała. Zaraz jednak wróciła jej czujność: – A może grał? Chciał cię wziąć pod włos?

– Nie. Naprawdę się rozsypał. Powiedział, że dał się wmanewrować w zły związek, że ona go uwiodła swoją młodością, wdziękiem...

– Czym? – parsknęła Anka. – Cycem i łydką w obcasie chyba. A on biedniutki, bez prawa głosu i wolnej woli. „Ona mnie uwiodła”. Boszszsz!

– Cytuję ci. Więc powymieniał te różne przymioty swojej byłej już dziewczyny, a potem sam przyznał, że to była złuda, że musiał mieć bielmo na oczach.

– Ale poczekaj, to nie ona go rzuciła? – Anka zaczęła się gubić.

– Ona – przytaknęłam. – I on podobno w pierwszym momencie poczuł, że świat mu się wali...

– To macie wspólnotę doświadczeń. Powiedziałaś mu to? – Anka jednak nie odpuszczała.

– Tak, że wiem, co czuł. A on dodał, że to jedynie przez chwilę, bo potem przyszła refleksja, że oni do siebie nie pasowali, że ona to była pomyłka, że

wcale nie jest fajna, tylko wyrachowana i zimna.

– I znowu coś was łączy. – Anka miała satysfakcję, było to słycać w jej głosie.

– A na koniec powiedział, że zrozumiał, że nasze rozstanie to był wielki bład.

– I tu już się diametralnie różnicie w poglądach!

– Tak. Ale wiesz co? Kiedy tak siedział, opowiadał, kiedy schodziło z niego powietrze i wyglądał jak przekłuty balonik, to mi odpuszczała złość. Nawet wynikający z jego porażki triumf jakoś mniej cieszył. Właściwie powinnam mu być wdzięczna, że tak pobłądził. Dzięki temu najpierw, co prawda, tego nie chcąc, wiele zrozumiałam. To twarde lądowanie po tym, kiedy mnie rzucił, dało mi później możliwość przeżycia dobrego startu. I teraz sobie fantastycznie szybuję.

– Zgoda. Ale niewiele w tym jego zasługi. Bycie dupkiem nie oznacza, że możesz wypinać pierś do orderów.

– Nie wypinał. Już nie. Wydaje mi się, że też coś do niego dotarło. To znaczy to, że my byśmy nie byli dobrze dobraną parą, że na pewno by nie był dobrą parą z Alicją. A czy teraz się zastanowi, jaki naprawdę jest i czego by chciał, to już jego sprawa. Ja mu dobrze życzę. Naprawdę. Był kiedyś kawałkiem mojego życia, niech to nie będą złe wspomnienia.

Anka milczała.

– Jedno ci przyznam – teoretycznie masz rację. I fakty są takie, że dobrze się stało. Ale skąd ty masz siłę, żeby nie żywić urazy? – zapytała w końcu.

– Po prostu mam teraz fajne życie. Pogodniej patrzę na cały świat. A to, że jemu będzie gorzej, nie sprawi, że mnie będzie jeszcze lepiej.

– No... niech ci. Właściwie to jestem dumna, że mam taką przyjaciółkę... A powiedz, jak się to skończyło? Poszedł sobie?

– Tak. Powiedział, że musi wszystko przemyśleć, że pewnie dojdzie do podobnych wniosków, że to była „cenna lekcja”. I sobie poszedł.

– Amen. Powiesz o tym Staszewski?

– Chyba nie. Nie wiem, po co by mu to było. Ta rozmowa to kawałek starego życia. A nawet starym, nie zawsze dobrym związkom należy się prawo do intymności. Między nami było, niech między nami zostanie. Przyjaciółka to co innego, odrębna kategoria – zastrzegłam od razu.

– To oczywista oczywistość. No dobra, to emocje były, ale się nie skończyły. Jak życie na ostatniej prostej przed ślubem? Sukienka gotowa? Pokażesz mi ją wreszcie? Bo zaczynam podejrzewać, że niczego nie masz i przyjdiesz do

kościół w aptecznym fartuchu.

– Mam. W poniedziałek dostaniesz fotki, obiecuję. I wtedy padniesz.

– Oby z wrażenia. Dobrego. – Anka zarżała.

– Bardzo śmieszne – odparłam, kiwając głową. – Poczekaj, to się przekonasz.

– A Staszek? Znaczący jego ciuchy?

– Koszulę dostanie do kompletu z moją sukienką, a resztę dokupimy. Mamy polecane sklepy, a jakby co, zrobimy telekonferencję z tobą. A, no i Tomek, jako świadek, zaoferował, że będzie nam towarzyszyć. Jadzia, czyli świadkowa, od razu powiedziała, że ona też ma chęci, ale czuje, że nie ma między nami „estetycznej symetrii”.

– On jest uroczy – rozczuliła się Anka. – A tak przy okazji, w czym świadkowie wystąpią? Pytam, bo chcę poznać ogólny trend mody na czekającej mnie imprezie.

– Cóż... Możesz się nie ograniczać. Tomek będzie miał welurowe spodnie i kamizelkę, w imponującym chabrowym kolorze. Bartek, dla odmiany, będzie jak dziewiętnastowieczny subiekt. Jadzia ma kolorową suknię, której wielobarwność i tak przyćmi kapelusz. Nawet na zawodach w Ascot by się za nią oglądali. Cokolwiek byś włożyła, będzie dobrze.

* * *

Godzinę później szłam powoli do Apteki pod Wieżą. Znowu tą trasą, którą przecierałam szlaki nowego krakowskiego życia. Ależ wtedy byłam kłębkim nerwów! Trzydziestokilkulatka, w której siedziała mała, bezradna dziewczynka. Teraz ulicą szła uśmiechnięta młoda kobieta, której świat wydawał się przyjaznym miejscem.

Minęłam pralnię. Na wystawie, prócz stałych elementów, pojawiła się szara gałąź, obrobiona przez fale morskie, a obok niej muszla (mała bałtycka, ale ładna). Widać urlop się państwu Floryczykom udał. „Dom na stałe to ma tylko ślimak. A człowieka los może różnie rzucać”, przypomniała mi się nasza pierwsza rozmowa. Dom. Wtedy wiązałam go z adresem, miejscem zameldowania. Teraz myślałam, że to, owszem, znane i bezpieczne mury, ale przede wszystkim ludzie dokoła. Znalazłam i swojego człowieka, i swoje cztery kąty. Spotkałam Staszka, za kilka miesięcy zobaczę to nowe życie, które razem stworzyliśmy. Dokoła miałam bliskich, których na nowo poznawałam. No i siebie poznawałam – to były naprawdę fajne znajomości.

Poziomka. Ostatnio rzadziej tu bywałam, ale to też było już moje miejsce. Lubiłam je nie tylko za pyszne jedzenie i niewygórowane ceny. Także za gości, którzy tutaj przychodzili – zwykli, fajni, lokalni. Fajna była historia tego baru – powstał z pasji właścicielki. To, co ją pociągało, co najlepiej umiała, dawało jej radość i pracę. Świetna inspiracja dla własnego życia.

Ja również się cieszyłam na myśl o swojej pracy. Lubiłam być aptekarką. To nagłe marzenie-natchnienie, gdy jako dziecko zwiedziłam Muzeum Farmacji, wciąż we mnie było. W warszawskiej aptece trochę się przykurzyło, ale teraz odzyskiwało blask.

Pchnęłam solidne drewniane drzwi. Owionął mnie znajomy zapach. Przeszłam przez próg, wytarty od butów pacjentów. „Pacjentów, nie klientów, pani Klaro”, pomyślałam jak pani Maria.

– O, dzień dobry! – usłyszałam jej ciepły głos zza lady. – Witam serdecznie!

– Dzień dobry! – Ja też się cieszyłam, że ją widzę.

– Nie możemy pójść na zaplecze, bo jestem sama, ale póki nie ma pacjentów, to możemy sobie tu spokojnie porozmawiać. Proszę wejść. – Wskazała ręką na wąskie przejście w blacie. – Przyniosłam drugie krzesło.

Kiedy już się znalazłam obok pani Marii, wręczyłam jej prezent.

– Pachnie wakacjami! Łąką, latem, słońcem! Piękne są! – Pani Maria z radością przyjęła kwiaty.

– Własnoręcznie rwane. Na podhalnańskich włościach narzeczonego. – Uśmiechnęłam się. – Dzbanek również lokalny. Nie jest to rasowy fajans, ale pasuje.

– Bardzo pasuje, dziecko. Poczekaj, od razu sobie ustawię w gabineciku na zapleczu. I przy okazji zrobię herbatę. Zaraz wracam. – Pani Maria wzięła prezenty i poszła na tyły apteki.

Usiadłam przy blacie. Tak, zdecydowanie dobrze się tu czułam. Lubiłam farmację, tę niezwykłą wiedzę, jak pomagać ludziom, których zdrowie szwankowało. Zawsze trochę żałowałam, że farmaceuci byli zwykle traktowani jak dobrze wykształceni sprzedawcy, którzy dają to, co lekarz zalecił, ewentualnie podają to, co pacjent zobaczył w reklamie. Czasem zdarzali się tacy, którzy prosili o radę – „co by pani magister poleciła”, i tych lubiłam najbardziej, bo tym czułam się najbardziej potrzebna.

– Przepraszam. – Ktoś odchrząknął.

Zupełnie zapomniałam, że mimo niedzieli, mimo że jeszcze formalnie nie pracuję, to jestem w aptece, a ona jest czynna, więc pacjenci mogą się zjawić.

I właśnie ktoś stanął przy okienku.

– Dzień dobry – przywitałam starszą panią, która nie tylko cicho mówiła, lecz także cicho musiała się poruszać, bo nie usłyszałam, że wchodzi. Wyglądała jak szare piórko przyobleczone w staromodną garsonkę. – Jak mogę pomóc?

– Pani magister, mam tu karteczkę od lekarza dermatologa, żeby taki płyn kupić do mycia, który skórę ukoi. Bo bardzo mam suchą, coś łagodzącego by się przydało. Tylko lekarz od razu uprzedził, że to drogi preparat. Kilkadziesiąt złotych, a to przecież bardzo dużo, prawda?

„Jeśli się ma kilkaset złotych emerytury lub renty, to na pewno”, pomyślałam.

Wzięłam położoną na ladzie karteczkę. Tak, ten płyn do mycia kosztował coś około sześćdziesięciu złotych. Zrobiło mi się przykro. To rzeczywiście zawrotna suma, zresztą nie tylko dla tej starszej pani.

– A może ja bym coś innego zaproponowała? Trochę więcej trudu w stosowaniu, brzydsze opakowanie, ale cena... kilka złotych. Parafina ciekła, zaraz pokażę i wszystko powiem.

Podeszłam do szuflady i wyciągnęłam odpowiednią buteleczkę, a potem wróciłam do okienka.

– To główny składnik tego drogiego preparatu. Tu zapiszę proporcje – sięgnęłam po bloczek kartek – jak używać w kąpieli i do smarowania. O, proszę. – Podałam jej instrukcję i buteleczkę.

– Pani magister, bardzo dziękuję. Inaczej to pewnie z niczym bym odeszła, bo cóż z tego, że w końcu udało mi się do lekarza na kasę chorych dostać, jeśli jego porada trudna do zastosowania? Lek musi być w każdy sposób dobrany do pacjenta. A, jeszcze zapytam, bo napatrzeć się nie mogę – w tych ślicznych saszetkach to zioła są sprzedawane? – Wskazała głową na moją torebkę, obok której leżał lniany woreczek od Ewy. Wyjęłam go, kiedy szukałam chusteczek. – Bo pamiętam, że moja mamusia to się opłukiwała wodą z macierzanką i skrzypem, przecież kosmetyków to tak nie było, ja teraz. I bardzo dobrze jej to zrobiło. A gdyby jeszcze tak pakowane, to już od samego patrzenia by się człowiekowi poprawiło.

– Och, nie, to prywatna rzecz, nie na sprzedaż, ale cieszę się, że się podoba.

Kiedy starsza pani dochodziła do drzwi wyjściowych, usłyszałam za sobą głos pani Marii:

– Przyniosłam herbatę. I pewien pomysł.

* * *

– ...To fajna propozycja, prawda? – Leżałam na łóżku i rozmawiałam ze Staszkiem. Żałowałam, że go nie ma obok. Co prawda, niedługo wróci, a potem to będzie aż do śmierci, ale mógłby już teraz mi towarzyszyć.

– Fajna, superfajna! Tylko że zupełnie nieoczekiwana. Na pewno dobrze ją zrozumiałaś? Da ci dwa miesiące wolnego w wakacje, żebyś się zajmowała zielarstwem?

– Na pewno. Ona chyba po prostu taka jest. Bardzo dobry człowiek. I uważa, że trzeba pracować z pasją, bo wtedy efekty najlepsze. Najpierw też byłam zszokowana, bo odłożyłam to marzenie na bok, ale teraz, kiedy już ochłonęłam, to... no super! Obym tylko sobie poradziła, bo to nie tylko praca ogrodniczo-fizyczna, lecz także formalności, pozwolenia, trzeba firmę założyć...

– Poradzimy sobie. Przecież nie będziesz sama. Zupełnie się nie znam na ziołach, ale do tego mogę się dać przyuczyć. Nauczyciel też może być dobrym uczniem. A co do reszty, to ogarniemy. Potraktuj to nie tylko jak pomysł na zarobek, lecz także jak dobrą przygodę. No i całkiem miły sposób spędzania wakacji. A, przy okazji wakacji i zarobku. Wyobraź sobie, jaką miałem dziś niezwykłą sytuację – rano, po śniadaniu, poszedłem na spacer. I gdy tylko wyszedłem przez furtkę, zobaczyłem jakiegoś faceta, taki około sześćdziesiątki. Ubrany jak turysta, samochód na krakowskich numerach. Chodzi, rozgląda się. Zobaczył mnie, przywitał się i pyta o kwatery. Bo nie lubi tłumu, woli ciszę, nie ma wielkich potrzeb, a i fundusze skromne, jak to u nauczyciela. Emerytowanego, dodał, bo od tych wakacji przeszedł na emeryturę. Pyta, czy wiem, kto wynajmuje, a może ja mam coś na wynajem? Odpowiadam, że nie. Zmartwił się, próbował mnie namówić, że dom taki duży, on by kącika tylko potrzebował, bo dużo spaceruje, a potem z książką siada i w ogóle nie zawadza. Wyjaśniłem, że remont, a za chwilę ślub, oczywiście zrozumiał. I jakoś tak się dobrze rozmawiało, że zaprosiłem go na herbatę. I tak od słowa do słowa, że on nauczyciel, teraz już w stanie spoczynku, ja nauczyciel, w stanie gotowości, a ja historyk, o, a ja też historyk, a gdzie pan, a tu pracowałem, a pan, a tu i szukam, a czy by pan nie chciał, bo wiem, że u mnie wakat, a teraz młodzi to nie wybierają powołania, bo powołaniem nie wykarmią siebie i rodziny. I tak, jak po sznureczku, doszliśmy do propozycji pracy. Nawet przy mnie zadzwonił do swojego byłego już dyrektora i jestem umówiony na piątek na rozmowę. Jeśli się dogadamy, to już nie będę przeglądał ogłoszeń oświatowych. A, bo to też ważne, szkoła na bliskim Podgórzu, tylko mostem przejść. Do tego planują klasy

z rozszerzoną historią.

– No, no, no – cmoknęłam – a to ci przypadek.

– Trochę tak, a trochę nie. Bo gdybym był gburowaty, nie zagadał lub szybko rozmowę skończył, tobyśmy nie doszli do tego punktu.

– Też prawda – przytaknęłam. – Jeśli to wypali, to oboje będziemy szczęśliwie zapracowani. A jak ciotka i Matylda? No i mama? Przysyła mi ciągle jakieś zdjęcia, pełne achów i ochów. Że cudownie i fantastycznie, raj na ziemi. Z twoimi dziewczynami chyba jej się układa, bo nawet zdjęcia z Tylką dostałam.

– Powiem ci, że zadziwiająco dobrze. To znaczy nie przeczuwałem dramatu, bo niby dlaczego, ale że Dorota tak się zaangażuje?... Wstaje wcześniej, choć zapowiadała, że lubi się wyspać. Pomogła mi w malowaniu szafek w kuchni. Zaproponowała nowe uchwyty, na maszynie ciotki uszyła zasłonki z materiału, który przytaskała z Zakopanego, z lumpka za jakieś grosze, i teraz jest zupełnie inaczej. Gotuje dziwne potrawy z jarzyn, ale naprawdę smaczne. Ciotka jest wierna swojej kuchni, ale Tyśka dała się skusić. Zresztą Tyśka... Jest wpatrzona w twoją mamę. Bardzo ją polubiła. Towarzyszy jej nawet podczas pracy i nauczyła się, że gdy ciocia Dorota stuka w klawisze na laptopie, to nie można jej co chwilę o coś pytać. Słowem – jest fajnie, normalnie, po domowemu. Właściwie nigdy tak nie było.

– A to pewne zaskoczenie – powiedziałam. – Nie to, że mama nie jest egoistką, ale wydawało mi się, że nienawykła do takiej stadności, tak bym to ujęła. No, no.

– Najwyraźniej się zmienia, bo coraz częściej nie pasuje do opisu, który wcześniej mi podałaś.

– Podawałam z wieloletnich obserwacji – wytłumaczyłam się. – Ale przyznaję, mama przechodzi metamorfozę. Cieszę się, że zamieszka w Krakowie. Co prawda, do Nowej Huty jest kawałek, ale dobrze mieć poczucie, że w tym samym mieście jest ktoś gotowy do pomocy i wsparcia. Mam tylko nadzieję, że babcia nie padnie, gdy kiedyś przyjedzie na stare śmieci i zobaczy, jak ją córka przemeblowała. Mama nie znosi sztampy, wciąż wszystko upiększa.

– Zauważyłem. – Zaśmiał się Staszek. – Ale mnie to pasuje. Ciekaw jestem spotkania z twoim pradziadkiem. Zapowiedzieli się na poniedziałek koło południa. Pojedziemy razem do Jabłonki.

– To uroczy człowiek. I w zadziwiająco dobrej formie, zarówno jeśli chodzi o głowę, jak i o nogi. Może nawet będzie próbował cię zaciągnąć w góry?... A kiedy przyjeżdżasz do Krakowa? Bo pamiętasz, że mamy jeszcze

nieodhaczone punkty z listy. Na przykład spodnie. I buty.

– Pamiętam. „Trza być w butach na weselu”. Żeby tylko były wygodne.

– Będą. Ewa się zarzeka, że to towar pierwsza klasa. Ceny chyba też pierwsza klasa, ale Ewa mówi, że te modele można także nosić na co dzień, to zdecydowanie nie są ślubne sztywne lakierki lub mokasyny na wysoki połysk. Zresztą będziesz mógł je zsunąć pod stołem, kiedy nikt nie będzie patrzył.

– Fakt. I krawat będę mógł poluzować. I guziki od koszuli rozpiąć. Panna młoda ma trudniej. Musi być nieskazitelna, choćby tu piło, tam ciągnęło...

– Ewa nie odstawia fuszerki. Wszystko pasuje idealnie. Zresztą sugerowanie, że coś pije, oznacza, że gdzieś jest za dużo ciała. Nieładnie, panie Skarłat, nieładnie.

– Ależ skąd, pani Majewska-Skarłat! Wszystkiego jest akurat tyle, ile trzeba. I wszystkiego mi brakuje. Bardzo się za tobą stęskniłem. W każdym wymiarze i rozmiarze. Tak bym chciał... – ściszył głos – zdjęć z ciebie tę sukienkę...

– Rozpiąwszy te wszystkie małe guziki – przypomniałam.

– Rozpiąwszy te wszystkie małe... a w cholere, chciałbym zerwać z ciebie tę sukienkę. A potem wycałować wszystkie twoje piegi. I potem się kochać. A potem znowu je całować i znowu się kochać. Och! We środę rano będę na Wiślniej. Nie musisz wstawać z łóżka, bo zaraz do niego wrócisz.

Tak, noce przedślubne też są ekscytujące.

Rozdział dwudziesty szósty



Niby nie urządzamy hucznego wesela, niby impreza tylko w gronie rodzinnym, niby najważniejsze jest to, że się kochamy, niby to tylko ceremonia, bo przecież liczą się chęci i pragnienia, ale emocje były duże. I rosły.

W przypadku pierwszego, niedoszłego do skutku ślubu także się stresowałam. Tam jednak lista okołślubnych przygotowań liczyła wiele punktów, jak umowa do fuzji dwóch koncernów, a nie jak ceremonia zawarcia związku małżeńskiego. Wielu spraw trzeba było dopilnować, wiele mogło pójść nie tak. Napinka i stres. Nie wiem czy by mi starczyło sił na radosne świętowanie momentu składania przysięgi.

Teraz stres był innego rodzaju. Owszem, przygotowania również trzeba było poczynić, ale podzieliliśmy się nimi w gronie bliskich osób. Każdy dawał coś od siebie. Dużo myślałam o przysięgach, które sobie ze Staszkiem złożymy. Traktowałam je poważnie i czule. Wypowiemy je do siebie, wobec Boga i przed naszymi bliskimi. Po raz pierwszy czułam potęgę rytuału. Niby to tylko słowa, ale stworzą nową rzeczywistość. My sami ją stworzymy – naszymi chęciami i przyrzeczeniami.

Ostatni tydzień przed ślubem zostanie zapisany w mojej pamięci jak pięć ostatnich ruchów przed złożeniem kostki Rubika, kiedy to wszystkie kolorowe kwadraty znajdą się na swoich miejscach i kostka z każdej strony będzie lśniła jednolitym kolorem.

Poniedziałek.

Pojechałam do Stróży. Spokojna trasa, bo ruch odbywał się generalnie w drugą, dokrakovską stronę.

Prace były prawie skończone. Ewa czekała z ostatnimi zaszewkami, żeby mieć pewność, że materiał będzie świetnie dopasowany. Gdy stanęłam przed dużym lustrem w jej pracowni, po prostu odebrało mi dech. Suknia była przepiękna! Kolor lnu był idealnie dobrany do mojej karnacji, dekolt – kuszący, ale w dobrym stylu, delikatne hafty przyozdobione malutkimi perłami przypomniały gałązki trawy pokryte poranną rosą, dół sukni świetnie się układał. To była sukienka stworzona dla mnie, nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej. Do tego Ewa przygotowała mi niespodziankę – wianek z małych materiałowych kwiatków w zieleni spasowanej kolorystycznie z haftem. Wyglądały tak naturalnie – jak świeże pączki na cienkiej gałązce drzewa. Aż się popłakałam ze wzruszenia. Ostatnio zresztą płkanie przychodziło mi całkiem łatwo. Kobieta w ciąży jest bardzo podatna na emocje. Nie sądziłam, że aż tak bardzo. Ale przecież nawet Anka, zawsze twarda zawodniczka, już w ciąży zaczęła się inaczej zachowywać, a teraz była nawet wylewna! I to nie tylko wobec Zosi, a samą Zosię to wprost oblewała lukrem!

Bardzo byłam ciekawa naszego dziecka. W jaki sposób połączyły się nasze geny, co weźmie ode mnie, co od Staszka. Jak będzie wyglądało, co będzie lubiło, po kim odziedziczy temperament. Przede wszystkim jednak drżałam, żeby było zdrowe. Ta obawa o zdrowie, umiejętnie spychana w zakamarki podświadomości, od czasu do czasu jednak wracała. W piątek miałam umówioną wizytę u lekarza, poleconego przez panią Marię. To był doktor jej, jej córki i jej wnuczki. Wiekowy, ale ponoć świetny i wspaniale towarzyszył dzieciom w drodze na ten świat.

Babcia zadzwoniła z Jabłonki. Umówili się tam z mamą i Stasiem. Dziadek bardzo się wzruszył, co zresztą było absolutnie zrozumiałe. Jego domu rodzinnego już nie było, na tym miejscu zbudowano osiedle domków na wynajem. Dziadek w pierwszym momencie posmutniał, ale potem stwierdził, że teraz ma swój dom tam, gdzie jego rodzina.

Pociechą za tę stratę był także dom w Witowie. Tym razem relację zdała mama. Dziadek czuł się tam świetnie – w ścianach z grubych bali, z lasem i łąką za domem, szumiącym potokiem nieopodal. Mieli zostać tylko na obiedzie, przygotowanym przez ciotkę, a zostali aż do późnej kolacji (tu mama się

kulinarnie wykazała).

Prace remontowe podobno na finiszu, mama bardzo zadowolona ze Staszka i z siebie. „Wreszcie się wyżywam artystycznie”, obwieściła. Niezwykle też inspiruje ją pomysł zielarskiego biznesu. Zamówiła książki przez internet i planuje naukę w długie zimowe wieczory. No i oczywiście kooperatywę z Ewą, która miałyby szyć woreczki. Mama to jest człowiek petarda, muszę ćwiczyć, żeby za nią nadążyć.

* * *

Wtorek.

Poszłam z Jadzią po zakupy. Moja nieoceniona sąsiadka i świadkowa jest odpowiedzialna za zupy i przystawki. Trzy razy wracałyśmy na Kleparz, żeby dotaskać wszystko, co Jadzi było potrzebne. Próbowałam ją trochę przystopować, ale się nie dało. „Kilka przystawek, głównie warzywnych, no daj spokój, samo zdrowie, poza tym nie sycą. Zupy dwie – chłodnik dla ochłody, grzybowa na rozgrzewkę – co komu pasuje. Zje się”. „Zje się”, to samo usłyszałam od babci, która prowadziła drugie kulinarne centrum dowodzenia w Olkuszu. Tu miały powstać drugie dania – zdrowe, z produktów, których nazw ciotka Staszka pewnie nigdy nie słyszała. Babcia i Kazik trzymali się nowej diety, szczupleli, młodnieli i byli coraz bardziej fit. Jeśli tak dalej pójdzie, to niedługo dościgną mamę, a potem mnie. Ciotka Stasia w nosie miała takie nowinki. „Schab i polędwica, biedy być nie może na weselu, nawet takim skromnym”. Obiecała też racuchy z jagodami, jako lokalny przysmak. Menu zostało więc dopasowane do ogólnej stylistyki, którą można określić jednym słowem: miszmasz.

* * *

Środa.

Przyjechał Staś. Rzeczywiście, zjawił się wczesnym rankiem. Rzeczywiście, nie wyszłam z łóżka i nie zdążyłam się ubrać. Rzeczywiście... Kropka, kropka, kropka. Och!

Poszliśmy pod wskazane przez Ewę adresy. Towarzyszył nam Tomek. Opieka stylisty i potrzeba nowej poszetki, specjalnie na nasz ślub, to były tylko wymówki, zasłona dymna. Uroczą i wesołą, bo Tomek jest świetnym

kompanem, ale... Okazało się, że pragnie nam kupić buty w prezencie. „Na nową drogę życia. A co może być lepsze od butów, jeśli ma się przed sobą nową drogę?” Tak nas wziął pod włos! Wzruszyłam się, ale i – przyznaję – odetchnęłam z ulgą. Te buty były naprawdę drogie. Piękne, wygodne i drogie, co nawet było ze sobą spójne.

Potem poszliśmy razem na obiad, dołączył do nas Bartek. Chyba tylko raz widziałam ich wcześniej razem. Teraz spędziliśmy ze sobą ponad dwie godziny. Strasznie miło było w ich towarzystwie. Obaj, mimo że fizycznie i z charakteru różni, bardzo do siebie pasowali. Tomek jest na wskroś nowoczesny, awangardowy w stylu, żywiołowy. Bartek – jakby wyjęty żywcem z poprzedniej epoki. Krakowska elegancja, pewna powściągliwość. Razem – cudowna mieszanka. „Małżeństwo doskonałe”, mówią o sobie. I tacy są.

Wieczorem poszliśmy na spacer. Tą naszą pierwszą trasą, kiedy dopiero zaczynaliśmy się spotykać. Minęliśmy ławkę, na której odpoczywałam, gdy podszedł do mnie ojciec Stasia, wtedy – i tak już zostanie – nieznajomy. Zalaatywał alkoholem, trochę bełkotał. Próbowałam wyrzucić ten obraz z pamięci, zdecydowanie wołałam pamiętać teścia jako miłego faceta ze zdjęć. Przecież kiedyś taki był. Kiedyś, zanim jego problemy nawarstwiły się tak, że nie potrafił już tej pędzącej kuli zatrzymać. Ścisnęłam Stasia za rękę, ale nic nie powiedziałam. On też milczał. Przypomniała mi się rozmowa z babcią. W piątek miała odwiedzić księdza Szczepana i poprosić o modlitwę za bliskich z obu rodzin. Miałam do niej zaufanie. Więcej w niej było życiowej mądrości, bo dłużej ją zbierała.

Wieczorem. No cóż. Akurat tu ksiądz Szczepan nie byłby z nas zadowolony. Tyle powiem i kropka. A właściwie: kropka, kropka, kropka.

* * *

Czwartek.

O ósmej rano klakson. Usłyszałam go, mimo że byłam w łazience, bo był dość natrętny. I ciut staroświecki. Nie takie współczesne, równe, mocne „piii”, tylko jakby pojękiwania myszy: „pi-pii-pip”. Wyjrzałam przez okno. Obok lip ujrzałam samochód. To znaczy najpierw oślepił mnie blask wypucowanej karoserii w jasnoniebieskim kolorze. Potem zauważyłam żółte tablice rejestracyjne, oznaczające, że to zabytek. Zapewne dlatego nie mogłam rozpoznać marki. Rozpoznałam za to Bartka. Okazało się, że pojedziemy tym

cudem motoryzacji do kościoła. „I, jeśli da radę, do Witowa”, dodał Bartek. Nie chcieli nam wczoraj mówić, woleli zrobić niespodziankę, czyli podjechać na Wiślną. Rzeczywiście, byłam zaskoczona. I – cóż, niestety, znowu – wzruszona.

Gdy tylko Bartek z fasonem odjechał, zjawił się mąż Ewy z naszymi ubraniami. Wykończonymi, odprasowanymi, na ślicznych wieszakach.

Po śniadaniu poszliśmy odebrać obrączki. Jubiler, mieszczący się po sąsiedzku, świetnie wykonał swoją pracę. Obrączki miały prostą formę, były bardzo klasyczne. Ale właśnie w tym tkwił ich urok. Choć jedna ze ślubnych rzeczy będzie tradycyjna.

Właściwie mieliśmy już wszystko. Prawie. Oboje nagle sobie przypomnieliśmy, że nie zamówiliśmy bukietu. Staszek się zawstydził, bo to jego rola. Mnie było głupio, bo w przeciwieństwie do niego już raz się szykowałam do ślubu, więc powinnam pamiętać o różnych szczegółach i mogłabym mu o nich przypomnieć. Staszek zostawił mnie i poszedł do kwiaciarni. Wrócił bardzo z siebie zadowolony.

Kropka, kropka, kropka.

* * *

Piątek.

Ostatni dzień przed ślubem.

Przeznaczony na odpoczynek, wyciszenie, ale z dwoma ważnymi punktami. Pierwszy to rozmowa Staszka w sprawie pracy. Drugi – moja wizyta u lekarza.

Spotkanie w podgórskim liceum poszło bardzo dobrze. Staszek wrócił pełen optymizmu, bo przypadli sobie z dyrektorem do gustu. To młody człowiek, trochę po czterdziestce, z wizją i chęciami, by mimo trudności systemowych i finansowych pchać polskie szkolnictwo do przodu, nie spuszczając z oczu najważniejszego jego elementu, czyli uczniów. W tej misji oświatowej dobrze się ze Staszkiem rozumieją, więc od września będą razem działać.

Tak dobrą informację poszliśmy uczcić do Poziomki. Ostatni raz jako narzeczeni. Kluski lane z serem i sałatka z kalarepki to było nasze świąteczne menu. Ja byłam trochę roztargniona, bo za trzy godziny miałam wizytę u lekarza. Staś też się chyba denerwował, ponieważ zapomniał portfela ze stolika i musiał się wrócić. Zdenerwowałam się, bo miał tam dowód, kartę do bankomatu, prawo jazdy – wszystkie dokumenty. Byłby niezły galimatias, gdy nie mógł się jutro przed ołtarzem wylegitymować. Chciałam z nim pójść, ale

posadził mnie na ławce na skwerku i stwierdził, że sam to szybciej załatwi, no i pognał. Naród, zwłaszcza lokalny, jednak uczciwy, bo po kwadransie Staś wrócił z portfelem w dłoni. Już się zaczęłam niepokoić i nawet miałam pójść do niego, bo to trwało i trwało, ale wyjaśnił, że musiał niechcący zrzucić portfel na podłogę, ponieważ leżał pod stołem, i dlatego szukanie mu chwilę zajęło.

A teraz... Teraz siedzieliśmy pod gabinetem pana doktora. Przyjmował w domu, niedaleko apteki. Imponująca kamienica z piękną klatką schodową. Wysokie drzwi na pierwszym piętrze, z tabliczką: „Jan Ołdakowski, lekarz ginekolog”. W środku długi korytarz z kilkoma parami drzwi po obu stronach. Jedne oznaczone tabliczką, przy nich drewniana ławka. Było tu jak w szkole, i to takiej ze skansenu. Pan doktor, który otworzył nam drzwi, wpisywał się w klimat. Grubo po siedemdziesiątce, w białym fartuchu, w błękitnej koszuli i pod muszką. Mój Boże, kto teraz nosi muszki? W środku ma pewnie metalową leżankę, a do badania trąbkę, którą przykładła do swojego ucha i do brzucha pacjentki. „Trzeba było iść do jednej z tych nowoczesnych przychodni”, pomyślałam, ale tylko przez chwilę, bo wewnątrz gabinetu, nie licząc ogromnego starego biurka, na którym jednak stał laptop z charakterystycznym owocem na klapie, i obrazów na ścianach, było na wskroś nowoczesne – fotel ze sprzętem do USG jak ze statku kosmicznego, szafka, lampa. Odetchnęłam z ulgą.

– Stara szkoła nie oznacza, że należy się bać. – Uśmiechnął się, patrząc na mnie. – Za techniką nadążam, wiedzę gromadzę od półwiecza, pomogłem się zjawić na świecie tysiącom dzieci. I podobno jestem miły.

– Potwierdzam, pani Maria opowiadała o panu w samych superlatywach. Po prostu jestem zdenerwowana. To moja pierwsza ciąża, nie jestem już bardzo młoda, boję się o zdrowie dziecka, a do tego jutro mam ślub.

– O, ho, ho. No to proszę siadać, zaraz o wszystko wypytam, wpiszę do komputera, a potem zobaczymy, jak się mały człowiek miewa.

Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź.

Wreszcie pan doktor wskazał ręką na parawan.

– Proszę się przygotować do badania, ja już włączam sprzęt.

Stojąc za przesłonką, usłyszałam serię pstryknięć. A może to moje serce tak waliło? Włożyłam zielony fartuch i położyłam się na leżance. Zamknęłam oczy. I chyba przestałam oddychać.

– Tak, taaak, no dobrze, bardzo dobrze – usłyszałam po chwili.

Nieśmiało otworzyłam oczy i spojrzałam w stronę monitora.

Było tam. Moje dziecko. Nasze dziecko. Malutki ludek, o dopiero co nabytych

człowieczych kształtach. Rosła fasolka. Najpiękniejszy obraz na świecie. Poczułam skapujące łzy.

– Wszystko jest dobrze. – Pan doktor delikatnie poklepał mnie po dłoni. – Dziecko się prawidłowo rozwija, jest zdrowe. Poproszę teraz tatę, żeby też się mógł wzruszyć, dobrze?

Pokiwałam głową.

Po chwili wrócił ze Staszkiem, który usiadł na stołku obok.

– A teraz będzie z fonią. – Pan doktor włączył jakiś przycisk i gabinet wypełnił dudniący dźwięk: tutu-tutu-tutut! – To normalne, serce dzieci na tym etapie rozwoju pracuje z taką prędkością.

– Jak pendolino. Rany. To fantastyczne. – Staszekowi również się łamał głos. – I wszystko poza tym dobrze, tak? Dwie ręce, dwie nogi, serce, żadnych... wad?

– Żadnych. Na tym etapie sto procent normy. I nawet... – doktor wpatrzył się w monitor – mógłbym chyba zdradzić płęć. Chcecie państwo wiedzieć?

Oboje kiwnęliśmy głowami.

– Za pięć miesięcy na świecie pojawi się państwa...

Rozdział dwudziesty siódmy



– A teraz siądźcie, moi mili. – Ksiądz Szczepan popatrzył na nas, a potem omiół wzrokiem osoby zebrane w kościele.

Wszystko, co się od rana działo, wydawało mi się bajką. Sceneria naszego ślubu była naprawdę piękna. Sam kościół nieodmiennie, podczas każdej wizyty, mnie zachwycał: strzelistość, tajemniczość, wieki historii. Teraz doszły do tego klimatu małe bukiety polnych kwiatów, przyczepione do ławek, i wielki ich bukiet przed ołtarzem. Efekt pracy mamy, której udało się przekonać siostrę zakonną, odpowiedzialną za przystrajanie kościoła do ślubów, że ani róże, ani lilie, ani tym bardziej szerokie białe wstęgi nie będą do nas pasować. Za to to, co wyczarowała, bardzo pasowało.

Tę ostatnią, przedślubną noc spędziliśmy oddzielnie. Nie dlatego, że taki jest zwyczaj, bo przecież wiele poprzednich nocy minęło nam we wspólnej pościeli, więc cóż ta jedna, oddzielna, miałyby zmienić?... Nie chodziło o jakieś szczątkowe przestrzeganie tradycji, a o – to chyba najlepsze określenie – spokojne przygotowanie się do ważnego dnia, wyciszenie. Taki czas przede wszystkim dla siebie, skoro od jutra już zawsze będę z kimś.

Staszek nocował u chłopaków, czyli u Tomka i Bartka.

Do mnie przyjechała mama, a do mieszkania w Nowej Hucie na tę noc wprowadziła się Anka z Zosią i mężem.

„Jesteś szczęśliwa?“, zapytała mama wieczorem, kiedy jadłyśmy kolację. „Pytasz o Staszka i ślub?“, upewniłam się. „Pytam o życie“, odparła.

Tak, byłam szczęśliwa. Właśnie tak całościowo. Kiedyś mi się wydawało, że

szczęście w życiu to suma szczęść w różnych jego dziedzinach, że te pojedyncze szczęścia liczą się oddzielnie, jakby były niezależnymi od siebie składnikami działania dodawania. No i że w ich zbieraniu liczy się fart, zrządzenie losu. Teraz myślałam, że szczęście to po prostu poczucie ładu w środku i że czekanie na dobre prezenty od fortuny w różnych sferach życia to nie jest dobra recepta na szczęście. Tą receptą było działanie, wychodzenie życiu naprzeciw. Tak, żeby coś wygrać na loterii życia, trzeba się zwlec do kolektury, obstawić liczby i kupić los. I tak wiele razy, jeśli pudłujemy. I nawet jeśli się nie trafi szóstki, to może się kogoś w zakładzie albo podczas drogi do niego poznać.

Rano, kiedy już się ubrałam i umalowałam, i pokazałam mamie, Dorota się wzruszyła do łez. Dorota, moja mama twardzielka, wieczna hipiska, niebieski ptak, zawsze na luzie i z dystansem do form. „Moja córeńka, małpeczka moja. Pamiętaj, że zawsze będę niedaleko. Może i zwykle jest tak, że w dniu ślubu matki się usuwają w cień, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by było tak, że mama właśnie wyszła z cienia, prawda? Trochę długo dorastałam do rodzicielstwa, ale za to jestem dobrze przygotowana. Bardzo cię kocham, niezatrątku”.

I musiałam poprawiać makijaż.

Potem przyjechał Staszek, a właściwie został przywieziony. Przez Tomka, z fasonem i z bukietem polnych kwiatów skomponowanych z ziołami, który pachniał łąką, apteką, naturą – tym, co najbardziej lubiłam.

Gdy podjechaliśmy pod kościół, pomyślałam, że jakaś grupa turystów kończy zwiedzanie. Tymczasem to byli... nasi goście. Osoby, które chciały nam towarzyszyć w tym dniu: babcia z Kazikiem, obok nich Matylda i ciotka, i, oczywiście, dziadek. Anka i jej mąż, i wielki wózek z małą Zosią. Jadzia i kilka osób z hospicjum, które poznały Staszka, Matyldę i ciotkę. Emily, która dziś rano doleciała ze Stanów – podobna do dziadka i rzeczywiście wyglądały z mamą jak siostry! Ewa z mężem, oboje w lnach. Grupka osób w tradycyjnych strojach góralskich, czyli Staszekowi sąsiedzi z Witowa. Pani Maria z równie eleganckim mężem. Znajome starsze twarze z Poziomki („To po to Staszek tam wracał!”, teraz zrozumiałam).

To do nas wszystkich mówił teraz ksiądz Szczepan.

– Jesteśmy tu dziś z powodu Klary i Staszka. Oni – bo się kochają. Wy – bo kochacie, lubicie ich, ja – bo mam im udzielić sakramentu małżeństwa. Można się zastanowić, co ksiądz nam teraz ciekawego powie? No bo co ksiądz może wiedzieć o miłości? Skąd może to wiedzieć? A ksiądz zna miłość, różne jej

oblicza. Doświadczalem miłości rodzicielskiej, dawałem, taką mam nadzieję, miłość synowską. Przez cały czas czuję miłość Boga. I tu też staram się, by było to uczucie zwrotne. Miłość między kobietą i mężczyzną... Tak, tutaj mi brak własnych doświadczeń, ale tyle lat już żyję, że dużo widziałem i sporo zrozumiałem. Wiele par przygotowywałem do sakramentu małżeństwa. Bywało, że się wahałem, bywało, że oni się wahali. Nie wszyscy doszli do ołtarza, niektórzy później się rozwiedli. Nie oceniam, nie taka jest moja rola. Ja mam być towarzyszem, przewodnikiem. I jeśli ludzie są razem szczęśliwi, to się cieszę, bo może mam w tym swoją cegiełkę. Jeżeli się rozchodzą, to jest mi przykro, bo może w tym niepowodzeniu mam swój udział. Klara i Staszek. – Ksiądz patrzył teraz na nas. – Gdyby trzymać się teorii, że wszystko w życiu ma być poukładane, że wymogi Kościoła dotyczące przygotowania do ślubu, te wszystkie terminy, teorie, praktyki, powinny być spełnione, bo to warunek konieczny do zakończonego powodzeniem finalnego momentu, to... mielibyśmy kłopot. Kłopot. Ale nie zawsze warto się sztywno trzymać reguł. Jak kto stary, jak ja, i wie, że ma dobrze działającą wewnętrzną busolę prawdy i dobra, to może te reguły zostawić z boku. Był kiedyś, dawno temu, w telewizji taki program o wielkich miłościach, parach, którym się szczęście udało. *Taka miłość się nie zdarza* – taki był tytuł. Oglądałem go z przyjemnością, bo patrzyłem na ludzi mądrych, odważnych, dobrych. W pojedynkę tacy byli, a w parze te przymioty jeszcze się wzmacniały. I kiedy poznałem Klarę i Staszka, przypomniał mi się ten program. Zobaczyłem w nich to, co widziałem w tamtych osobach – gotowość na miłość. Bo może nam się wydawać, że miłość to jest coś, co na nas niespodziewanie spada, oplata nas i zostaje z nami do końca życia. A gdy zblednie, wypali się, to trudno, taka jej natura. Nie, nie taka jest natura miłości. W pierwszej chwili jest natchnieniem, ale zostanie w nas, jeśli jesteśmy do niej przygotowani, jeśli umiemy się nią posługiwać i z niej korzystać. W miłości międzyludzkiej, małżeńskiej dwie sprawy wydają mi się bardzo ważne: szacunek do drugiej osoby i nieustająca jej ciekawość. Oraz postawa: jestem z tobą, ale jestem też sobą. Klara i Staszek to mają. Klara i Staszek dostrzegli to w sobie i to pielęgnują, dbają o to. Ze swoich, bywało, że niełatwych historii, wyciągnęli wnioski. To ich zmieniło, a ta zmiana otworzyła ich na innych. Mógłbym powiedzieć, że teraz nie może im się nie udać, ale to by była pycha, bo zawsze się trzeba starać. Powiem więc, że jestem szczęśliwy, że ich poznałem. Że są dobrymi, mądrymi ludźmi, których połączyło bardzo mocne uczucie. Poradzę im, żeby każdego dnia, gdy będą się budzić jako mąż i żona,

pamiętali, by dbać o siebie i swoje małżeństwo z takimi chęciami, jakie mają dziś. Gdybym to ja miał być reżyserem takiego cyklu o szczęśliwych parach, tobym do pierwszego odcinka zaprosił Klarę i Staszka. Tylko tytuł bym zmienił. Bo ten oryginalny sugeruje nam, że miłość, prawdziwa i dobra, a co za tym idzie – szczęście, to towar rzadki, trudny do zdobycia, reglamentowany przez los. A ja myślę, że on jest w każdym z nas, na wyciągnięcie ręki, i los ma do tego znacznie mniej, niż my sami możemy zdziałać. Więc mój program nazywałby się: *Taka miłość się zdarza*.

Epilog



„To będzie piękny dzień”, pomyślałam, spoglądając przez okno. Mimo upałów lipy wciąż się intensywnie zieleniły, jakby była wiosna. Niebo błyszczało błękitnie; miało kolor auta, które równo rok temu wiozło nas na nasz ślub.

Odwinęłam ręcznik z głowy. Było tak ciepło, że włosy zaraz wyschną, nie ma sensu ich suszyć. Włożyłam zieloną sukienkę, tę z second handu. Dobrze nam było razem w naszych nowych życiach.

Dziś mieliśmy pojechać ze Staszkiem do Witowa. Pomieszkiwaliśmy tam od końca czerwca, teraz na kilka dni wpadliśmy do Krakowa, żeby odebrać korespondencję i załatwić parę spraw.

Nie musieliśmy się spieszyć, bo Witów miał dobrych gospodarzy, a właściwie gospodynię – moją mamę. Zdecydowała, że to jest jej miejsce na ziemi. Taką samą decyzję podjął dziadek, który serdecznie podziękował babci i Kazikowi za gościnę i dobre chęci i wybrał pokój z widokiem na ukochane góry. „Nie będę wam, młodym, zawadzał”, zażartował. „Dołączę do Dorotki, żeby nie czuła się samotna”.

Dorotka jednak nie czuła się samotna, bo miała obok Matyldę. „Żebyś nie mówiła, że tak się zmieniłam, bo kiedyś ciągle czegoś chciałam, a teraz nic nowego w moim życiu, to właśnie chcę – chcę być zastępczą mamą dla Tyłki”. Naprawdę chciała, zresztą obie chciały. Matyldzie brakowało takiej, skierowanej właśnie na nią miłości, mamie – może tego, że kiedyś nie była tak intensywnie zaangażowana w macierzyństwo. Zresztą – czy to ważne dlaczego? Ważne za to, że było im razem dobrze.

Babcia z Kazikiem... za miesiąc biorą ślub. Żona Kazika umarła wiosną. Ostatnie dni jej życia spędzili razem, w domu, opiekując się nią. Dziwne, mógłby ktoś pomyśleć. A ja myślę, że życie ma zdecydowanie więcej odcieni niż czerń i biel.

U ciotki Staszka też zmiany. Brak konieczności opieki nad Matyldą nie oznacza, że teraz odpoczywa za całe pracowite życie. Stasio pomógł jej w remoncie domku, jeden pokój, ten, który wcześniej był Tyśki, przerobili na pokój gościnny. Mama udzielała się jako architektka wewnątrz z sukcesem. Teraz wakacjuje tam pan Marek, emerytowany nauczyciel, który rok temu szukał w Witowie kwatery do wynajęcia.

Mama, prócz opieki nad Tylką i towarzyszenia dziadkowi, rozkręca biznes zielarski. Ewa szyje i haftuje piękne woreczki na suszone zioła i kwiaty. Nie ograniczają się do tradycyjnego wykorzystywania suszek – robią też ikebany, a teraz wspólnie pracują nad zatapianiem roślin w specjalnych żywicach. Niezłe Ziółko – to nazwa firmy, w której ja i Staszek też mamy udziały. Staszek jako właściciel ziemski, ja jako żona właściciela, co oczywiste, i jako nadzór merytoryczny. Powoli dołącza do nas Emily, która ma pomóc w wysyłaniu „ziółek” za ocean.

Tak, bardzo fajnie, razem ułożyliśmy naszą kostkę Rubika. Jest piękna i różnokolorowa.

– Cześć, kochanie. – Staszek podszedł do mnie i pocałował mnie na dzień dobry. – Wezmę prysznic i przygotuję nam śniadanie. Rocznicowe, więc jestem gotowy na specjalne życzenia.

– W takim razie... może trufle? Albo jesiotra z kawiozem. No dobra, prezent od Jadzi będzie w sam raz. – Uśmiechnęłam się.

Jadzia, oczywiście, pamiętała o rocznicy. „Słodki. I konkretny” prezent, czyli konfitury poziomkowe.

Staszek zniknął w łazience, a ja poszłam do kuchni napełnić konewkę wodą. Przed wyjazdem do Witowa, gdzie dziś mieli się zebrać wszyscy bliscy na uroczystym obiedzie z okazji pierwszej rocznicy naszego ślubu, trzeba jeszcze podlać kwiaty. Zioła z domowego miniogródka, czyli wielkiego parapetu, zabraliśmy do mamy, ale drzewko cytrynowe zostało na Wiślniej. Czytałam, że ono nie lubi zmian. Jeśli już dobrze się poczuje w jakimś miejscu, to nie należy go stąd ruszać. A chyba poczuło się dobrze, bo zakwitło. Tego samego dnia, gdy pojechaliśmy we dwoje do szpitala po to, żeby wrócić we trójkę.

Staszek Tomek Skarłat.

Pierwszy od stu lat chłopiec w rodzinie Majewskich.

Spał teraz w swoim łóżeczku pod ścianą, obok toaletki. Tej, w której znalazłam pamiątnik babci Emilii.

Wyciągnęłam z niej coś więcej niż tylko pożółkłe kartki ze starannym, gęsto zapisanym tekstem. Otworzyłam szufladę i otworzyłam serce – na podróż w przeszłość i w głąb siebie. Przewędrowałam różnymi szlakami wiele gór, samotnie i w towarzystwie. I doszłam za tę siódmą, gdzie poziomki, słońce, zieleń, Staszek i Stasio junior, szczęśliwe schronisko.

Taka miłość się zdarza. I trwa, jeśli naprawdę jej chcemy.

Spis treści



[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)
[Rozdział dwudziesty](#)
[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
[Rozdział dwudziesty drugi](#)
[Rozdział dwudziesty trzeci](#)
[Rozdział dwudziesty czwarty](#)
[Rozdział dwudziesty piąty](#)
[Rozdział dwudziesty szósty](#)
[Rozdział dwudziesty siódmy](#)
[Epilog](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Agnieszka Jeż, 2019
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Zdjęcia na okładce: © iravgustin / Shutterstock, © Alexander Raths / Shutterstock

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki

Korekta: Ewelina Pawlak / Słowne Babki

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-058-9

FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.